Nr. 19. Poznań, dnia 13 Maja 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 19-go.

Władza duchowna — księża - a społeczeństwo.

Stoimy dziś wobec całego szeregu wypadków, posiadających dla naszego społeczeństwa wielkie znaczenie. Wypadki te domagają się zbiorowego zestawienia i wyświetlenia.

Musimy tutaj sięgnąć nieco wstecz i przypomnieć fakt, który swego czasu odegrał w naszem politycznem życiu znaczną rolę.

Było to pod koniec roku 1903. Odbyły się wybory do sejmu pruskiego — nadeszła pora walnych zebrań wyborczych po powiatach. Zebrania te miały wybierać członków do naszej najwyższej politycznej władzy, do Walnego zebrania delegatów.

Chodziło — jednem słowem — o wybór delegatów, którzy w ostatniej instancyi decydują o wyborze kandydatów na posłów.

Otóż do walnego zebrania delegatów, które wybrało posłów do parlamentu i sejmu w r. 1903 należała znaczna liczba księży — coś około 14. Księża ci — jak się wykazało działali na każdem zebraniu jednolicie. Działo się to — nie było to już wówczas tajemnicą — pod wpływem Władzy Duchownej.

Wysnuto ztąd wniosek — zupełnie słuszny — że księża w działalności swej politycznej nie działają według własnych przekonań osobistych, nie to, co im własny rozum i serce dyktuje, robią, ale to, co im ktoś nad nimi stojący każe.

W tej myśli rzucił na początku roku 1904, a więc tuż przed rozpoczęciem, czy już w czasie odbywających się walnych zebrań powiatowych — „Orędownik“ hasło: *nie wybierajcie na delegatów księży* — bo nie są oni samodzielni, działają jednolicie przeciwko budzącemu się ruchowi narodowemu i ludowemu, pozostają pod wpływem ugodowej polityki N. ks. Arcybiskupa — a ponieważ ogół tę politykę uważa za szkodliwą, więc i księża, popierający ją może po niewoli — także szkodzą naszej sprawie narodowej.

To były — o ile pamiętamy — przyczyny rzucenia hasła nie wybierania księży delegatami.

Przebieg tej sprawy był taki:

Z powodu hasła „Orędownikowego“ wyniknął w społeczeństwie spór zasadniczy o to: czy pożądany jest wogóle udział księży w pracach obywatelskich i politycznych?

Ten zasadniczy spór rozstrzygnął się na korzyść duchowieństwa, szczególnie z tego powodu, że brak wówczas był w społeczeństwie naszem — pracowników na niwie narodowej. Wzgląd więc praktyczny — rozstrzygnął kwestyę zasadniczą.

Zapomniano księżom nawet zarzutu — wówczas jeszcze niedość udowodnionego faktami — zarzutu niesamodzielności.

Skończyło się na tem, że walne zebrania powiatowe do ciała delegatów więcej jeszcze wybrały księży, aniżeli ich było w r. 1903.

Cóż się jednak teraz dzieje?

Minął od tego sporu zaledwie rok. Społeczeństwo po walce wyborczej z roku 1903 jęło się znów pracy na polu narodowem, nowela osadnicza podniosła temperaturę uczuć narodowych, hasła radykalne zaczęły brać przewagę.

I zaszedł na pozór w życiu tem drobny wypadek, który jednakże w skutkach, jak dziś na niego patrzymy, powinien pewną rolę odegrać na opinię naszą o stosunku władzy duchownej do księży i księży do społeczeństwa.

Rząd od lat parł towarzystwa sokolskie do tego, ażeby z nich zrobić ogniska naszego życia politycznego. Sądy wydawały w tym sensie wyroki, robiąc „Sokołów“ towarzystwami najradykalniejszemi.

Równocześnie rząd wywarł na Władzę duchowną wpływ, ażeby zakazała księżom przynależenia do tych — najradykalniejszych towarzystw.

Istotnie Władza Duchowna zakaz ten wydała — *księża usłuchali.*

Fakt ten przeminął w społeczeństwie spokojnie.

Znów mija rok. Pod naporem walki germanizacyjnej zrywa się społeczeństwo do obrony, którą skupia w jednej ogólnej instytucyi, dziś już w

społeczeństwie ugruntowanej — t. j. w *„Straży.“*

„Straż“ miała być łącznikiem wszystkich warstw i stanów, łącznikiem — bez różnicy przekonań politycznych. Społeczeństwo wytknęło jej za zadanie: stania na straży naszych narodowych skarbów.

I pogarnęły się pod sztandar „Straży“ rzesze narodu; w jednym roku niespełna zorganizowała „Straż“ pod swojemi hasłami 16 tysięcy Polaków. Należeli do niej księża, szlachta, mieszczanie, włościanie i robotnicy.

I nie zrobiła dotąd „Straż“ niczego, coby jej w oczach naszego społeczeństwa narzucało miano — organizacyi *radykalnej.*

Samem atoli istnieniem swojem była solą w oku rządu. To też rząd ten wytężał i wytęża swoje wpływy, by ją rozbić, by ją osłabić.

I znowu księża, którzy od początku gorąco „Straż“ popierali, padają ofiarą zbytniej opieki rządowej.

Faktem dziś już niezaprzeczalnym staje się nacisk rządu na Władzę Duchowną. Władza Duchowna zakazuje księżom piastować urzędów w „Straży“ i wygłaszać mów na jej wiecach, a gdy księża zakaz ten wykonują zbyt dosłownie, a niektórzy dla okazania „Straży“ swej sympatyi *przewodniczą* na jej wiecach, Władza Duchowna *zakazuje im być członkami.*

Mamy więc tutaj trzy wypadki, o których przyjdzie nam jeżeli nie dziś to w przyszłości wydać sąd ostateczny: zakaz w „Sokole“ — księża słuchają; zakaz urzędów i mów w „Straży“ — księża słuchają; zakaz ostatni — księża z pewnością go usłuchają i przestaną niewątpliwie być „Straży“ członkami.

Te trzy fakta dają społeczeństwu niezbity dowód na to, z czego w r. 1904 robiono im zarzut, i to, że *księża w działalności swej obywatelskiej zależni są od swej przełożonej Władzy, że są — niesamodzielni.*

Z tym faktem przyjdzie nam się w przyszłości poważnie liczyć i dla tego należy go już dziś po kilkakroć podkreślić.

Liczyć się musi szczególnie z tym faktem ruch narodowy, postępowy i ludowy, któremu w pierwszym rzędzie chodzi o wyrobienie w szerokich masach społeczeństwa samodzielności i samowiedzy obywatelskiej i świadomości narodowej.

Tej podstawowej jego dążności szkodzić, tamować myśl samodzielności obywatelskiej musi wszystko, co samo w sobie nie jest niezależne, co nie jest samodzielnie. Muszą także tamować rozwój samodzielności tej księża, skoro sami samodzielni nie są.

Jest to pewnik, którego osobno udowadniać nie potrzeba, a z którego należy koniecznie wysnuć odpowiednie wnioski.

Jakie będą te wnioski, pod jakiemi przyjdzie je przemieniać w czyn hasłami, o tem dziś pisać może jeszcze nie pora, o tem zadecyduje chwila odpowiednia, która może już jest niedaleką.

Drugi okólnik
N. ks. Arcybiskupa

czytelnicy nasi już znają.

N. ks. Arcybiskup nakazuje księżom opuścić szeregi „Straży“ zupełnie i trzymać się od nich na przyszłość z daleka.

Ten okólnik sprawił w społeczeństwie mniej wrażenia aniżeli poprzedni w sprawie „Straży“. Zdumienia najwięcej budziła ta okoliczność, że spadł on na społeczeństwo tuż — po walnem zebraniu „Straży“.

Powołuje się N. ks. Arcybiskup, że „Czarna księga“, że zebranie starostów, znieważające jego osobę, spowodowało go do wydania okólnika.

Tymczasem wszyscy ludzie światli, politycznie wyrobieni głęboko są przekonani, że tak w istocie nie jest, że więc ani „Czarna księga“ ani zebranie starostów nie jest właściwą przyczyną ostatniego okólnika. Przeciwnie wszyscy sądzą, że myśl wydania okólnika tego była gotową na długo przed walnem zebraniem „Straży“ i przed wydaniem „Czarnej księgi“, a spowodowały ją dwie okoliczności. Nasampierw księża trzymali się *dosłownie* zakazu pierwszego okólnika, więc nie piastowali urzędów, nie przemawiali na wiecach, ale pozostali członkami i tu i owdzie nawet *przewodniczyli na wiecach.*

Tego im okólnik pierwszy nie zakazywał, mieli prawo to robić, ale Władzy Duchownej to się *nie podobało.*

Do tego doszło i to, że Władza Du-

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

7)

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Jedyny syn jej Paweł, władca będący wprawdzie dziwakiem i tyranem, ale ulegający szlachetnym popędom [1]), wstępując na tron, wygłosił postanowienie, na które drżeniem radości przejęły się polskie serca:

— Chcę naprawić krzywdy, jakie wyrządziła Polakom matka moja i pozwalam, ażeby wygnańcy polscy powrócili do ojczyzny.

I zaraz pousuwał dawnych faworytów Katarzyny, owych Zubowów, Marków, Suwarowów, jednych stawiając przed sąd, drugich wysyłając w głąb Rosyi lub na Sybir. Zadrzeli na prowincyach przejęci strachem generał-gubernatorowie i guberantorowie cywilni i inni dostojnicy moskiewscy.

— Na Boga — szeptali z niepokojem — gdy car Paweł dowie się o naszych nadużyciach lada dzień złoży nas z urzędów i w Sybir popędzi!

Zmienili więc swoje postępowanie z podwładnymi, i choć trudno im było powstrzymać się od nadużyć, do czego już przywykli, przecież choć trochę się powstrzymywali a zmianę tę najbardziej odczuli polscy poddani[2]).

[1]) Z carem Pawłem rozpoczęła się epoka nowa zupełnie od poprzedniej odmienna. Nie brał on dotąd żadnego udziału w sprawach publicznych, choć miał już lat 42 (ur. 1754). Katarzyna nie kochała go i lekceważyła go, choć był jedynakiem, a będąc despotyczną nawet jego własne dzieci wychowywała według własnej woli. Gdy zaś według postanowień Piotra Wielkiego każdy car mógł po sobie wyznaczyć następcę, więc, choć Pawłowi z urodzenia tron się należał, Katarzyna chciała na nim osadzić wnuka swego Aleksandra. Przeszkodził temu sam Aleksander, odkrywając ojcu plan babki. Stale pomijany przez matkę Paweł przebywał głównie w niedalekiem od Petersburga miasteczku Gatczynie i tam stworzył sobie świat odrębny, dziwny i fantastyczny. Będąc wielbicielem Fryderyka II pruskiego — którego poznał, odbywając rozległe podróże po Niemczech, Francyi i Włoszech — urządził sobie armią gatczyńską na wzór pruski, ubierając ją jednak w dziwaczne mundury, czas spędzał na ćwiczeniach tej armii, zaprawiając wcześnie synów swoich Aleksandra i Konstantego do suchej, monotonnej a męczącej służby kapralskiej. Tak zamknięty w sobie, pędził życie smutne, ponure i jednostajne, zupełnie nie biorąc udziału w przyjęciach dworskich w Petersburgu, patrząc z lekceważeniem i szyderstwem na wpływowe osobistości dworu, na sam dwór i jego działanie.

— Źle się tam dzieje — mawiał z westchnieniem — polityka mej matki jest błędna, i da Bóg doczekać, wszystko to z gruntu odmienić muszę.

Po objęciu tronu okazał się niezwykle energicznym i czynnym przy przeprowadzaniu tych zmian.

[2]) Sokołowski str. 1265 według pamiętników ks. Adama Czartoryskiego.

chowna nakazała wystąpić księżom-Niemcom z towarzystw niemiecko-katolickich. Nie pozostawało jej nic innego jak uczynić to samo z księżmi polskimi w „Straży“.

I czekano tylko na dogodną chwilę i oglądano się za odpowiednim pozorem. Złożyło się więc — dla Władzy Duchownej — tak szczęśliwie, że „Straż“ poparła wydawnictwo „Czarnej księgi“, o którą wyniknął od razu straszny spór. Był to więc pozór dla wydania nowego okólnika.

Tak, ale „Czarna księga“ wydana została, spór się o nią toczył jeszcze przed walnem zebraniem „Straży“, potrzeba było jeszcze pozoru na to, że wydaje się ten okólnik — po tem zebraniu.

I znowu nieszczęśliwa „Straż“ daje ten pozór. Starosta p. dr. Bolewski prosi Główny Zarząd, co mają robić starostowie, by uspokoić lud rozgoryczony pierwszym okólnikiem N. ks. Arcybiskupa. Na dowód przytacza słowa, które ubliżają wprawdzie N. ks. Arcybiskupowi, ale które nie pochodzą od niego samego, lecz od włościania pewnego.

I za te słowa owego włościanina (nie przytaczamy ich tutaj, bo wobec takiego zakazu, do „Straży“ wystósowanego, łatwo mogłaby się i „Praca“ znaleść na indeksie) — robi N. ks. Arcybiskup odpowiedzialną „Straż“.

Czytelnicy nasi łatwo sami osądzą, czy stało się to słusznie.

W każdym razie okólnik stał się dziś już wypadkiem, który należy do przeszłości, z którym jednakże musimy się liczyć — na przyszłość.

Należy tutaj z góry uprzedzić mogącą powstać opinię, że „Straż“ sama jest może coś zdrożnego ponieważ N. ks. Arcybiskup usuwa od niej księży.

Otóż tak nie jest. Bo, nasampierw gdyby „Straż“ czemś zdrożnem była, toby ks. Arcybiskup wogóle księżom nie był pozwolił, do niej przystępować, a powtóre — okólniki N. ks. Arcybiskupa w niczem nie wypowiadają o „Straży“ samej sądu.

Wprawdzie powołuje się N. ks. Arcybiskup na „Czarną księgę“, na przemówienie p. dr. Bolewskiego, ale w istocie ani za pierwsze ani za drugie „Straż“ odpowiedzialną być nie może. Bowiem „Czarnej księgi“ „Straż“ nie wydawała, jej nie poleciła pisać, dała zaledwie małą pomoc na jej wydanie, a że lud ma żal do N. ks. Arcybiskupa o pierwszy okólnik, temu „Straż“ przecież jeszcze mniej winna, bo tym okólnikiem ona to właśnie jest bita.

A więc opinia, którąby z powodu okólników powstać mogła, że „Straż“ to nie jest organizacya, którą by każdy prawowierny katolik popierać mógł, ta opinia byłaby niesłuszną, niechrześciańską i strasznie krzywdzącą „Straż“ i całe nasze społeczeństwo. „Straż“ dotąd nie uczyniła nic takiego, coby ze stanowiska wiary św. katolickiej na najlżejszą zasługiwało naganę. Przeciwnie „Straż“ bronić ma najświętszych skarbów naszych, tej św. wiary katolickiej, mowy, którą tę wiarę wyznajemy, i ziemi, na której tej wierze stawiamy święte przybytki.

Czy za tę obronę „Straż“ może stać się — zdrożną?

Nie — przenigdy.

To też jak dotąd, tak i nadal pozostaje na społeczeństwie obowiązek popierania tej „Straży“, a utwierdzić ją może w tem odpowiedź, jaką „Straż“ wystósowała na ten okólnik ks. Arcybiskupa.

* * *

Odpowiedź „Straży“.

Na dniu 30-tym kwietnia wydał Najprzewielebniejszy Ksiądz Arcybiskup okólnik, w którym nakazał duchowieństwu obydwóch dyecezyi, by *„wycofało się od udziału w „Straży“ zupełnie i na przyszłość do niej nie przystępowało“*, motywując krok swój najpierw ukazaniem się *„z subwencyą „Straży“ bezimiennej broszury „Czarna księga“ i rozszeżaniem jej przez „Straż“*, powtóre podnoszeniem *„zaczepek ze strony ostatniego zebrania starostów „Straży“, wymierzonych przeciwko księdzu Arcybiskupowi, w sposób znieważający Jego osobę“*.

Wobec tego Główny Zarząd Straży podaje do publicznej wiadomości, co następuje:

1) Główny Zarząd uważa sprawę „Czarnej księgi“ przez złożenie oświadczenia z dnia 29 kwietnia rb. — którego władza duchowna najwidoczniej nie znała — w połączeniu z odezwą pp. wydawców, proszącą o znisz-

---

Wtedy to, gdy car Paweł wstępował na tron, najdostojniejszy nasz bohater Tadeusz Kościuszko siedział w więzieniu petersburskiem w pałacu Orłowa chorym jeszcze będąc z ran otrzymanych w bitwie pod Maciejowicami. Dolegały mu szczególnie bóle głowy, na której jedna rana zawiązana była czarną opaską, inna zaś rana ubezwładniała mu lewą nogę[3]).

Dnia 26 listopada 1796 r. w dziewięć dni po śmierci Katarzyny otwarły się drzwi więzienia i przed Kościuszką ukazał się car Paweł wraz ze swym synem w. księciem Aleksandrem i wspaniałym orszakiem swego dworu. Z ożywieniem w obliczu i wielką serdecznością ujął car rękę naszego bohatera i rzekł:

— Generale mój, przybyłem tu, abym ci wolność powrócił!

Osłabiony Naczelnik powstał od stolika, przy którym siedział i z pewnem pomięszaniem wyrzekł słowa podzięki za radosną nowinę i słuchał podniecony dalszej mowy cara:

— Wiedz waleczny generale, że postać twa i czyny twoje wzbudzają jaknajwiększą sympatyę we mnie, w rodzinie mej i że serdecznie współczuję dla kraju twego, dla tej nieszczęśliwej Polski, która z własnej winy, jakoteż z winy swych współobywateli upadła!

Bardziej zapewne zajmowały Naczelnika więcej rzeczone słowa, będące usprawiedliwieniem się, z jakiem car zwrócił się do Ignacego Potockiego:

— Byłem zawsze przeciwny podziałowi i uważałem czyn ten, za również niesprawiedliwy jak niepolityczny. Lecz, ażeby teraz przywrócić Polskę, potrzebaby zgody trzech mocarstw! Czy zezwoli na to Austrya? A tem

[3]) Tad. Korzon w rozprawie p. t.: „Uzdrowienie Kościuszki i sprawa Legionów“ (Tyg. ill. N, 9. Warsz. 1906) zastanawia się nad tem, w jak sposób Kościuszko chorym będąc, mógł tak zaraz wyzdrowieć, ażeby po uwolnieniu przez Pawła z więzienia, mógł przedsięwziąć tak daleką i uciążliwą podróż do Ameryki. I zapytuje się: „Jakie leki zdziałały tak cudowny skutek?“ Odpowiedź na to daje mu bardzo rzadka książka, skreślona przez inżyniera amerykańskiego Evansa, który przejął się takiem uwielbieniem dla imienia Kościuszki, że umyślnie jeździł do Europy, zwiedzał miejsca pamiątkowe i zbierał materyały biograficzne do życia naszego bohatera. Książka, którą napisał, nosi tytuł: „Memoir of Thaddeus Kościuszko Poland's hero and patriot“ i jest rzadkością bibliograficzną. Jeden tylko egzemplarz darowany przez autora Wład. hr. Platerowi znajduje się w bibliotece Muzeum Narodow. w Rapperswylu. Według tej książki Kościuszko uległ niezwykle radosnemu wzruszeniu, które go uzdrowiło dopiero w r. 1798, gdy w Ameryce otrzymał bardzo pocieszające listy z Polski. Były to oczywiście listy legionistów polskich z wyrażoną nadzieją, że wywalczoną jeszcze zostanie utracona niepodległość narodowa. Te więc wiadomości zrządziły wstrząs nerwowy, który uzdrowił znękanego rozpaczą Naczelnika. Potwierdzili też stan taki lekarze specyaliści: neuropatolog Wład. Gajkiewicz i chirurg Maryan Borsuk, którzy zawnioskowali, że „bezwład nogi lewej, z początku bolesnem jej zranieniem spowodowany, mógł następnie być podtrzymywanym przez silne wrażenia przygnębiające, deprymujące, hamujące pewne czynności mózgu. Tym samym sposobem inne silne wrażenie, zwłaszcza przyjemne, podniecająco działające, mogło bezwład ten czysto psychiczny usunąć.“

czenie pierwszego nakładu broszury, za ostatecznie załatwioną.

2) Główny Zarząd przekonywa się z treści okólnika, że N. ks. Arcybiskup o zajściu na walnem zebraniu starostów *mylnie* został poinformowany i stwierdza, że *zebranie* wspomniane *nie podnosiło* bynajmniej zaczepek, znieważających osobę Najprzewielebniejszego ks. Arcybiskupa. Jeden ze starostów zapytał tylko główny Zarząd, jak postępować mają starostowie wobec wielkiego rozgoryczenia, panującego wśród ludu, które to rozgoryczenie scharakteryzował powtórzeniem słów jakiegoś włościanina, zawierających w rzeczy samej obrazę N. ks. Arcybiskupa. Z orzeczeniem owego włościanina nie solidaryzował się ani odnośny starosta, ani całe zebranie starostów.

3) Główny Zarząd w przeciwieństwie do tych świeckich obywateli, którzy według słów okólnika władzę duchowną do wystąpienia przeciwko Straży nakłaniali — jest tego zdania, że polityczny stosunek władzy kościelnej do duchowieństwa i na odwrót unormowany być winien przez interesowane czynniki, tj. przez władzę kościelną oraz duchowieństwo. Straż, jako świecka organizacya obrony narodowej w sprawie tej może zająć stanowisko wyłącznie bierne.

4) Główny Zarząd oświadcza, że *Straż jak dotąd, tak i nadal stać będzie na podstawie narodowej i katolickiej*, że mimo ciosów, godzących w nią z różnych stron pod rozmaitemi pozorami z tem większą czujnością i energią pracować będzie dla dobra kraju.

Główny Zarząd „Straży“.
Józef Kościelski, prezes.
Dr. Wł. Mieczkowski, sekretarz.

Poznań, 4 maja 1906.

* * *

Na tem oświadczeniu możnaby sprawę tego okólnika uważać za zakończoną. Pozostaje nam atoli stwierdzić to, że odpowiedź „Straży“ jest spokojna, rzeczowa, nie uchybia w niczem godności N. ks. Arcybiskupa — ale staje jak należy w obronie własnej.

Takiej odpowiedzi spodziewało się na ten ostatni okólnik — całe społeczeństwo.

„Czarna Księga“.

Zainteresowanie „Czarną Księgą“ dziś jest tak ogólne, że byłoby pewnego rodzaju uchybieniem ze strony pisma naszego, gdybyśmy sprawę tę pomijali milczeniem.

Na usprawiedliwienie nasze dodać musimy, że już do poprzedniego numeru mieliśmy gotowy artykuł; musieliśmy go atoli wycofać ze względu na zbyt obfity materyał inny nie cierpiący zwłoki.

I nie żałujemy tego, skoro i okólnik i inne oświadczenie podane przez nas w ostatnim numerze ciekawość Czytelników naszych zapewne więcej jeszcze rozbudziły.

I czemże jest ta „Czarna Księga?“

Jestto, piszą nam, dziełko wydane przez pp. Maniszewskiego i Kędzierskiego we Lwowie, składające się z dwóch części zupełnie odrębnych. Część pierwsza zawiera szereg artykułów, traktujących o napływie żywiołu niemieckiego, o protestantyzacyi, o demoralizacyi i t. d.; rozdziały poszczególne przeplatane są poezyami, których treść zwraca się głównie przeciwko sprzedawczykostwu tak mocno szerzącemu się niestety w ostatnich dwóch latach wśród włościan i gospodarzy.

Część tę znają Czytelnicy nasi z numerów „Pracy“ na styczeń i luty.

Druga część zawiera wykaz dóbr rycerskich i gospodarstw, które w dwudziestu latach istnienia swego nabyła komisya kolonizacyjna z rąk Polaków, tak szlachty jako i gospodarzy. Przy każdym majątku lub gospodarstwie dodano powiat, ilość mórg, cenę ogólną, cenę przeciętną za hektar oraz nazwisko sprzedającego. Jeżeli majątek przeszedł w ręce kolonizacyi w drodze subhasty, wówczas zaznaczono to, łagodząc winę, w osobnej uwadze; materyał użyto zupełnie prawidłowy, albowiem było nim *urzędowe* sprawozdanie komisyi kolonizacyjnej, która jak każdego roku tak i za rok 1905-ty musiała złożyć referat sejmowi pruskiemu. W sprawozdaniu tem urzędowem nadmieniono w każdym przypadku czy właściciel ostatni (Vorbesitzer) Polakiem był lub też Niemcem. Dziełko opracowane jest z widocznym trudem i mozołem i zawiera około 300 włości, których właściciele z okresu lat

---

mniej jeszcze Prusy! Mamże dla Polski wypowiedzieć im wojnę?!

Po chwili zaś dodał mniej ożywionym głosem:

— Państwo moje po tak ciągłych niepotrzebnych wojnach aż nadto potrzebuje pokoju, a więc trzeba wam się poddać smutnej konieczności!

W jakiemże naprężeniu był umysł znękanego Naczelnika, który poprzysiągł był sobie i swemu Narodowi walczyć na śmierć i życie dla drogiej ojczyzny, głównie z najsroższym jej wrogiem, Rosyą! To dotąd uosobnienie przemocy, bezprawia, krzywdy i prześladowania, ten car rosyjski taki wspaniałomyślny, łagodny i przyjacielski, tak uczciwie i szczerze przemawia, tak żałuje biednej Polski, tak prawie przyznaje się do winy, usprawiedliwia się i chciałby odpokutować bezprawia przodków i tak z duszy i serca wynagrodzić krzywdy Narodowi Polskiemu wyrządzone. A przecież błogo musi być Naczelnikowi słyszeć, jak szlachetne czyny dla polepszenia losu Polaków przedsiębierze ten nowy dobry car i serce mięknąć mu musi, gdy, będąc obcym i nieprzyjacielem, widzi się przez niego tak cenionym, podnoszonym, niemal uwielbionym!

Bo oto car Paweł wydał dla Polski dwa ważne ukazy:

— Uwolnić wszystkich polskich więźniów, trzymanych w Petersburgu i wszystkich jeńców polskich wywiezionych na Sybir!

— Znieść ukaz carowej Katarzyny, zabraniający Polakom nabywania własności ziemskiej w prowincyach dawnej Polski![4])

A car Paweł i carowa obsypywali Tadeusza Kościuszkę darami i przyjmowali go na swym dworze z największem wyszczególnieniem. Car obdarzył go 12 000 rubli i dał mu majątek ziemski z 1 000 dusz. Na wyjazd w podróż przysłał mu wspaniałą karetę, sobolowe futro, kuchnię podróżną, bieliznę stołową i zaopatrzył go a także bawiącego z nim Niemcewicza we wszystkie potrzeby podróżne.

Nie mógł się Kościuszko oprzeć tylu dowodom łaski i serdeczności cara i carowej, więc pokonana została jego ludzka natura takim wstrętem do wroga przejęta, gdy nadto chłodno i spokojnie rozważał smutne położenie Polski i Polaków.

— Ha trudno, za tyle dowodów życzliwości, za tyle niespodzianych darów nie mogę pozostać niewdzięcznym, muszę poddać się smutnej konieczności, bo przyjmując te objawy wspaniałomyślności od wroga, wracam przynajmniej wolność towarzyszom niedoli jakoteż rodakom pozbawionym ojczyzny i gotuję im los znośniejszy!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[4]) Dnia 3-go grudnia 1794 r. wydała carowa Katarzyna ten ukaz, zniósł go car Paweł a wznowił w r. 1865 car Aleksander II.

20 trzeba było pojedyńczo wyszukiwać i badać.

To też nie dziw, że w pracy tej znalazło się, mimo badań i zbierania informacyi u osób mogących uchodzić za kompetentne, kilka pomyłek i błędów, które pokrzywdzonym dały powód do publikowania sprostowań w „Dzienniku Poznańskim.“ Fakt, że właśnie to pismo odznacza się skwapliwem zamieszczaniem nawet zupełnie nieuzasadnionych „sprostowań,“ jest wielce znamiennym i charakterystycznym. Lecz o tem później.

Zaznaczamy z góry, że stoimy na stanowisku, iż krzywda wyrządzona powinna być naprawioną, oraz że nie wolno nam lekkomyślnie narażać honoru i czci współrodaków na wzgardę i pohańbienie. Na tem samem stanowisku stoją też wydawcy, którzy dwukrotnie oświadczyli, że możliwe krzywdy w nowym ulepszonym nakładzie naprawią, i którzy usilnie proszą, aby poniszczyć sumiennie tomik drugi pierwszego wydania. Dla nas oświadczenie takie wystarcza i sądzimy, iż powinno ono wystarczyć całemu społeczeństwu, a nawet i jednostkom czującym się pokrzywdzonemi.

Miarodawczem bowiem w całej sprawie powinno być pytanie: czy wydawcy i autorowie — piszemy autorowie, boć wiemy, że informatorów było kilkudziesięciu — kierowali się dobrą wolą, czy też brak było im intencyi stworzenia czegoś pozytywnego i pożytecznego?!

Całe zestawienie dziełka przybrane w szatę nieco drastyczną czyni atoli wrażenie poważne i wartość dziełka podnosi bardzo szczegół, iż jest to pierwsze, swobodne, żadnymi względami na osoby wysoko lub najwyżej w społeczeństwie stojące, nie krępujące się wydawnictwo swego rodzaju.

Wiele pisano, wiele blagowano na punkcie wydania „Czarnej Księgi“, lecz nikt się jakoś do tego nie chciał zabrać. Najwidoczniej zdawano sobie sprawę z trudności, na jakie samo wydanie dziełka napotka, i przewidywano przykre krytyki, jakie wywoła.

I nie omylono się. Tuż po ukazaniu się „Czarnej Księgi“ odezwały się głosy panów Chrzanowskich, Hulewiczów, rzucających szumnymi frazesami a obwijających jądro prawdy w bawełnę. Na wyróżnienie z pośród głosów odzywających się w sprawie „Czarnej Księgi“ zasługują głosy takich obywateli, którzy z godnością i taktem ujęli się za pokrzywdzonym honorem. Są to pp. S. Kraszewski z Szarlotenburga, M. Wybicki z Gołubia i T. Siewicz z Poznania. Wszyscy w słowach poważnych stanęli w obronie honoru i nazwiska, oni niewątpliwie też otrzymają zadośćuczynienie, jakie im się słusznie należy.

Inaczej się ma sprawa z p. *Tadeuszem Chrzanowskim* z Kościanek. Trzeba wiedzieć, że Chrzanowskich sprzedało majątki kolonizacyi aż pięciu! Trzeba wiedzieć, że wsi z nazwiskiem Stanisławowo jest dwie i że w istocie sprzedał Stanisławowo II, jak o tem pisze wyraźnie referat urzędowy komisyi Polak a był nim: Chrzanowski. To wszystko pokrywa p. T. Chrz. pięknie milczeniem, aby powiększyć „podłość, kalumnią“ itd. autora.

W wykazie odnośnym napisano mylnie, iż Stanisławowo II sprzedał ś. p. *Seweryn* Chrzanowski. Wykazuje się atoli, iż Stanisławowo II sprzedał Lech Chrzanowski, ten sam, który sprzedał Rudę Młyn. Nie sprzedał zatem ojciec, lecz stryjeczny brat i to dało panu T. Ch. powód do wylania steku wyzwisk na łamach „Dziennika Poznańskiego!“ Nam się wydaje, iż właśnie p. Chrzanowski najmniej miał powodu do napuszystego a przytem wielce gminnego tonu w swem „sprostowaniu.“ Bo chociaż nie „ojciec,“ nie „brat“, zawsze swat, — a członek rodziny, w której aż pięciu zapisać należy sprzedawczyków, nie powinien siadać na wysokiego konia. Przyznajemy zresztą p. Chrz., że umie pięknie pisać artykuły, gdy chodzi o inne „rody“, np. gdy radził, jak ratować „Kotowiecko“ w artykułach, nad którymi rozmaicie kiwano głowami. Zapytujemy się atoli, gdzie był p. Chrzanowski wtenczas, gdy pięciu innych panów tego nazwiska kolejno „pukało“ swe majątki na kolonizacyą? Czemu to nie ratowano Brudzewa, Ostrowa należących do Chrzanowskich? A czy p. T. Chrz. wyparłszy się publicznie w gazetach pana K. Chrz. z Krz., kolonizatora, nie „przepraszał“ go potem znowu w gazetach, bojąc się dostać przed kratki sądowe? A czy p. T. Chrz. żądający, „aby sprzedawczykom chociażby bratu lub kuzynowi ręki nie podawać,“ nie spacerował z innym kolonizatorem p. Ed. Chrz. publicznie po Poznaniu? A czy nie bywał w domu innych sprzedawczyków? Czy nie znane są p. T. Chrz. listy ś. p. księdza Szypowa z Brudzewa, które dzisiaj jeszcze spoczywają w archiwach rozmaitych redakcyi pism poznańskich? Czy może listy te opublikować, aby stworzyć kontrast między „pięknymi artykułami“ a „czynami“ tak bardzo gorszącego się obywatela? Kto sam pod szklanym siedzi dachem, niechaj nie rzuca na drugich kamieniem!

Gorzej jeszcze aniżeli p. Chrzanowski Tadeusz z Kościanek pozwolił sobie wystąpić w „Dzienniku Poznańskim“ p. *dr. Edward Hulewicz.* O powodach dla czego panu temu sprzedano na subhaście Gorzykowo wolimy nie

---

Noworocznik

„Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów na Rzeszę Niemiecką.“

Noworocznik Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów miał być pierwszą próbą pióra wszystkich naszych „wybitności“ literackich, nie dziw zatem, że zapowiedziany kilka tygodni naprzód, oczekiwany był z pewnem upragnieniem, z niecierpliwością. Publiczność była ciekawą dowiedzieć się nareszcie, czy osławiona nasza Beocya zasługuje na swoją nazwę, czy też może dotąd tylko przesadzano?

Gdy „Noworocznik“ się ukazał, jedni zdziwili się, drudzy machnęli ręką — „nie można się było spodziewać inaczej!“ — Ci ostatni jednak nie mieli słuszności, bo jakkolwiek „Noworocznik“ nie daje prawie nic, coby się godziło zwać literaturą, — jest tam zaledwie kilka udatnych drobnostek, — to jednakowoż nie można powiedzieć, żeby sceptycyzm z góry był uprawniony. W samem założeniu „Noworocznika“ zrobiono jeden bardzo poważny błąd — oddając ocenę nadesłanych utworów w ręce Zarządu. Mimo całego szacunku, jaki mam dla członków Zarządu jako ludzi i obywateli, nie mogę się jednak solidaryzować z nimi jako członkami jury.

Jedni z nich, aczkolwiek zasłużeni redaktorzy i obywatele, nie mają żadnych danych do oceny utworów czysto literackich, drudzy — kierowali się nie względami na wartość utworów, tylko względami na ród lub stanowisko społeczne autorów. Względy podobne nie dają się usprawiedliwić niczem, ani przyjaźnią, ani szacunkiem, jaki może mieli członkowie jury dla poszczególnych autorów. Jura powinna była mieć tylko jeden cel na oku: wydać zbiorową pracę literatów, która byłaby wiernem odbiciem naszego życia umysłowego.

Przekonawszy się, że nasze życie umysłowe zbyt poziomemi kroczy drogami, że jego wierna odbitka jest tego rodzaju, że jej publikować nie warto, trzeba było raczej zamknąć wydawnictwo, niż narażać się, wydając rzecz bezwartościową, na surową ocenę ze strony krytyki zakordonowej, bo przez to wciągnęliśmy Wielkopolskę znowuż w tę samą bezdnię uprzedzeń, a nawet

pisać w własnym jego interesie a po drugie dla tego, że liczymy się z zasadą taktu dziennikarskiego i nie uprawiamy rabulistyki ani też nie chcemy prowokować prokuratoryi pruskiej jak to czyni najwyraźniej p dr. H. w swem niefortunnem sprostowaniu. Dość zaznaczyć, że kolonizacya kupiła Gorzykowo na subhaście i dość potwierdzić, że autor w „Czarnej Księdze“ wyraźnie sam to zaznacza jako uwagę łagodzącą. Gdyby tacy panowie jak dr. H. przeczytali sobie oba tomiki wydania, to siedzieliby cicho! Pan dr. H. woli natomiast bryzgać błotem, woli rozmazywać historyą sprzedaży Gorzykowa, dla czego? — dla tego, iż „Czarna Księga“ napisała prawdę, iż kolonizacya kupiła wieś jego na subhaście. Zastanówcie się, panowie i nie ośmieszajcie siebie i stanu waszego, bo dość licho on i tak już wygląda!

Najwstrętniejsze atoli stanowisko w całej sprawie „Czarnej Księgi“ zajął organ „poważny“, „Dziennik Poznański“ ze swym naczelnym redaktorem, tyle osławionym p. dr. Wł. Łebińskim! Zdawaćby się należało, iż „poważny“ ten, jak siebie samego nazywa, organ prasy, posiadać powinien choć szczyptę miłości prawdy i odrobinę zdrowego krytycyzmu. Niestety tak nie jest.

Pan dr. W. Łebiński rzucił się z lubieżnością do rozmazywania sprawy „Czarnej Księgi“. Z zapałem iście młodzieńczym, godnym lepszej sprawy, z zapomnieniem zasad głoszonych w swym „Dzienniku“: że obywatel, któremu kolonizacya wykupi z rąk wieś choćby na subhaście mimo to jest „kolonizatorem“, umieszcza p. dr. W. Łebiński marne, wstrętne pismidła, których autorowie wynosząc cele swe osobiste i prywatę ponad dobro ogółu, śmią grozić „Straży“ pruskim prokuratorem i przepowiadać jej „śmiertelne ciosy!“ Tego juz jednak trochę za wiele! Zbyt często już odzywały się głosy i to „głosy poważne, że redakcya „Dziennika Pozn.“ znajduje się w ręku człowieka szalonego, który kompromituje siebie, pismo, swą radę nadzorczą, swych akcyonaryuszy i rozumie się swych czytelników, z których trzy czwarte wychowane na strawie dziennikowej uchodzi za ludzi zupełnie bezkrytycznych! Zbyt często naradzano się nad tem jakby wytrącić berło redakcyjne z rąk zgorzkniałego starca, który styka się ze światem zewnętrznym nie za pomocą pięciu zmysłów, lecz jedynie „wątroby“, zbyt często karano mściwego starca „wierszykami, niexeniami“ lub drastyczniejszymi argumentami, on zawsze jest „najwpływowszym i najzgrabniejszym“ dziennikarzem! Nie wiedzieć co większe u tego filaru dziennikarstwa, czy bezkrytyczność czy też wprost zła wola? Czy „Dzien. Pozn.“ nie może sprawdzić, ażali istnieje Stanisławowo II i kto je sprzedał? Czy w redakcyi nikt nie może sprawdzić dla czego Gorzykowo nabyła kolonizacya na subhaście? Czy należy wszystko drukować na pierwszej kolumnie lub „rozstawnemi“ głoskami co napisze kilku „manifestantów“ znanych z tego, że pracują tylko tam, gdzie mogą wywierać osobiste wpływy lub zostać „prezesami?“ Czy to nazwać można szczerą życzliwością dla „Straży“, jeżeli pozwala się na umieszczanie nikczemnych groźb prokuratorem pruskim? Piękna zaiste życzliwość. Podobnego postępowania redakcyi pisma polskiego nie można nazwać bezkrytycyzmem — to też piętnujemy całe wystąpienie „Dziennika Pozn.“ w tej sprawie jako wyraźny objaw złej woli, jako wyraźną chęć podkopania „Straży“.

Napaść, wykonana na „Straż“ przez pp. Chrzanowskiego, Dr. Hulewicza i Dr. Łebińskiego — tres faciunt collegium — tem więcej jest godna napiętnowania, iż „Straż“ nie miała z wydawnictwem „Czarnej księgi“ żadnej innej łączności, jak tę, iż przyrzekła wydawcom małą subwencyą. Tego panowie manifestujący przeciwko „Straży“ naturalnie także nie wiedzieli redagując z trójnoga swe bombastyczne pismo. Panowie ci, widocznie innych pism, prócz „Dz. Pozn.“ nie czytają, gdyż inaczej powinniby wiedzieć, że wydawcy już pod koniec zeszłego tygodnia wydali deklaracyą, w której całą odpowiedzialność za wydawnictwo wzięli na siebie. Jakaż to szkoda, że panowie ci tak znani z patryotyzmu, z prac na niwie społecznej, z odrazy do kolonizatorów nie zabrali się sami do wydania „Czarnej księgi“. Byłoby to zapewne „wiekopomne dzieło“. A możeby i im się choć z jedna pomyłka w dziele takiem przygodziła, czy napisaliby na siebie wyrok w guście poniedziałkowego oświadczenia w Dzienniku? Zapewne nie, co najwyżej powiedzieliby tak, jak to uczynili wydawcy „Czarnej księgi“: krzywdę naprawimy, nad pomyłką ubolewamy.

Takie też spokojne, objektywne stanowisko zajął pewien kapłan, podpisujący się X. L. R., który nie uniewinniając pomyłek, patrzy w serce ludzkie, bada sumienie i szuka w niem złej czy dobrej woli! To zapatrywanie kapłana jest jedynie słusznem, a skoro jest chęć naprawienia błędów i omyłek, to wyzwiska i ordynarne wycieczki stanowczo tu nie na miejscu. „Czarna księga“ była konieczną; jej część pierwsza jest wykonana bez zarzutu; jest pisana spokojnie, rzeczowo, nie drażni nikogo, przeciwnie winy łagodzi. Część druga jest także niezbędna, jest konieczna, bo my mamy prawo, my musimy wiedzieć, kto był zdrajcą ojczyzny, kto jest z Targowicy.

To też życzyćby należało, aby wszelkie zakusy kolonizatorów, starających się o zniszczenie „Czarnej Księgi“, tego pomnika hańby a zarazem „rachunku sumienia“ i gryzącego „lekarstwa“ spełzły na niczem. Niechaj wydawcy, skasowawszy wydanie pierwsze, przystąpią jak najspieszniej do wydania drugiego poprawnego, a całe społeczeństwo zdrowo myślące i szczerze polskie tylko im za to wdzięczność okazać może! *Z. K.*

* * *

Godzimy się na powyższe rzeczowe uwagi w sprawie „Czarnej Księgi“.

---

drwin, jakich nam nie szczędzono dotąd. A taka jedna nie udana próba gorszą jest niż siedm lat bezpłodnych zupełnie.

Gdybyż przynajmniej „Noworocznik“ był wiernem odbiciem naszego ruchu literackiego — ale on do tego nie może absolutnie mieć pretensyi! Jury nie umiało stworzyć syntetycznego programu, skutkiem czego dostała się tam zbieranina najróżniejszych utworów, rażąco odskakujących od siebie formą i treścią — są tam artykuły polityczne, wrażenia z wieca „Straży“, artykuły tendencyjne — rzeczy same w sobie może dobre, ale przecież do „Noworocznika“ literackiego absolutnie się nie nadają! Są tam dalej wiersze, z których nie można nic wnosić o mierze talentu autora, są rzeczy wymuszone, wymęczone, jak uczniowskie zadania matematyczne. Jest to głównie winą jury — dla tego też jedynie nie uważam „Noworocznika“ za próbę literacką, któraby mogła świadczyć o naszym ruchu literackim, noworocznik taki będzie dobrą próbą tylko wtenczas, kiedy w jury zasiędą nie członkowie wydawnictwa i nie ludzie, mający za wiele względu na słabostki ludzkie, tylko ludzie, świadomi celu, dla jakiego pracują, i zadań, jakie mają do spełnienia, którzy jak najbezstronniej będą umieli oceniać *utwory*, nie zaś autorów. *Akoli.*

zupełnie i moglibyśmy na tem sprawę tę uważać za przesądzoną, gdyby tutaj nie chodziło o to, że w sprawie tej najsroższe pociski skierowały się przeciwko „Straży“. Oczywiście takie zmobilizowanie opinii publicznej przeciwko tej instytucyi mogłoby jej zaszkodzić. Zrobiła ona już to, co w danym wypadku zrobić było można, wpłynęła na wydawców, że wycofują obecnie spis kolonizatorów z obiegu i jak się dowiadujemy — go niszczą.

Rozchodzi się tutaj nam atoli o jedno jeszcze. Otóż kilku panów z p. Henrykiem Chłapowskim z Czerwonejwsi na czele, powołując się na swoje członkowstwo w „Straży“ domagają się za pośrednictwem oświadczenia w publicznych pismach zniszczenia „Czarnej Księgi.“

Dodajmy tutaj, że oświadczenie to datuje się z dnia 28-go kwietnia. Napisano je więc w przeddzień walnego zebrania „Straży“.

Otóż zapytać się należy, czy oświadczenie w publicznych pismach członków „Straży“ przeciwko „Straży“ jest *właściwą drogą?*

Musimy temu stanowczo zaprzeczyć. Panowie ci jako członkowie „Straży“ mieli chwalebną odwagę cywilną poruszyć tę sprawę w pismach — dla czego ta odwaga cywilna nie podyktowała im naszem zdaniem jedynie właściwej drogi — poruszenia tej sprawy na zebraniu „Straży?“ A jeżeli chodziło im może o to, by nie niepokoić tą sprawą walnego zebrania, czemu się w takim razie nie udali wprost — do Głównego zarządu?

Tylko Główny Zarząd, ew. zebrania lub wiece „Straży“ możemy uważać za właściwe instancye do poruszania jakichkolwiek spraw, które się w „Straży“ nie podobają. Kto innej drogi szuka, nie może uchronić się od zarzutu, że nie chodzi mu o dobro „Straży“.

Poruszamy tę sprawę szczególnie dla tego, ponieważ wydaje nam się to konieczne dla wyjaśnienia, do kogo członkowie „Straży“ z swoimi żalami udawać się powinni. Bo cóżby wynikło z tego, gdyby przykład, o którym mowa, chcieli naśladować i inni? Toć działyby się rzeczy przeciwko „Straży“ po za jej plecami. Jakże się ma w takim razie „Straż“ przeciwko temu bronić?......

Wystąpienie pp. Chłapowskiego Henryka i t. d. uważamy za dezorganizowanie szeregów „Straży,“ a przeciwko temu musimy stanowczo i energicznie wystąpić.

Z Królestwa Polskiego.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Warszawa, dnia 6-go maja rb.

W najdrobniejszych szczegółach do historyi Polski przejdzie pamiętny dzień 3 maja 1906. r. Od rana samego Warszawa ma wygląd świąteczny. Restauracye i sklepy przeważnie pozamykane, na ulicach tłumy w odświętnych strojach. U św. Krzyża i w katedrze św. Jana uroczyste nabożeństwa. Świątynie przepełnione. Nastrój podniosły. Nagle milknie wszystko, i po chwili milczenia o mury katedry starej odbija się głośno i pod sklepieniem płynie podniosły hymn narodowy: „Boże, coś Polskę.“ Dźwięki pieśni wspaniałej z progów świątyni się wylewają na ulicę. Ich echo powtarzają odwieczne mury kamienic średniowiecznych...

Na przedzie sześćdziesięciu mężów w szeregach, w otoczeniu tłumów tysiącznych. Wybrańcy narodu! Wyborcy! Za chwilę z szeregów swoich wydadzą dwóch posłów . Pierwszych posłów od lat 75-ciu! Nazwiska ich są znane, wynik wyborów przewidywany od dawna. Wybór Tyszkiewicza i Nowodworskiego zapewniony. Przechodzą olbrzymią większością, przeciwko 19 głosom żydowskim. Tylko dziewiętnastu! Na ogólną liczbę 80-ciu walmanów.

Obawy się nie sprawdziły. Warszawa uratowała honor kraju i własny! Z urn wyszła ilość Polaków, dostateczna do przeprowadzenia posłów narodowych. A walka była zaciekła! Stronnictwo DN wytężyło wszystkie swe siły, zmobilizowało tysiące agitatorów, zastósowało wszystkie sposoby agitacyjne, znane na Zachodzie europejskim, żyjącym od tak dawna życiem parlamentarnem. Warszawa podczas wyborów niczem się nie różniła od Paryża lub Nowego Jorku. Powódź kartek, odezw, afiszów, platform i transparentów. Głosowało przeszło 70 procent uprawnionych do wyborów. W ostatniej chwili ruszyli tłumnie robotnicy i rzemieślnicy warszawscy, i ci przeważyli szalę na stronę polską. Głosowało 33 tys. żydów i 36 tys. chrześcian. A była chwila krytyczna! Kolosalna większość Polaków podała głosy na listę narodowo-demokratyczną, listy PD i polityki realnej otrzymały ilość głosów niepomiernie nikłą. Żydzi nie głosowali jednolicie — mieli list kilka.

Swięto narodowe, więc pisma nie wyszły. Późnym wieczorem wydają dodatki nadzwyczajne: Wynik wyborów na prowincyi! Rozchwytano w jednej chwili. Radość! We wszystkich guberniach poprzechodzili kandydaci stronnictwa demokracyi narodowej. Przeszli z łatwością, większością przygniatającą. W Kielcach stoczyli bój z realistami, których kandydaci przepadli. W Lublinie i Siedlcach nieliczna garstka demokratów postępowych, Rosyan i żydów, wobec zwartej masy D. N. wpływu na wynik wyborów nie wywarła. W Kaliszu, Piotrkowie, Radomiu demokraci narodowi przeszli prawie jednogłośnie. Przeszedł Polak w Łodzi, dr. Rząd, dzięki połączeniu się Polaków z Niemcami przeciwko żydom, których kandydaci przepadli. Lecz i my ponieśliśmy porażkę w Suwałkach, gdzie przeszli dwaj narodowcy litewscy.

W ten sposób Koło Polskie posłów z Królestwa posiadać będzie 34-ech. Z nich już wybrano 25. Pozostałe gubernie: warszawska, płocka i łomżyńska wybierać będą 7-go maja. O te wybory jesteśmy spokojni. Szanse kandydatów narodowych są tam pewne. Zapewne przejdą pomiędzy innymi ks. Gralewski i adw. Chrystowski z Łomży i Koło Polskie zwarte, karne, a tak jednolite przekonaniowo, zasiądzie w pełnym już składzie na ławach petersburskiej Izby poselskiej.

Dodam jeszcze, że jest wśród posłów 5 włościan, 1 ksiądz, 2 robotników, reszta ziemianie, inżynierowie, lekarze, adwokaci... Oto lista posłów posłów dokładna:

Z Warszawy: Franciszek Nowodworski, adw.; Władysław hr. Tyszkiewicz.

Z Radomia: Józef Ostrowski, włościanin; Jan Wigura, adwokat; Józef Swierzyński, lekarz.

Z Łodzi: Dr. Antoni Rząd, lekarz.

Z Lublina: Maurycy hr. Zamoyski; Jan Stecki, dziennikarz i obyw. ziem.; Juliusz Florkowski, obyw. ziemski; Bronisław Malewski, lekarz; Józef Nakonieczny, włość.

Z Kalisza: Alfons Parczewski, adw. i uczony; Józef Suchorzewski, inż. i obyw. ziem.; Józef Głowinkowski, włość.

Z Piotrkowa: Ks. Maryan Fulman, proboszcz; Zbigniew Paderewski, lekarz; Hieronim Kondratowicz, inż.; Tadeusz Walicki, obyw. ziem.; Bronisław Grabiański, robotnik.

Z Siedlec: Józef Błyskosz, włościanin; Seweryn ks. Czetwertyński, obyw. ziem.; Bohdan Zaleski, ob. ziem.

Z Kielc: Teofil Waligórski, administrator dóbr; Mateusz Manterys,

włościanin; Wiktor Janoński, adw.prz. i wreszcie Litwini:

Z Suwalk: Piotr Witkowski; Józef Gurnius.

Zakończyły się też wybory na Litwie i Rusi; oba te kraje razem dały 23 Polaków do Izby Państwowej i 9 do Rady Państwa. Do Rady tej Królestwo całe wysyła zaledwie 6 posłów.

Wybory — 7-go bm. Bomby, bomby i bomby! Rzucono ich cztery: w Częstochowie na policmajstra, w Kaliszu na pułk Kellera, w Warszawie na osławionego dyr. kolei nadw. Proskurjakowa i wreszcie, o hańbo i wstydzie! — na zgromadzenie wyborcze w Siedlcach, lecz bez ofiar w ludziach, na szczęście. Skończyło się w Siedlcach na wybiciu siłą wybuchu okien na przestrzeni kilkunastu kroków. Proskuryakow w Warszawie i policmajster w Częstochowie uszli żywi, acz poranieni; ich towarzysze zostali zabici lub ciężko ranni. Keller w Kaliszu wyszedł bez szwanku, ocalał też naczelnik żandarmeryi siedleckiej, pod dom którego podłożona bomba wybuchła, szkody w ludziach nie zrządziwszy.

W Kaliszu i Płocku przystąpiono do wyborów do Towarzystwa Kred. Ziemskiego. Odbywają się one co dwa lata. W tem Towarzystwie od lat szeregu się ogniskuje całe życie społeczne warstwy szlachecko - ziemiańskiej, a wybory na radców i prezesów do dziś dnia posiadają znaczenie wybitne. W Płocku prezes wyborów p. Pruski odmówił złożenia przysięgi w języku rosyjskim i podpisania jej rosyjskiego tekstu, i z tego powodu gubernator nie otworzył posiedzenia. Zebrani ziemianie rozjechali się, nie dokonawszy wyborów. W Kaliszu zato, widocznie według instrukcyi władz wyższych, gubernator ani polskiej przysiędze, ani podpisowi polskiemu przeszkód nie stawiał i wybory odbyły się pomyślnie.

W Rosyi następne wybory przyniosły większe jeszcze, niż pierwsze, zwycięstwo lewicy. Przeszli przeważnie N. D-ci lub zwolennicy partyi jeszcze skrajniejszych. Gabinet Witte - Durnowo podał się do dymisyi. Nowy posiada na czele Goremykina, Stołypina, ministra spraw wewnętrznych, zaciekłych reakcyonistów. W Rosyi w Dumę nie wierzą i sądzą, że sprawa skończy się jej rozwiązaniem i dalszem panowaniem czas jakiś rządów absolutnych.

Sarmata.

Przegląd prasy.

Powszechną uwagę prasy naszej zwrócił na siebie oczywiście w pierwszym rzędzie nowy okólnik N. ks. Arcybiskupa. Niema pod zaborem pruskim pisma, któreby o nim się nie wypowiedziało.

Wiązankę wiadomości i głosów tych ze wszech miar uwagi godnych tutaj podajemy:

„Dziennik Berliński“ dowiaduje się ze źródła pewnego, że

„okólnik jest głównie produktem *ks. biskupa Likowskiego,* który do niego dał inicyatywę pod wpływem pewnej grupy szlachty, niechętnej prezesowi „Straży“ p. J. Kościelskiemu.

„Swoją drogą ks. Arcybiskup Stablewski także za niego odpowiada.

„Głośno o tem opowiadają sobie w Poznaniu. Za prawdziwością tej wersyi przemawia także ów ustęp okólnika, w którym jest mowa o tem, że usunięcia księży z „Straży“ „domagają się odemnie pojedyncze głosy obywatelstwa“

W sprzeczności do tej opinii zapewniają nas z kół księży, że okólnik wprost podyktowany jest przez N. ks. Arcybiskupa. Wynika to szczególnie z kancelaryjnego stylu i wielu błędów językowych, którymi okólnik wprost razi ucho polskie. Zresztą trudno istotnie stwierdzić, kto tu jest autorem. Najboleśniejszy jest fakt sam.

„Dziennik kujawski“ pisze:

„Okólnik ks. Arcybiskupa, zakazujący duchowieństwu wszelkiego udziału w „Straży“, wywołał, jak się tego spodziewać należało, ogromne rozgoryczenie w społeczeństwie. Prasa nasza szczerze narodowa upatruje w nim dotkliwego ciosu, wymierzonego przeciw instytucyi, mającej zespolić wszystkie nasze siły w obronie zagrożonego naszego bytu narodowego i przepowiada *zupełny rozłam* pomiędzy społeczeństwem a duchowieństwem. Powody zakazu, wymienione w okólniku, bynajmniej nie wytrzymują krytyki; właściwym powodem jest przypuszczalnie nacisk z góry z powodu zakazu należenia księży Niemców do Towarzystw katolików niemieckich. Tak też rozumie rzecz berliński „Tageblatt“, który radości swej z tego obrotu rzeczy bynajmniej nie tai i wytyka nam „brak rozsądku politycznego.“ Katolicka „Germania“ pisze, że okólnik podziała uspokajająco i godząco na katolików niemieckich, mianowicie zorganizowanych w związku Tow. Kat. niemieckich.

Tę samą przyczynę wydania okólnika podaje zwykle w sposobach dotyczących Władzy duchownej dobrze poinformowany *„Wielkopolanin“.* Pisze on:

„Różne przyczyny miały wpłynąć na to postanowienie. Jako najważniejszą uważamy tę, że władza duchowna nakazawszy księżom niemieckim wystąpienie z towarzystw niemiecko-katolickich podobnie postąpiła też wobec polskich duchownych.

„Władza duchowna popełniła *wielki błąd* wydając znane rozporządzenie, wzbraniające księżom przyjmowania urzędów w „Straży“ Uważaliśmy to rozporządzenie za błąd dla tego, że wydano je pod naciskiem władzy świeckiej i że ono tworzy niebezpieczny precedens, albowiem władza duchowna przyznaje władzy świeckiej prawo wtrącania się do jej stosunku, do księży.

„Następne rozporządzenia są wynikiem pierwszego. Dziś tedy doszło do tego, że władza duchowna zakazuje księżom należenia do Straży, jakkolwiek towarzystwo to w niczem nie ubliżyło władzy i jest szczerze katolickiem.

Tak pisze teraz „Wielkopolanin“, który do niedawna bronił i zasłaniał wszelkie kroki Władzy duchownej różnymi względami politycznymi. Dowód to, jak wielki zwrot musiał nastąpić w opinii społeczeństwa, skoro najwierniejsi zwolennicy Najprzew. ks. Arcypasterza — z pod jego polityki się wyzwalają.

„Lech“ pisze, że okólnik ten

„uderza w biedne i skołatane społeczeństwo nasze jak straszny grom, którego skutki na razie nieobliczalne. Władza duchowna nakazuje księżom wszelkiego udziału w instytucyi, która dziś łączy całe społeczeństwo. A więc wywołuje *rozdział zupełny pomiędzy społeczeństwem a duchowieństwem.* Czego zakaz pierwszy nie dokazał, tego dokonuje drugi“.

„Postęp“ pisze:

„Z tego zakazu będą się najserdeczniej cieszyli hakatyści i rząd pruski. Do czego oni dążyli, to prędzej się spełniło, aniżeli się spodziewali. Toć po gazetach hakatystycznych wciąż domagano się takiego zakazu, aby księżom nie było wolno należeć do „Straży“.

„Smutne i bolesne wrażenie robi ten najnowszy zakaz, który resztki zaufania podkopuje do władzy duchownej, która w ten sposób przeciwko ruchowi narodowemu występuje.“

„Goniec Wielkopolski“ uważa nowy okólnik za:

„wypowiedzenie otwartej walki aspiracyom narodowym.

„Spodziewać się można, iż w konsekwencyi nastąpi więcej jeszcze podobnych okólników, ale to nas zrażać nie może. Ubolewać tylko przychodzi nad tem, iż pomiędzy ks. Arcybiskupem a społeczeń-

stwem przychodzi do zupełnego rozłamu.“

pomimo tego — powiada dalej —

„społeczeństwo polskie nie może abdykować z obrony swej zagrożonej narodowości, nie może się godzić na politykę uśpienia i powolnej, stopniowej germanizacyi.“

„Górnoślązak“ pisze:

„Rozporządzenie to jest logicznym wynikiem rozporządzenia pierwszego, zakazującego księżom piastowania urzędów „Straży“ oraz wezwania niemieckich księży do ustąpienia z hakatystycznych towarzystw niemieckich katolików. Jestto nowy cios dla społeczeństwa, który jednak odmiennie sądzić wypada, niż znany zakaz, tyczący urzędów, piastowanych w „Straży“ przez księży. Ów bowiem wydany był pod naciskiem władz pruskich, te jest samoistnem wystąpieniem *Władzy duchownej*, sprowadzonem nie bez winy ze strony „Straży“, a przedewszystkiem nie bez winy *pewnego odłamu naszej prasy* (?) nie odznaczającej się niestety dostateczną ogłędnością, która, jak wszędzie, i w polityce jest konieczna“.

Głosy te wszystkie zgodnie potwierdzają to, co myśmy napisali w osobnym naszym artykule, że drugi okólnik Najp. ks. Arcybiskupa jest wynikiem pierwszego, że „Czarna Księga“ i zebranie starostów, to pozory do wydania okólnika, że przyczyny właściwe są inne. Wprawdzie pisma tu i owdzie mówią o „gromie, który w skołatane uderza społeczeństwo“, o „rozgoryczeniu“, jakie z powodu niego ma powstać, ale na ogół istotnie w prasie naszej daleko jest spokojniej, jak po pierwszym okólniku.

Na to jeszcze zwracają pisma uwagę i tego nie chcielibyśmy pominąć, że pierwszy okólnik wyszedł pod naciskiem z *zewnątrz*, drugi atoli zdaje się pochodzić od Władzy duchownej samej, która nakazem wystąpienia księżom niemieckim z towarzystw niemiecko-katolickich zaplątała się w położenie takie, z którego wyjść mogła bez narażenia się rządowi tylko podobnym nakazem wobec księży-Polaków w stosunku do „Straży“.

Smutne to niestety — ale miejmy nadzieję, że przyszłości naszej ten nowy okólnik Najprzew. ks. Arcybiskupa — nie cofnie wstecz.

* * *

Druga sprawa, która również całej naszej prasy zwróciła uwagę, to pismo prezesa komisyi kolonizacyjnej, którego podobiznę podaliśmy w poprzednim numerze „Pracy“. Pismo to obeszło w tłomaczeniu naszem całą prasę, która nie omieszkała przy tej okazyi dosadnio napiętnować bojkotu handlu i przemysłu polskiego.

Podaniem pisma tego silną społeczeństwu i prasie naszej daliśmy broń przeciwko głosom hakaty i polakożerców, którzy na naszym chlebie i naszym tucząc się groszem — nam jeszcze w bezgranicznej bezczelności zarzucali bojkot.

Wobec podanego przez nas pisma nawet taki „arcyhakatysta“ „Posener Tageblatt“ musiał zmilknąć i pary z gęby nie puszcza, bo przekonał się, że dotąd kłamstwem żywił czytelników swoich, i że to jego kłamstwo wyszło na wierzch.

Z całej wiązanki głosów w tej sprawie przytaczamy tylko głos *„Gazety Polskiej,“* która pisze, że

„Zakaz p. Blomeyera powinien oczy otworzyć wszystkim Polakom, którzy żyją pod berłem pruskiem. Ci, co mają ziemię, niechaj jej nie wydają jej z rąk, lecz owszem niechaj wzmacniają i rozszerzają stan jej posiadania.

„Ci, co żyją z handlu i rzemiosła, niechaj doborowym towarem i rzetelną obsługą współzawodniczą z handlem i przemysłem niemieckim.

„Praca rzetelna na wszystkich polach życia zarobkowego, to zawsze najlepszy puklerz przed zakusami przeciwników. Solidarności nam potrzeba! Widzimy jak zewsząd wali się na nas przemoc, bądźto w formie bojkotu, bądźto pod postacią politycznych szykan.

„Chyba teraz nie będą śmieli hakatyści i ich zwolennicy na urzędach państwowych, jak dotąd, twierdzić w swych pismach, że Polacy pierwsi rozpoczęli bojkot i brać będą mogli za złe Polakom, jeżeli całkiem poprzestaną kupować od Niemców.

„Rodacy, kiedy was zły duch opanuje i będzie popychał, ażebyście coś kupowali u obcych pod pozorem, że u nich lepszy i tańszy towar, w tym razie odczytajcie sobie powyższe urzędowe pismo, a jeżeli pozostało w was choć źdźbło uczucia polskiego, powstrzyma Was ono od splamienia godności waszej polskiej!“

W tym mniej więcej sensie odezwały się wszystkie pisma, powołując się na nasz dokument.

Wyróżnił się z tej powszechnej opinii jedyny tylko „Dziennik Poznański“ — europejski organ! I on podał nasz dokument, ale umiejętnie zakrył źródło, z którego go zaczerpnął — nie powołał się na „Pracę“.

W języku potocznym nazywa się to nieuczciwością — ale po takich wielkościach tej skromnej cnoty spodziewać się nie można. Zresztą wiadomo, że „małych złodziei się wiesza, a wielcy — zażywają swobody“. Tak samo ma się rzecz z „Dziennikiem Poznańskim“.

* * *

Codzień więcej palącą staje się sprawa — rugowania języka polskiego z nauki religii. W wiadomościach znajdą czytelnicy nasi całą wiązankę nowych doniesień z prowincyi. Tu należy nam poruszyć sprawę, której załatwienia wręcz gwałtownie domaga się opinia publiczna. Tą sprawą, to urządzenie *wieca ogólnego* i wydania hasła do poszczególnych wieców w całej dzielnicy naszej.

Nie ulega wątpliwości już dziś, że naukę polską religii usuwa się, gdzie jeszcze do ostatnich miesięcy istniała. Znak to, że istnieje tu dalszy ciąg systemu. Przeciwko temu społeczeństwo ma obowiązek wystąpić publicznie z protestem.

Opinia pod tym względem w społeczeństwie naszem zdaje się urobiona. Świadczy o tem choćby jeden głos, pochodzący z kół ludowych a ogłoszony w *„Orędowniku,“* który w sprawie tej między innemi opiewa co następuje:

„Rozpocznijmy natychmiast kroki działania, aby odeprzeć nawałnicę niszczącą nasz byt, nasze istnienie. Protesty wprawdzie nie wiele pomogą i nie osięgną cofnienia nieludzkich i niechrześciańskich rozporządzeń, bo gdzie rząd pruski swą rękę położy, już jej stamtąd nie cofnie; uratują jednak protesty energiczne, pełne godności i powagi *nasz honor polski*, będą znakiem zapewnienia, żeśmy *nie zobojętnieli dla wiary naszej świętej*, otworzą oczy obojętnym i zaślepionym, dadzą bodźca do wytężonego energicznego przeciwdziałania na wiecach parafialnych, których zwoływanie i urządzanie bardzo, bardzo powinno leżeć na sercu *naszym kapłanom polskim*. Zbliża się bowiem czas, gdzie do *walki świętej* wystąpić będą zobowiązani, bo zagrożone są najświętsze skarby narodu polskiego, których stróżami Jezus Chrystus kapłanów naszych uczynił.

„Z ufnością wielką ku nim lud polski dzisiaj spogląda! Zanim jednak odbędą się wiece parafialne, sądzimy, że byłby bardzo na miejscu *wielki wiec Polaków katolików pod zaborem pruskim*, na którymby dano wyraz oburzenia na krzywdy, jakie się nam Polakom przy szkolnej nauce religii dzieją — i na którymby uchwalono środki i sposoby obrony najświętszych naszych skarbów. Wiec taki wielce się przyczyni do *jednolitego działania*, które do przeprowadzenia wielkich i ważnych spraw koniecznie potrzebne.

„Działajmy, aby przekleństwo pokoleń naszych na nas nie spadło!“

Żądanie to ze wszech miar jest słuszne. Myśmy o niem pisali, kiedy pierwsze hiobowe spadły na społeczeństwo nasze wieści. Wiec ogólny w sprawie nauki religii jest w tej chwili po-

trzebą, którą lud odczuwa, i którą powinny powołane czynniki zaspokoić, jeżeli lud do nich nie ma reszty stracić zaufania.

Niestety i w tej sprawie, jak się dowiadujemy, księża oglądają się na społeczeństwo świeckie i zasłaniają się Władzą duchowną, nie wiedząc, czy władza ta przychylnem na taką akcyę będzie patrzeć okiem.

Jeżeli tak robią księża, w takim razie obowiązek ten musi wziąć na siebie społeczeństwo świeckie.

Wymaga tego — honor nasz narodowy! . . . .

Tydzień polityczny.

Niemcy. Parlament niemiecki przyjął we wtorek w drugiem czytaniu w imiennem głosowaniu resztę prawa o opodatkowaniu papierosów. Taki sam los (szczęśliwy !?) spotkał projekt opodatkowania biletów kolejowych. Podatki w znacznej mierze podrożą podróże kolejowe. Bilety opodatkowano w różnym stopniu do klas, z których jednakże klasa czwarta najwięcej używana przez publiczność uboższą najcięższe ponosić będzie ciężary.

Podatek na papierosy znacznie podroży tytuń i obciąży oczywiście wydatkami wszystkich lubowników papierosów. — Najgorzej na tem wyjdą tańsze gatunki papierosów, które znacznie podrożeją. Podatek ten jak i podatek od biletów w szerokich warstwach ludowych wywoła zapewne ogromne niezadowolenie. A wszystko to, dla czego? — dla tego, że gospodarka finansowa Niemiec od dawna kuleje, a polityka ich nieustannie wymaga nakładów na powiększenie floty i wojska.

Niewątpliwie szczególnie te dwa rodzaje podatków odbiją się bardzo przykro na nas Polakach. U nas bowiem używanie papierosów w ostatnim czasie ogromne przybrało rozmiary i przyczyniło się do rozwoju znacznych fabrycznych przedsiębiorstw w Poznaniu i na prowincyi. Podatek kolejowy dotknie tych szczególnie, którzy za chlebem idą „w świat“. To też my Polacy — oprócz względów narodowych — mamy aż nadto powodów do niezadowolenia z nowych tych ciężarów.

Z posłów naszych kilkakrotnie przeciwko jednemu i drugiemu podatkowi występował poseł hr. *Mielżyński,* a jak się dowiadujemy, prawie wszyscy posłowie polscy podążyli na wtorkowe głosowanie do Berlina. Niestety garstka ich nie zdołała przegłosować większości parlamentarnej, gotowej do największych ofiar — nie z własnej kieszeni na powiększenie chwały Niemiec.

Obecnie także omawiana jest sprawa odroczenia parlamentu. Rząd parlamentu tym razem po obecnej kadencyi nie chce zamknąć, nie chce bowiem, ażeby tyle dlań pożądane prawa ponownie przyszły pod obrady i doznały ewentualnie zasadniczych zmian.. Ma więc parlament przed Zielonemi Świątkami zostać odroczony i ponownie zwołany w końcu listopada.

Projekt dyet poselskich został w komisyi znacznie zmieniony i w tej nowej formie prawdopodobnie zostanie przez parlament przyjęty. Zachowano ogólną sumę wynagrodzenia za kadencyę 3000 mk., sesya ma być liczona po 20 mk., w razie nieobecności jednakże nie 30 lecz również 20 mk. ma być potrącone. Parlament nie zgodzi się także na zmiany ilości głosów do uchwał.

Ks. Bülow już wyzdrowiał.

Uwaga całego świata w obecnej chwili jest zwrócona na *Rosyę.* W chwili, kiedy to piszemy, ostatnie wieści donoszą, że Duma będzie otwarta w czwartek o godz. 4 po południu i to w zimowym pałacu carskim. Tej nowej ery, ery konstytucyjnej nie będzie jednakże zagajał sam car, jak pierwotnie głoszono, lecz prawdopodobnie uczyni to brat jego W. Ks. Michał. Z powodu bowiem ostatnich zamachów w Petersburgu istnieje obawa, że rzucona by mogła być na cara bomba podczas odczytania mowy tronowej.

Chwila ta i dla tego jest ważną, ponieważ wszelkie oczekiwania stronnictw co do Dumyześrodkowywały się w osobie byłego premiera Wittego, którego dymisya wraz z częścią komitetu ministrów jest faktem dokonanym. O nowym komitecie, na którego czele stoi *Goremykin* głoszą, że nosi się z planami zmian dotychczasowych uchwał konstytucyjnych. Zmiany te oczywiście mogłyby być tylko reakcyjne i do reszty okroić skromny zakres praw, jakie dotychczas przyznano narodowi rosyjskiemu.

Partye rosyjskie — między innemi kadeci mimo mniej korzystnych widoków nie tracą nadziei, że uda im się ochronić Dumę przed ostatecznością, t. j. przed rozpędzeniem, obawiają się bowiem, że nastąpiłaby potem niechybnie nowa rewolucya i być może gorsze jeszcze warunki pracy dla nowej Dumy.

Posłowie polscy mają utworzyć w Dumie osobne koło, związane ze sobą ścisłą solidarnością.

— *W Austro-Węgrzech* zamianowany został prezesem gabinetu austryackiego ks. Hohenlohe. O ile z wiadomości podanych przez pisma polskie galicyjskie wywnioskować można, nowy prezes dla Polaków usposobiony jest nieprzychylnie. Okazał to lat temu parę, gdy był na Bukowinie, gdzie utrudniał znacznie rozwój tamtejszej polskiej kolonii.

Nowy prezes rozpoczął już konferencye z przywódcami stronnictw. pierwszeństwo oczywiście dał Niemcom, następnie zawezwał Czechów, a w końcu i Polaków.

Ks. Hohenlohe jest podobno zwolennikiem powszechnego, tajnego, bezpośredniego i równego wyboru posłów. Zdaje się, że wobec tego stanowisko Koła Polskiego będzie znacznie trudniejsze. Na razie Koło oświadczyło, że od zasadniczych żądań — więcej mandatów dla Galicyi, zapewnienia stanu posiadania polskości i praw autonomicznych — nie odstępuje. Jaki będzie wynik rokowań? — W każdym razie nowy prezes nie będzie przedkładał nowej reformy wyborczej, lecz widocznie pracuje nad przeprowadzeniem starej — gautschowskiej. Polacy tej reformie jak wiadomo w zasadzie nie są przeciwni, ale nie chcą też utracić nic z obecnego swego wpływowego stanowiska, obawiając się słusznie, że parlament austryacki po osłabieniu Koła Polskiego ukułby niejedno prawo krzywdzące Galicyę.

Na *Węgrzech* odbyły się wybory, z których w znacznej większości zwyciężyła t. zw. partya niezawisłości, t. j. ta partya, która przez zimę całą w stanowczej do korony stała opozycyi. Zdobyła ona sobie w sejmie węgierskim taką większość, że i bez poparcia innych partyi będzie mogła rządzić. Wobec tego coraz realniejsze formy zdaje się przybierać idea węgierska — niepodległości Węgier.

— *Z Francyi* nadeszły wiadomości o wyniku niedzielnych wyborów. Wybory te dla stronnictw prawicy — nacyonalistów i klerykałów — stanowią ogromną klęskę. Partye te nie zdołały nawet utrzymać dawnego swego stanu posiadania. O konsternacyi w tych kołach świadczy fakt, że zwolennicy jej zrzekają się kandydatury tam, gdzie dopiero ściślejsze wybory mają stanowić o zwycięstwie.

Wybory te — tak piszą korespondenci niemieckich pism wolnomyślnych z Francyi — wpłynąć mają na stanowisko Ojca św. do uchwalonego

już prawa o rozdziale państwa i kościoła. Czy tak będzie — nie wiadomo na razie. Śmiemy jednakże powątpiewać, czy Ojciec św. stanowisko swoje od tych wyborów tak wyłącznie uzależniał. Zresztą okaże to przyszłość, a mianowicie, czy Ojciec św. w sprawie tego prawa rozpocznie z rządem francuskim układy, czego dotychczas nie uczynił.

— Na horyzoncie politycznym ukazują się zapowiedzi nowej — konferencyi marokkańskiej. Tym razem jednakże nie chodzi o Marokko, lecz o spór pomiędzy *Turcyą* a *Anglią* o granicę Egiptu. Spór ten toczy się już prawie od miesiąca. Anglicy teraz postawili Turcyi ultimatum, ażeby z obszaru spornego — z miasta Tabah — wycofała swoje wojska. Turcya dotąd tego nie uczyniła. Termin ultimatum upływa dnia 12-go maja. Jeżeli do tego czasu Turcya nie ustąpi, Anglia podobno chce zwołać konferencyę w sprawie tego zatargu. Upór Turcyi podniecają podobno Niemcy. Z tą sprawą łączą zjazd Wilhelma II. z Franciszkiem Józefem, który ma się odbyć dnia 6-go czerwca.

Najwidoczniej Niemcy po Algeciras szukają nowego guza.

W sprawie
„Związku Robotników Rolnych“

odbieramy z obczyzny z kół robotniczych następujące pismo:

Horsthausen, d. 9 maja 1906.

Niedawno ogłosiły pisma poznańskie dość długą odezwę Związku robotników rolnych.

Dziwno mi doprawdy, iż prasa poznańska ogłaszając rzeczoną odezwę, nie wypowiedziała dotychczas swego zdania, co do rzeczonego Związku. — Więc — jako do niedawna — robotnik rolny, pragnę zabrać w tej sprawie głos i wypowiedzieć swoje osobiste poglądy.

Związek rolny, jak każda organizacya jest rzeczą chwalebną, jednakowoż wstępując do jakiejbądź organizacyi zastanowić najprzód się należy, czy ta organizacya przynieść może te lub owe korzyści? Znając dokładnie stosunki robotników rolnych w Księstwie, zaznaczyć mi wypada, iż tam mamy organizacye o podobnych celach, już od lat dziesiątka w postaci „Związku katolickich Towarzystw Robotników Polskich. Organizacya ta, — na której czele stoją wybitniejsi mężowie i bezprzecznie ze wszech miar życzliwi robotnikowi polskiemu — poczyniła w ostatnich latach dość znaczne postępy, bądź to przez zjazdy delegatów, na których bywają omawiane rzeczowe i ważne obrady nad podniesieniem ekonomicznem i moralnem robotnika, bądź też przez wydawanie własnego organu itd.

O ile zaś znam stósunki w Prusach Zach. tam organizacya ta będzie z pewnością aż nadto pożądana oraz mieć może wielkie pole do pracy zważywszy, że ogromna większość majętności znajduje się w rękach niemieckich, powtóre widząc jak Niemcy wyzyskują najmniejszą odrobinę ziemi naszej, tak samo wyzyskują i robotnika, rzec można wyciskają krew z robotnika naszego. — Tam z pewnością będzie miał „Związek“ pracę nielada nad tym niestety tak mało świadomym swoich praw i obowiązów ludem polskim.

Lecz teraz najgłówniejsze o co chodzi: obowiązkiem wszystkich mężów dobrej woli i życzliwej ludowi prasie polskiej jest, postarać się o to, kiedy „Związek Rólny“ jest faktem dokonanym, ażeby nie popadł pod kuratelę jakichś ambitnych jednostek, które jako zakała plamią nasze nieszczęśliwe społeczeństwo polskie. — W odezwie czytamy, iż Zarząd Związku składa się wyłącznie, prócz skarbnika z robotników. Jednakowoż trudno przypuścić, żeby robotnicy sami mogli utrzymać i prowadzić tak znaczną organizacyą.

Weźmy n. p. inne organizacye zawodowe, które mogą skuteczniej pracować, mając prawo koalicyjne, — którego „Związek Rólny“ nie posiada. — Otóż te organizacye, mogące pracować swobodnie, nie mogą się obyć bez ludzi wykształconych, inteligentnych, a cóż dopiero taki „Związek Rólny,“ składający się przeważnie z ludzi stojących na niższym szczeblu uświadomienia. Ile to tam potrzeba pracy i zachodu!

Jako dowód jak szkodliwym jest wpływ takich ambitnych jednostek może posłużyć nam „Zjednoczenie Zaw. Polskie.“ Niedawno mieliśmy tutaj ważną sprawę do przeprowadzenia to jest wybory do sądów procederowych górniczych, przy których „Zjednoczenie“ poniosło znaczną klęskę przeprowadzając tylko trzech swoich kandydatów, podczas gdy związki niemieckie coś około stu. I cóż było tego powodem? Po pierwsze był brak odpowiednich mówców wiecowych; gdyż chociaż „Z. Zaw. P.“ rozwinęło dość sprężystą agitacyę, urządzając częste wiece i t. d. jednakowoż na tych wiecach miasto w pierwszym rzędzie omawiać sprawy [illegible]e, [illegible]chodzono częstokroć od tema[illegible]wiano wyłącznie sprawę agitacyi na rzecz „Zjednoczenia,“ sprawy wewnętrzne i t. p., a o wyborach zaledwie coś napomknięto. I tak będąc na kilku takich wiecach przedwyborczych niepodobnem mi było się dowiedzieć, kto ma prawo do głosowania.

Drugą i najważniejszą przyczyną klęski wyborczej był organ organizacyi — „Zjednoczenia,“ gdyż podczas, kiedy organa Związków niemieckich występowały z gorącemi odezwami na rzecz wyborów, organ Z. Z. P. bawił się w osobiste zachcianki p. Antoniego Brejskiego, poruszając jakby na urągowisko wszelkim sprawom zawodowym aż w trzech ostatnich numerach sprawę procesową p. Brzeskota z jednym z przyjaciół p. Brejskiego.

— Podaję to dla tego, aby „Związek Rolny“ ostrzedz przed takimi rzekomymi przyjaciołmi robotnika polskiego, a którym rzeczywiście chodzi tylko o własne dobro, to jest kieszeń i pozyskanie tego ludu polskiego do własnych celów politycznych.

— Prosząc Szan. Redakcyę o zamieszczenie tych kilku wierszy na łamach swego pisma pozostaje z pozdrowieniem *R. K.*

„Straż.“

Z Biura „Straży“ donoszą nam:

Po wyborach dokonanych dnia 4-go b. m. w łonie Głównego Zarządu stanowią Prezydyum „Straży: pp. Józef Kościelski prezes, dr. Felicyan Niegolewski wiceprezes, dr. Władysław Mieczkowski sekretarz, Stanisław Pfitzner skarbnik. — Jako 21 członka Głównego Zarządu kooptowano p. Stefana Chociszewskiego.

Biuro „Straży.“
Dr. Tadeusz Jaworski.

Poznań, 5 maja 1906.

* * *

Sprawa reorganizacyi „Straży“ zaczyna w prasie naszej na dobre pokutować. Pojedyńczych głosów myśmy dotąd nie brali na seryo. Głosy te przybierają jednakże cechy balamucenia społeczeństwa. Zabierzemy się do nich w przyszłym numerze.

* * *

Wiec „Straży“ w Król Dombrówce (Pr. Zach.) odbył się w ub. niedz. w gościńcu p. Gosinieckiego. Przewodniczył starosta „Straży“ na powiat grudziądzki p. J. Paszotta z Plemient, który wygłosił piękną mowę „O uciskach i uciemiężaniu naszego ludu i o celach i zadaniach „Straży“. Drugi mówca

p. Gonczerzewicz z Grudziądza mówi „O łączności i miłości braterskiej, o domie rodzinnym i oszczędności". Prelegent hasłem: „Czuj Duch" i wezwaniem do jaknaliczniejszego zapisywania się do „Straży" zakończył swą blisko godzinną mowę.

W imieniu zebranych podziękował przybyłym mówcom w serdecznych słowach p. Donajski, obywatel tamtejszy. Zebrało się około 60 wiecowników, z których na razie 15 przystąpiło do „Straży". Wiec rozpoczął się o godz. 3 i pół a skończył się o 5 i pół pochwaleniem Pana Boga. Wiecownicy z zadowoleniem opuszczali salkę wiecową.

* * *

Wiec „Straży" w Kcyni odbędzie się w niedzielę 13-go b. m. o godzinie 12-tej w południe. Jako delegaci „Straży" przemawiać będą pp. dr. Tadeusz Jaworski i Stan. Zieliński.

Fr. Sławoszewski,
starosta „Straży."

* * *

Wiec „Straży" odbędzie się w niedzielę 13-go b. m. we *Wrockach* w Prusach Zachodnich w lokalu p. Balcerowicza o 3-ciej po południu.

O liczny udział prosi rodaków miejscowych i z okolicy

Bolesław Bardzki,
starosta powiatu brodnickiego.

* * *

Wiec „Straży" odbył się *w Przygodzicach* ub. niedzieli. Na wiec zebrało się około 100 miejscowych i okolicznych gospodarzy. Przemawiał o celu i zadaniach „Straży" p. *Czesław Leitgeber z Poznania, Ant. Bartosz, Jan Modrzyński* gosp. z Topoli W. i *Jan Bartosz* z Przygodzic.

Zapisało się na członów około 60 uczestników wieca.

Ruch w Towarzystwach.

Kostrzyn. Tutejsze Towarzystwo Przemysłowców urządza w niedzielę, dnia 20-go b. m. *majówkę w lasku Kłonowskim* z urozmaiconym programem zabawy. Wymarsz z miasta przy dźwiękach muzyki o godzinie 1 i pół po południu.

Życzliwych Towarzystwu zaprasza za Zarząd *I. Wolniewicz.*
sekretarz.

Towarzystwo polsko-katolickie „Sobieski" w Blumenthalu. Sprawozdanie półroczne. Od dnia 15 października roku 1905 aż do dnia 29 kwietnia roku 1906. Posiedzeń odbyło towarzystwo w ubiegłem półroczu 12 zwyczajnych i 1 nadzwyczajne. Wszelkie posiedzenia rozpoczynano śpiewem narodowym a kończono słowami: „Szczęść Boże". Na posiedzeniach załatwiano sprawy towarzyskie, czytano Ewangielię św. przypadającą na niedzielę, w którą się zebrania odbywały, czytano ustęp z żywota św. Pańskich, sprawozdanie z przeszłego posiedzenia, ściągano składki miesięczne, przyjmowano nowych członków. W tem półroczu zakupiło towarzystwo jednę Mszą św. na intencyą piętnastej rocznicy istnienia oraz urządziło dwie zabawy z teatrem amatorskim. Grano *Słowiczek i Obronę Trębowli* czyli Ewę Miaskowską. Tow. miało członków 41, z tych pozostaje 37. Towarzystwo abonuje 4 gazety polskie Pracę, Wielkopolanina, Wiarusa polskiego i Bremę. Towarzystwo posiada własną bibliotekę, 52 książek, 16 książek teatralnych i 2 duże Żywoty św. Pańskich i mnóstwo zeszytów Pracy itd. itd. Dochodu było 171,30 marek, rozchodu 220, 31 marek. Majątku pozostaje w towarzystwie 204,59 marek.

Oboru nowego Zarządu na nowe pół roku dokonano jak następuje: Alojzy Prokop, przewodniczący; Bronisław Machnik, zastępca przewodniczącego; Roman Zieleziński, kasyer; Stanisław Kamiński, zastępca kasyera; Walenty Dąbrowski, sekretarz; Stanisław Konieczny, zastępca sekretarza; Józef Pastuszek, bibliotekarz; Jan Konieczny, zastępca bibliotekarza; Franciszek Dąbrowski, chorąży; Antoni Pokrop, Maksymilian Słomiński, rewizorzy kasy.

Wiadomości.

— *Wyborcy i obywatele!* Baczność! Magistrat poznański rozesłał karty podatkowe na rok 1906-ty. Codziennie zgłaszają się do naszych władz wyborczych obywatele ze skargą, że nadesłano im karty na 4,08 mk., podczas gdy oni sami pragną płacić *6,80 mk.* na rok byle tylko nie stracić prawa do głosowania do Rady miejskiej.

Ktokolwiek zatem z czytelników naszych otrzymał kartę na 4,08 mrk. niech się uda w południe między go-

dziną 12 a 1 na ulicę Zamkową do biura podatkowego i tam zażąda zmiany na 6,80 mk. w swej karcie podatkowej. Nadmieniamy, że 6,80 mk. podatku płacić powinien ten, kto zarabia od 660 do 900 mk. rocznie czyli 12,50 mk. najmniej tygodniowo! Jeżeli lud polski zrozumie, że tutaj chodzi o prawo wyborcze, to 6,80 mk. chętnie zapłaci rocznie podatku, a wtenczas we wszystkich okręgach wyborczych powinniśmy w III. klasie być we większości. Przecież 12 i pół marki tygodniowo dzisiaj zarabia nawet najuboższy wyrobnik. Dalej zatem, biegnijmy do biura podatkowego i szanujmy nasze prawa obywatelskie! Kto płaci 4,08 mk., nie będzie mógł jesienią głosować.

* **Wiec sokolski w Poznaniu** — odbędzie się dnia 13-go maja o godz. 12-tej w południe na ogrodowej sali Lamberta. Dowiadujemy się, że przemawiać mają na tym wiecu pp. hr. Mielżyński, dr. Gantkowski i Józef Kościelski. Wszyscy trzej panowie znani są jako znakomici mówcy, to też wiec zapowiada się nadzwyczaj dobrze. Wstęp oczywiście dozwolony wszystkim, nie samym sokołom wyłącznie, tem więcej, że chodzi o to, ażeby przez wiec ten rozszerzyć i sympatyę i zrozumienie dla przewodniej idei sokolskiej: w zdrowem ciele *zdrowy duch*. Przekonani jesteśmy, że wiec ten cieszyć się będzie dużym udziałem uczestników i naprzód zasylamy mu od siebie serdeczne życzenia i sokolskie pozdrowienie *Czołem!*

Redakcya „Pracy“.

* **„Spójnia“ — czyli nowa „Straż“** uroiła się w głowie p. dr. Edwarda Hulewicza z Ostrzeszewa, którego nazwisko znalazło się w „Czarnej Księdze“ z powodu przejścia jego majątku Gorzykowo w pow. witkowskim w drodze subhasty na komisyę kolonizacyjną. W miłej tej kompanii znalazł się także p. Dr. Wł. Łebiński z „Dz. Pozn., który utworzenie „Spójni“ poleca. Radzimy dobrać do towarzystwa wszystkich sprzedawczyków z „Czarnej Księgi“. Będzie to zacne towarzystwo, które z góry cieszyć się będzie niedwuznaczną opinią w społeczeństwie naszem.

* **Zmiana nazwiska.** Rubryka ta nabiera coraz szerszych rozmiarów. Nie podobna nam w piśmie tygodniowem podawać wszystkich zachodzących wypadków, nie możemy atoli pominąć faktu gremialnej zmiany całego odłamu rodziny, której nazwisko w dzielnicy naszej dobrze jest znane. Wiadomość tę podajemy na odpowiedzialność „Ostdeutsche Presse,“ która w nr. 99 wymienia: Franciszka Ferdynanda z Czarnowa (pod Toruniem), dalej: Reinholda Augusta, Otona Wilhelma, Wilhelma Edwarda i Augusta Edwarda *Chrzanowskich* z Bydgoszczy. Mają się oni odtąd nazywać Reindorf. Po imionach przypuszczać należy, że jest to rodzina protestancka.

* **W Łabiszynie** odbył się ub. niedzieli wiec wyborczy, na którym zdawał sprawozdanie poselskie poseł *Leon Czarliński.* Na wiecu poruszono także sprawę szkolną, wędrówki „w świat“ i środki i sposoby naszej obrony. Wiec przyczynił się do podniesienia na duchu ludności okolicy tamtejszej.

* **Kasowanie nauki religii** odbywa się w dalszym ciągu. I tak donoszą „Lechowi“, że zniesiono naukę tę w *całym* powiecie witkowskim. To samo zrobiono z nauką tą w *Jaraczewie* i w Krustowie pod Trzemesznem. Czas istotnie, by sprawę tę omówić nie tylko w pismach ale i na wiecach wszechstronnie i publicznie.

* **Balwierz i cyrulik** — w jednej osobie — potrzebny. Gdzie? — wskaże ekspedycya „Pracy.“

* **Rodak** - monter, który pracował przez lat 29 we fabryce Urbanowskiego, poszukuje stosownego zatrudnienia; przyjąłby *chętnie miejsce woźnego lub też wice-gospodarza;* jest zdrów, silny, trzeźwy i pracowity. Bliższych informacyi udzieli ekspedycya „Pracy“.

* **Kto rządzi w kościele?** Z Prus Zachodnich, ze źródła zupełnie pewnego, odebrał „Dz. Berl.“ następującą charakterystyczną wiadomość:

Pewne „Regimentskommando“ poleciło ks. N. N. zaprosić konfratrów do słuchania spowiedzi i to: „geeignete Geistliche mit Angabe des Namens“ (odpowiednich księży z podaniem nazwiska). A gdy ów książulek (Niemiec) niepotrzebnie zupełnie podał nazwiska zaproszonych, *skreślono jednego ks. Polaka.* Zdaje się, że teraz władza wojskowa a nie biskup decyduje, kto z księży jest „odpowiedni“ do słuchania spowiedzi a kto nie. Dziwna rzecz, chodziło w tym przypadku o słuchanie spowiedzi żołnierzy niemieckiej narodowości. Polaków podobno nie wielu tam. *Ks. N. N.*

* **W sprawie germanizacyi Wielenia** otrzymaliśmy swego czasu z Wielenia korespondencyę, w której zrobiono ciężki zarzut ks. Kruszce, jakoby podczas kulturkampfu miał był przyczyniać się do germanizacyi.

Pismo nasze wiadomość tę umieściło na wiarę i zaufanie korespondenta wzgl. informatora. Niestety często się zdarza, że informatorzy ci — nie wchodzimy w to czy w złej czy w dobrej woli — źle informują pismo. To samo wydarzyło się i w tym wypadku. Już w przeszłym numerze byliśmy zniewoleni umieścić sprostowanie potwornej po prostu wiadomości o germanizowaniu Wielenia przez ks. Kruszkę, który tam że przebywał w czasie kulturkampfu. Dziś odbieramy od tego właśnie księdza Kruszki, który jak się wykazuje jedynie był w Wieleniu w owym czasie, zaprzeczenie tego, o czem nam doniesiono. Zacny ten kapłan, sprostowanie swoje pisał drżącą ręką po długiej niemocy. Pismo jego nie tylko podajemy z obowiązku ale i dla przykładu młodszej braci duchownej. Brzmi ono jak następuje:

Ostrowite prym., dn. 8. 5. 1906.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wstawszy po ciężkiej, wielotygodniowej chorobie, otrzymałem dzisiaj z przyjaznej mi ręki przysłane ostatnie numera „Pracy“ z wskazówką na to, że jakiś ks. Kruszka miał germanizować lud polski we Wieluniu a nawet „rozrzucał tutaj swego czasu broszury wolnomularskie“.

Już to ostatnie zdanie powinno było zwrócić uwagę Szan. Redakcyi na to, że to nie może być prawdą, że to jest wiadomością iście tatarską. Od 1 kwietnia 1870 aż do 1 lipca 1873 byłem we Wieleniu, przez rok jako wikary a przez $2^1/_4$ roku jako administrator tejże parafii, mając do pomocy zacnych księży wikarych jak to ks. Teodora Wencla, obecnie proboszcza w Czaplinku, potem ś. p. ks. Scholza a w końcu ś. p. ks. Jana Radziejewskiego, który przed rokiem jako proboszcz pełen zasług w Chicago umarł. Wiadomością tą, jakoby ks. Kruszka niemczył, nikt bardziej nie będzie zdziwiony, jak sami parafianie Wieleńscy — no! i rząd pruski. Z moich czynności parafialnych i narodowych nie potrzebuję się tłomaczyć, bo te są podobno znane. We Wieleniu żaden inny ks. Kruszka ani też choćby z podobnem nazwiskiem nie był, a brat mój ks. Wacław Kruszka, znany delegat Polonii amerykańskiej do Papieża, był we Wieleniu w gimnazyum w sexcie i kwincie, potem w gimnazyum we Wągrówcu a studya teologiczne, odbywał przez 10 lat u X. X. Jezuitów i w Rzymie, skąd przeniósł się wprost do Ameryki.

Zdziwienie, jakoby teraz dopiero Wieleń się niemczył, polega na zupełnej nieznajomości rzeczy. Jak miasto Wieleń już dawno się niemczyło, wykazał to w początku roku 1873 w dwóch

obszernych artykułach z moją pomocą pisanych pan dr. Kusztelan, o ile sobie przypominam w „Orędowniku“ umieszczonych. Nastawszy w roku 1870 do Wielenia zastałem w pierwszej klasie zaledwo 2 dzieci polskich, rodzice wówczas mówili ze sobą po polsku a z własnemi dziećmi po niemiecku. Staraliśmy się (ja, Dr. Kusztelan, nauczyciel Rożdziński i t. d.) wszelkimi sposobami ratować przed zgermanizowaniem. Założyłem za pomocą ś. p. ks. Bażyńskiego biblioteczkę ludową, udałem się do pana Dr. Szymańskiego, redaktora „Oręd.“ z prośbą o przysłanie tegoż pisma różnym obywatelom; Redakcya przysyłała przez kwartał darmo 25 wymienionym mieszczanom swoje pismo.

Korzystając jako inspektor lokalny szkół z ówczesnego rozporządzenia rejencyi, że w każdej szkole, gdzie jest choćby dwoje dzieci polskich, musi nauczyciel uczyć dzieci 2 razy tygodniowo czytania polskiego, wniosłem do rejencyi, ażeby nauczycielowi, który choć Polak tego zaniedbał, to nakazała, co się też rzeczywiście stało. Za to też pierwszy padłem ofiarą prawa z r. 1872 o inspekcyi szkólnej w państwie pruskiem a założenie czytelni przyniosło mi dwa miesiące więzienia za obrazę majestatu i 6 tygodni za przekroczenie § 131 Störung der öffentlichen Ordnung, wynalezionych przez prokuratora pruskiego w książkach „Stary Bóg“ i „Kielnia albo krzyż“. W końcu muszę jeszcze dodać, że żaden z księży dawniejszych wikarych nie germanizował, bo byli to całą duszą Polacy, nawet „sławny“ ks. Kubeczak jako wikary we Wieleniu, kluczami kościelnemi chciał bić tych ,którzy by przy kościele po niemiecku rozmawiali. Z księży, którzy we Wieleniu pracowali, wyszedł do Ameryki wśród kulturkampfu tylko zacny i prawy ś. p. ks. Jan Radziejewski, kapłan prawdziwie katolicki-Polak duszą i ciałem.

Nadmienić mi jeszcze wypada, że jest ktoś (jedna czy więcej osób) który stara się wszelkimi sposobami nas księży Kruszków w oczach publiczności zohydzić. Najprzód w „Dzien. Pozn.“ rzucono kalumnie na mego brata, ks. Wacława Kruszkę, jakoby tajnie wysyłał z Ameryki do pism europejskich korespondencye przeciw Arcybiskupowi Symonowi. Temu sam ks. Arcybiskup Symon w publicznych pismach zaprzeczył, teraz użyto „Pracy“ ażeby w inny sposób nas oczernić.

Z wysokim szacunkiem
ks. Sz. Kruszka,
proboszcz.

* **Ś. p. Antoni Kalina**, profesor języków słowiańskich przy wszechnicy lwowskiej w Galicyi, umarł w piątek po długiej a ciężkiej chorobie. Imie zmarłego ściśle jest połączone z nauką polską, z badaniem język. słowiańkich, polskiej nauki ludoznawczej i przynosi chlubę Wielkopolsce. S. p. profesor Antoni Kalina pochodził z rodziny włościańskiej, urodził się na Krempie pod Ostrowem, tu chodził do gimnazyum także. Uniwersyteckie studya odbywał początkowo w Halli, przewędrował później wszystkie kraje słowiańskie, ucząc się i badając języki ich mieszkańców. Zmarłemu sprawiły wspaniały pogrzeb uniwersytet i instytucye, którym zdrowie i pracę niósł w ofierze. Nieboszczyk liczył lat 60 i znany był we Lwowie z swego patryotyzmu.

* **Ś. p. Jan Zacharyasiewicz**, znany powieściopisarz, umarł w niedzielę licząc lat 85.

* **Na Zielone Świątki** wydał zakład graficzny Antoniego Fiedlera w Poznaniu cały szereg pocztówek.

Święto wiosny, zieleni i kwiatów znajduje w pocztówkach tych szlachetny wyraz zarówno pod względem wykonania, jak pomysłowości.

Polska sielanka, pełna niewymownego uroku, polskie zwyczaje ludowe, mające źródło swoje w uczuciach religijnych, oto tematy pocztówek świątecznych .

Zakład graficzny Antoniego Fiedlera, wykonał również rozmaite bardzo ozdobne powinszowania na imieniny i inne okliczności familijne.

* **Obchody konstytucyi 3-go maja** urządzono w Galicyi wspaniałe. Nad wszystkiemi miastami górowały oczywiście stolice Galicyi, Lwów i Kraków. W obchodach tych brały udział także władze krajowe. A u nas? — ...... było cicho.

* **Wakujące stypendya**. W „Ziemianinie“ ogłasza Zarząd Centralnego Towarzystwa Gospodarczego co następuje:

Dnia 1-go października zawakują trzy stypendya po 600 marek rocznie (płatne w ratach kwartalnych po 150 marek z góry) dla młodzieńców zamierzających kształcić się na wydziałach agronomicznych we Wrocławiu lub w Krakowie. Zgłaszający się winni nadesłać na ręce sekretarza Zarządu Centralnego Towarzystwa gospodarczego p. L. Ostena w Poznaniu (ul. Wiktoryi nr. 2) następujące papiery:

1) Metrykę i świadectwo szkolne przynajmniej z sekundy gimnazyum lub wyższej szkoły realnej.

2) Świadectwo pryncypała z odbytej praktyki w charakterze elewa lub urzędnika gospodarczego.

3) Urzędowe świadectwo braku środków utrzymania na uniwersytecie.

4) Krótki życiorys własnoręcznie napisany, oraz oświadczenie, że zgłaszający się wsparć dotychczas nie pobiera; jeżeli pobiera, powinien wykazać ich wysokość i źródło.

5) Przyrzeczenie, że po dojściu do samodzielnego stanowiska wspierać będzie dobrowolnemi datkami fundusze stypendyalne Centralnego Towarzystwa.

Stypendyaci są zobowiązani przesyłać Zarządowi z każdego semestru świadectwa „pro diligentia“ z przynajmniej trzech przedmiotów, oraz pracę piśmienną w języku polskim na temat dowolny z dziedziny rolnictwa.

Niedopełnienie tych warunków pociąga za sobą utratę stypendyum.

Poznań, 21 kwietnia 1906.

Zarząd Centralnego Towarzystwa Gospodarczego na W. Ks. Poznańskie.
Dr. T. Jackowski, prezes.

* **Na cel dobroczynny!** Dnia 24 maja odbędzie się w St. Domingo w ogrodzie p. Przybylskiego przy drodze dębińskiej wielka *zabawa latowa*, połączona z koncertem, który wykona poznańskie Koło muzyczne, grą fantową i grami towarzyskiemi o premie.

Dochód z zabawy przeznaczony na ubogich Tow. Pań św. Wincentego a Paulo z Wildy.

O liczny udział w imieniu biednych prosi *Wacława Swinarska,*
przewodnicząca.

* **Od komitetu wyborczego.** *Zalegające* dotychczas z składką za rok 1905 powiaty: Bydgoszcz miasto, Poznań miasto, grodziski, inowrocławski, koźmiński, kościański, międzyrzecki, nowotomyski, leszczyński, śremski, wschowski, wrzesiński, wieleński i wyrzyski prosimy uprzejmie o *niezwłoczne* nadesłanie składek.

Poznań, dnia 28 kwietnia 1906.
Prowincyonalny Komitet Wyborczy.
M. Więckowski, skarbnik.
Teatralna 6.

* **Nowy cios dla teatru polskiego.** Z kancelaryi teatralnej otrzymaliśmy następujące pismo:

Hiobową wieścią musimy podzielić się z przyjaciółmi polskiej sceny: oto w ogrodzie „*Wilhelmshöhe*“, który kupiono przed dwoma laty *dla teatru letniego* — władza tutejsza nie pozwala ani na jedno przedstawienie! Więcej komentarzy nie potrzeba pisać.

Artyści, straciwszy ostatecznie nadzieję, że będą mogli dłużej tu uczciwie pracować na chleb, postanowili z dniem 15 b. m. opuścić Poznań i ...

jesień już nie wrócić; przynajmniej większości młodych, zdolnych, już nie ujrzymy.

Dyrekcya sceny ponosi przez taki ubytek ciężką stratę: z ogromnym mozołem, dwuletniemi ćwiczeniami i nauką zharmonizowany zespół aktorski, rozpadnie się, a nową trupę trudno będzie złożyć w obecnych czasach, ponieważ w Królestwie i na Litwie rząd rosyjski zezwala na otwieranie stałych polskich teatrów. Tam też wszyscy zdolni artyści podążą i są poszukiwani. Na to nie ma rady, ani zapory. Każdy człowiek chce mieć byt pewny i swobodną pracę, a tu jej niema. Jednak przedstawienia trwać będą do 15 maja.

* **Polskim obywatelom Swarzędza** polecamy mistrza kominiarskiego p. Telesfora *Cieszyńskiego* z Pobiedzisk, który bojkotowany przez hakatystów w Pobiedziskach, zmuszony jest starać się o chleb w okolicy. Hakatyści Polacy postępują wobec przedsiębiorców Polaków z całą bezwzględnością, by ich ogłodzić. Sprowadzono sobie kominiarza Niemca, nie pytając o to, że tam już było dwóch kominiarzy, i oddano jemu prace rządowe i prywatne w mieście i okolicy.

Wobec takich warunków obowiązkiem obywatelskim i narodowym jest również popieranie ziomków naszych. Pokażmy hakatystom, że nie pozwolimy upaść tym, których oni na zagładę i wymarcie przeznaczyli.

* **Drogeryę** *p. Mieczysława Wernera w Obornikach przy ulicy Kolejowej* polecamy względem Szanownych Czytelników miasta Obornik i okolicy. Pan Werner, młody i rzutki kupiec-drogerzysta, wszechstronnie w swym fachu wykształcony, ma na składzie tylko pierwszorzędny towar, sprowadzany z renomowanych fabryk a sprzedaje go po cenie jak najrzetelniejszej. Wszelkie artykuły drogeryjne w gospodarstwie i przemyśle potrzebne, środki toaletowe itd. itd. oraz aparaty fotograficzne można nabyć w drogeryi p. W. dobrze i tanio.

* **O język polski** w kościele toczy się w Berlinie w dalszym ciągu z tamtejszymi księżmi zatarg. Niestety Polacy nie postępują dość solidarnie. Świadczy o tem wiadomość „Dzien. Berl.“ o „Polkach z Rixdorfu,“ które po odbytym tamże w tej sprawie wiecu na kazanie polskie się wybrały. Są to te Polki, które wcale na dawniejsze kazania nie uczęszczały i te, które mają mężów Niemców, i te, których mężowie są w niemieckich „verajnach,“ i te, które na nasze wiece nie uczęszczają. Było ich około 50.

Widoczna w tem ręka księży niemieckich, którzy w ten sposób chcą rozbić zgodę w postępowaniu Polaków.

* **„Fala“** — pismo modernistyczne, illustrowane rozpoczęło wychodzić w Warwszawie. Pierwszy nr. zawiera następującą treść: Fala, wiersz Edw. Słońskiego. — Przed obliczem rodzica, (szkic do obrazu) W. Rogowicza. — Słowo i klonica, A. Niemojewskiego. — Nasza Noc, E. Słońskiego. — Z notatek syryjskich na Karmelu, H. St. Pytlińskiego. — Od Stańczyka Orota. — Nietsche i świnie, bajka A. Langego. — Niemcy, baśń zimowa H. Heinego i illustracye.

* **Pobiedziska** 2-go maja 1906. Szanownej Redakcyi donoszę co następuje. Porównując położenie Polaków zaspokojenia potrzeb religijnych z położeniem Niemców katolików w W. Księstwie Poznańskiem, podziwiać można smutną odwagę ostatnich, skarzenia się na zaniedbywanie i religijne krzywdzenie ich ze strony władzy duchownej. W Berlinie i pod Berlinem tysiące Polaków doprosić się nie mogą kazań w ojczystym języku, gdy tymczasem tu dla 9 do 11 Niemców-katolików, z których część jeszcze należy do t. zw. „auchkatolików,“ niewidzialnych przez rok cały w kościele, regularnie są wygłaszane niemieckie kazania, jak to miało miejsce n. p. w drugie święto Wielkanocy.

Czy tak szczupła liczba wogóle ma prawo żądania kazań niemieckich? — Po odbytym w zeszłym roku wiecu, — wskutek którego zresztą żadnemu Niemcowi włos z głowy nie spadł, — ogłosiła tutejsza hakata pospolite ruszenie, namawiając swoich w miejscu i okolicy na wszelki sposób urzędowo i nieurzędowo nawet groźbą do bojkotowania polskich współobywateli, w czem przoduje tu trójka ciętych ludzi, płatnych także groszem polskim, których obowiązkiem być powinno, pracować w interesie ludu bez względu na narodowość i religią, a nie podszczuwać do niezgody i rasowej nienawiści. Aby podkopać byt materyalny Polaków, sprowadzają „landsmanów“ rozmaitego gatunku z dalszego „faterlandu,“ tak że obecnie już nawet kominy kulturalną miotłą wycierają. Jak daleko niemoralna ta presya się posuwa, o tem świadczy fakt, iż inspektor szkolny nauczycielowi zakazał używać pomocy lekarza, który od 20 lat był jego lekarzem domowym. Czyby król. regencya miała godzić się na podobne postępowanie poddanych swych urzędników? — Zresztą dziwnem zrządzeniem losu ten sam inspektor w tych dniach był zmuszony tego przez siebie zbojkotowanego medyka zaprosić do domu swego, i to z powodu bardzo smutnego zdarzenia. Pies jego istny brytan, napadł panią pastorową i pogryzł ją tak niebezpiecznie, iż dama ta krwią oblana upadła, przytomność straciła i z ran odebranych dziś się jeszcze leczy. Podobnych przypadków wogóle nie brak u nas. Nie tak dawno również cięty brytan komisarza obwodowego poszarpał listowego tak, że ten dłuższy czas służby pełnić nie był w stanie, także i p. aptekarza czworonożna bestya zręcznym skokiem obaliła niewiastę na śmierć przelęknioną. Czy policya dla tych drapieżnych bestyi niema kagańca? — Tutejsze stowarzyszenie robotników się chwieje — sala, na której długie lata bezpiecznie odbywały się zgromadzenia, naraz wedle zapatrywania policyi grozi niebezpieczeństwem, przeto edykt zakazujący. — Do sali hakatystów zaś naturalnie dla naszych druhów wstęp zabroniony. Niema to jak żyć w kraju kultury i wolności.

* **Z Gnieźnieńskiego.** N. ks. biskup gnieznieński Andrzejewicz wizytował 7-go maja kościół św. Trójcy, a 9-go kościół św. Michała w Gnieźnie. Taka sama uroczystość odbędzie się w dniu 14-go maja w kościele św. Wawrzyńca w Gnieźnie, w dniu 11-go czerwca w kościele w Niechanowie, 3-go września w kościele w Kamieńcu, a 10-go września w kościele w Trzemesznie.

* **Z Kruświcy.** Tutejsze obywatelstwo starało się o urządzenie sądu okręgowego w Kruświcy, która liczy obecnie 2937 mieszkańców. Wnioski odrzucono z obawy — o wzmocnienie polskości. Osiedlił by się adwokat Polak prawdopodobnie, a to zwiększyłoby szeregi polskiej inteligencyi, której wpływowi jeden sędzia nie mógłby dostatecznie przeciwdziałać. — Faterland uratowany!

* **Nakło:** Hotel „Kaiserhof“ od lat przeszło 60 w rękach niemieckich będący kupił p. Rakowski z Berlina za pośrednictwem p. Zofii Bartkowskiej.

Właścicielkę po kilkakroć wzywano do burmistrza i landrata, przedkładając, aby Polakowi nie sprzedawała.

* **Z Wrocławia.** Podczas obchodu 1-go maja ze strony socyalistów zaszedł tutaj nadzwyczajny wypadek. Robotnikowi, Fr. Bieraldowi, który wraz z innymi podczas patrolowania policyantów zamknął się w bramie pewnego domu i chciał się udać do swego mieszkania, została ucięta ręka. Policyanci bramą wpadli do sieni i gonili uciekających robotników, którzy

w obchodzie ani w żadnych ulicznych demonstracyach udziału nie brali. — Takie wybryki popełnia sławetna policya. We Wrocławiu bywają podobno wypadki, że prezydyum policyi w razie zapotrzebowania przebiera na policyantów — podoficerów.

* **Z Książa** donoszą: Na ostatniem zebraniu cechu ślusarskiego, do którego należą także kowale i blachnierze wybrano cechmistrzem w miejsce pana Wrońskiego, który przenosi się do Berlina, Niemca Hermana Stellera. — Czemu Niemca? — czy w Książu nie ma rzemieślników Polaków godnych piastowania urzędu cechmistrza?

Podobnie postąpili sobie u nas w *Gnieźnie* piekarze, którzy wybrali zarząd cechu przeważnie niemiecki, choć Polacy mają znaczną przewagę liczebną.

* **Zgorzelice.** (Śląsk). Od Polaka na obczyźnie odbieramy następujący opis smutnych jego losów.

Zamieszkuję tutaj lat 13-cie, służyłem także we wojsku. Po wysłużeniu pozostałem na stałe. Zapoznałem się z panną, Niemką-protestantką i pojąłem ją za żonę. Po trzech latach naszego małżeńskiego pożycia przeprowadziłem żonę moją na łono Kościoła katolickiego. Biedaczka, po krótkim czasie przeniosła się do wieczności. Po jej zgonie zapoznałem się z wielu Polakami i także z gazetami polskiemi, które prawdziwego dodały mi ducha narodowego. Nie szukając już teraz żony Niemki, pojechałem w nasze ojczyste strony, pojąłem za żonę Polkę i jestem z nią bardzo szczęśliwy. Wstąpiłem także później do tow. polsko-katolickiego, które tutaj istnieje. Należę do niego teraz lat 5. Tutaj jeszcze gorliwszego nabyłem ducha narodowego, tak że dziś dzieci moje po pierwszej żonie już dobrze władają językiem polskim. Teraz niestety Bóg nawiedził mnie nieszczęściem. Jestem ciężko chory i niezdolny do pracy; a chociaż jestem krawcem i w domu pracuję, to jednak bieda zaczęła się wkradać do domu. Udałem się więc z prośbą do towarzystwa polskiego i w krótkim czasie otrzymałem składkę dobrowolną od członków w ilości 14 mrk. Składam im na tem miejscu za ich dobroczynność staropolskie „Bóg zapłać.“ A teraz życzę Rodakom na obczyźnie, aby jak najliczniej wstępowali do towarzystw i abonowali gazety polskie.

Wspólna moc zdoła nam dopomódz. *Piotr Gąszczak.*

* **Herne** (Westfalia), d. 6. 5. 1906. Tutejsze Koło Śpiewaków „Cecylia“ obchodziło w niedzielę dnia 29-go kwietnia w kółku zamkniętem skromną uroczystość swego siedmioletniego założenia. Program uroczystości wypełniono koncertem, śpiewami i bardzo na czasie będącem przedstawieniem „Kusiciele ludu.“ Uroczystość miała przebieg nader uroczysty i poważny.

W dzisiejszych czasach, kiedy tutaj na obczyźnie podwójnie odczuwamy ciężką stopę krzyżacką, oraz z bólem serca patrzeć musimy na to niezgodne rozdwojenie we własnym obozie, Kołu Śpiewaków „Cecylia“ należy się najszczersze uznanie za tę chociaż skromną lecz zdrową uztę duchową.

Jeden z wielu.

* **Polacy na obczyźnie.** Wśród gorącej walki, jaka znowu na dobre rozszalała pomiędzy „Wiarusem“ a „Dziennikiem Polskim“ od czasu do czasu przejawia się wśród braci naszych na wychodźtwie jakiś świetlany przebłysk iście patryotycznego czynu. I tak na pochwałę rodaków naszych zanotować należy czyn, jakiego dokonano w *Dortmundzie.* Zawiązał się komitet, by świątecznie obchodzić uroczystość 115 rocznicy konstytucyi 3 maja. „Dziennik Polski“ tego dnia nawet nie wyszedł, rzucając równocześnie hasło święcenia dnia 3 maja jako największego święta narodowego. Obchód uroczystościowy odbył się w niedzielę 6 maja wśród mów, deklamacyi i śpiewów. Czołem!

* **Ukarany korespondent.** Że gazet nie należy okłamywać, o tem przekonał się pewien młody człowiek z *Essen,* który stawał przed kratkami za następującą sztuczkę: Redakcyom dwóch pism nadesłał, zmyślone doniesienia o pewnym ogniu, o żganiu nożami i pewnej bójce, za co sobie kazał też zapłacić. Wypadki miały się zdarzyć w okolicy Essen. Obie gazety umieściły owe doniesienia w tej wierze, że polegają na prawdzie. Policya odnośnej miejscowości otrzymała naganę od landrata, że mu nie zameldowała owego ognia. Policya nie była winną, ponieważ żadnego ognia nie było, popadła w złość i wyśledziła owego młodego człowieka, który wiadomość tę zmyślił, by u gazet coś sobie zarobić. Dostał się za to przed kraty sądowe i skazano go za usiłowane oszustwo i grubą swawolę na 50 marek kary odnośnie 10 dni więzienia. Tylko ta okoliczność, że nie był dotąd karanym, uratowała go przed karą więzienną; prokurator wniósł tydzień więzienia i 3 dni aresztu.

Od Redakcyi.

Do Strzałkowa: Takich wiadomości — bezimiennie — nie umieszczamy. Możeby się Pan zwrócił do kogoś, coby ew. mógł na obie te panie wpłynąć, by się od żydów odczepiły. Jeżeli Panowie macie Tow. Przemysłowe, to wyślijcie im z ramienia tego Tow. list napominający.

T. S. G. „Zgoda“ — T. Siemiradzki 102—104 W. Division St. Chicago Ill. *„Ameryka—Echo“* A. A. Paryski 1142—1156 Nebraska Ave. Toledo-Ohio. *„Kuryer Polski“* — Milwaukee-Wis. Wszystkie te pisma wychodzą w Ameryce Północnej. (America Nord.) — *„Słowo Polskie“* — Lwów — Lemberg. *„Głos Narodu“* — Kraków — Krakau — oba w Galicyi. — Z Poznania polecić możemy „Pracę,“ „Przyjaciela Ludu,“ „Orędownik,“ „Postęp“ i „Gwiazdę.“ — Wystarczy na adresie podać: Poznań — Posen.

M. Ark... Krotoszyn. Jeżeli Pan sam swoje wiersze „gryzmołami“ nazywa, to jakżeż nazwać Pańską pretensyę umieszczenia ich w „Pracy?“ Czy są one aby — oryginalne?

Prawdzicowi. — Chętnie umieszczać będziemy wiadomości prawdziwe i nacechowane duchem patryotycznym. Nadesłaną nam umieścimy w następnym numerze. Pozdrawiamy.

M. R. Usiłowaliśmy sprawę tę wyjaśnić i przekonaliśmy się, że podane nam przez Pana informacye nie są dostateczne. Najlepiej będzie, że Pan sporządzi dokładny odpis dokumentów i nam odpis ten nadeśle, a postaramy się według możności dopomódz Panu.

Panu A. Sm... w B. pod Terespolem (Prusy Zachodnie). — Radzimy Szan. Panu zapisać sobie dawniejszą „Zorzę“ t. j. „Przegląd polski,“ pismo społeczno-ekonomiczne i rolnicze, wychodzące co tydzień w Warszawie. Przedpłata wynosi kwartalnie kop. 75. Adres redakcyi: ulica Smolna nr. 21 w Warszawie.

Co do powrotu do Królestwa, to Szan. Pan, jako znający tamtejsze stosunki, będzie mógł najlepiej osądzić, czy lepiej pozostać tutaj, czy też wrócić pod Moskala. W tej sprawie trudna rada.

Jontkowi z Bugaju: Wiersze niektóre właśnie w numerze wielkanocnym umieszczone były. Numer ten poleciliśmy Panu przesłać. W sprawie wydania wierszy odpowiedzieliśmy już listownie.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

9) (Ciąg dalszy.)

— Była chwila, że jakieś „naczalstwo" dało nam pozwolenie widzenia się z więźniem, odezwał się Zygmunt, ale wszedł na to inny, zdaje się niższy urzędnik i rzekł, że kapitan gniewał się nawet, że przyjęto pakiet dla niego i wydano przedwcześnie.

— Cóż to za pakiet? — pytał Jan.

— Nie wiem, pewnie chłopcy posłali mu pościel.

— No, zabierajcie się do mamy.

— Jakże mama przyjęła tę wiadomość?

— Jeszcze jej nie powiedzieliśmy kategorycznie, tylko przesiedziawszy kilka stacyi w innem coupe, powiedziałem mamie, że rozmawiałem z jakimś Warszawiakiem, który mówił mi, że w Warszawie mnóstwo studentów aresztują.

Przyjechali do hotelu.

Pani Iza, ucieszona widokiem córki zapomniała na chwilę o swych niepokojach. Wtem nagle do pokoju jak bomba wpadł Witold.

— A ty skąd się dowiedziałeś, że my jesteśmy? — pytała Wanda, ściskając brata.

— Wiem przecie, że mama-staje zawsze w Angielskim, a domyślałem się, że przyjedzie zaraz dowiedziawszy się o aresztowaniu Tadzia.

— Co? co? co?

— Nic mamo, nic — zawołał Poręcki, — nieporozumienie, awantura, wzięli ich do cyrkułu... jutro wypuszczą.

Pani Iza pochwyciła za piersi Witolda.

— Gdzie? gdzie on? gdzie Tadzio?

— W cyrkule, mamo, — odrzekł, mimowoli spuszczając oczy pod badawczem spojrzeniem matki.

— Kłamiesz!... Mów prawdę!... Gdzie on?

— No, mateczko....

— Miejcie litość nademną, nie okłamujcie mnie, gdzie on jest? gdzie?

— W cytadeli.

Pani Iza ręką powiodła po czole, potem siadła ciężko, powtarzając głucho:

— W cytadeli...

X.

Blada i niespokojna siedziała Marychna przy stole. Otomana jej była już zasłana, zegar na wieży dworca wybił 12-tą, ale ona nie szła spać; ubrana zupełnie przerzucała książkę, nie zatrzymując się na żadnej stronie. Artur zaabsorbowany również przechadzał się po pokoju, paląc papierosa. W kuchni chrapała Tomaszowa aż w pokoju słychać było; nadto głucho stukała maszyna krawca na I piętrze, a od czasu do czasu chichotały się sługi na schodach. Nagle rozległ się dzwonek, prowadzący do stróża, po chwili słychać było zgrzyt olbrzymiego klucza, męskie głosy, łoskot zamykanej bramy, ciężkie kroki kilku osób; brzęk ostróg...

Marychna podniosła się blada jak płótno.

— Po mnie, — szepnęła.

Artur chwycił ją za rękę.

— Marychna! Marychna!

— Co powie na to ojciec?

— Wymyślę co do jutra.

— Do jutra!... Czy sądzisz, że nie przetrząsną wprzód całego domu!... Idź otwórz... dzwonią.

Wzięła lampę i poszła do drugiego pokoju.

Pan Iżycki spał w staroświeckiem łóżku, mając obok nieodstępny fotel. Zbudzony nagle jasnością uniósł się na łóżku.

— A co to? — zapytał. — To ty, Marychna! Nie śpisz? Która to godzina?

Postawiła lampę na stole, uklękła przy jego łóżku.

— No co się stało? Kwadrans na pierwszą, a ty nie śpisz! Cóż to za łażenie w tamtym pokoju? Znowu koleżkowie Artura wysiadują Bóg wie do której! Bałwany, durnie! Żadnego względu nie mają na to, że ja jestem chory i nie posiadamy przecież apartamentów.

— Ojcze, doczekaliśmy się ciężkich czasów. W Warszawie rewizye i aresztowania na wszystkie strony. I w naszym domu są dziś żandarmi.

— Pewnie przetrząsają kąty jakiego młodego reformatora! Bardzo dobrze! Niech go wezmą! Niech go nauczą rozumu!

— I nie żałowałbyś ojcze biedaka, którego rzucą w ciemne lochy Cytadeli?

— Bardzo dobrze łajdakowi, jeżeli zamiast uczyć się ludziom we łbach przewraca.

— Ojcze przecież oni wszyscy czynią to przez miłość bliźniego... Można nie godzić się z zasadami, ale trzeba przyznać uczciwość tendencyi.

— Tendencyi! tendencyi! Dobremi chęciami piekło wybrukowane. Baty dać takiemu tendenciarzowi!

— Ojcze, zobaczysz, że jeszcze pokochasz i takich, co w kazamatach pokutują za to, że nie umieli ograniczyć się egoistyczną pracą dla własnej przyszłości, których umiłowanie sprawy narodowej pchnęło na niebezpieczne tory.

— Zwarjowałaś! Spać ci się chce i bredzisz od rzeczy!

— Ojcze, taki jesteś surowy, że czasem w sercu mojem budzi się wątpliwość, czy mnie kochasz rzeczywiście.

Ruszył ramionami.

— Tatusiu, nie kochasz Marychny?

Złożyła głowę na jego piersiach. Prawie mimowoli zaczął gładzić jej główkę.

— Kochasz, prawda?

— Oj ty, kociaku.

Nuta rzadkiej u niego czułości zadrgała w głosie.

— I kochałbyś mnie, choćbyś mnie nie rozumiał? choćbym ból ci zadała? Bo tatusiu, ja nigdy, nigdy nie chciałam zrobić ci przykrości, zawsze cię osłaniałam, pragnęłam wszystkiem najlepszem życie twe otoczyć, aleśmy się różnili. I nie mogło być inaczej. Ty ojcze, od lat 15 żyjesz w tych oto czterech ścianach i przywykłeś do tego i zasklepiłeś się w nich. Lecz ja żyłam między ludźmi, kochali mnie, ciągnęli, więc serce moje przylgło do nich. Widziałam wielkie bóle i wielkie nędze, i ciemność, ciemność wśród której nie mogły rozwijać się najpiękniejsze kwiaty. Spróbowałam raz otrzeć łzę, raz rzucić promyk światła i otrzymałam wzamian uśmiech wdzięczności i spojrzenie rozjaśnione i zapragnęłam tego więcej i więcej. Więc szłam między nich i niosłam, co mogłam. I jeżeli łatwo

przychodziło mi być słodką i cierpliwą w domu, to dlatego, że tam w świecie serce mi rosło. Miłość dla nich nie przytłumiała miłości dla ciebie, tatusiu, kocham, kocham cię całą duszą, tylko...

— Rewizya! — zabrzmiało we drzwiach za wezgłowiem paralityka.

Chory drgnął, wsparł się na łokciu i z siłą której sam pewnie się nie spodziewał, obrócił się na łóżku. Pokój zapełniało już czterech żandarmów, którzy z właściwą sobie sprawnością, zabrali się do przetrząsania wszystkich kątów. We drzwiach stał oficer i oczu nie spuszczał z młodej dziewczyny.

— Co to!... — krzyknął Iżycki, aż szyby zadrżały.

— Mamy rozkaz rewizyi — odezwał się jeden z żandarmów.

— I zabrania do Cytadeli tej pięknej panny — dodał, zbliżając się do niej oficer.

Marychna rzuciła się ku ojcu, który otworzył szeroko usta, wydając z piersi stłumiony krzyk, do silnego rzężenia podobny.

— Ojcze! ojcze!

Sztywniejącą ręką otoczył jej kibić i przycisnął silnie do siebie.

— Mo...ja... cór...ka!... — wyszeptał i opadł na poduszki.

— Boże!... Artur!... Tomaszowo!... Powtórny atak! Prędko doktora!

Żandarmi otoczyli łóżko.

— Pust' służanka priglasit Pogotowie, — rzekł oficer. — A wy k' rabote, — dodał do żandarmów.

Zanim przybyło pogotowie żandarmi skończyli usilne, a bezowocne poszukiwania. Oficer zbliżył się do łkającej przy łóżku ojca, Marychny.

— Pazwolte barysznia za mnoj, — rzekł pochylając się nad nią z wytworną grzecznością.

Podniosła na niego wzrok nieprzytomny.

— Pani będzie łaskawa z nami, powtórzył już po polsku. Nam bardzo przykro, my rozumiemy, że to niewłaściwa pora. No cóż, nakaz, to nakaz. Nieszczęście się stało, a nam niema czasu czekać.

Uniósł ją pod ramiona.

— Boże, Boże, — szeptała omdlewając Marychna.

Nagle porwał się Artur i przyskoczył do oficera.

— Co! co! ją zabrać teraz?!

— Załko, no czto dziełat! Nakaz!

Czyście ludzie, czy szakale! Zabrać ją w tej chwili, to trzeba być dzikim zwierzęciem. Puśćcie ją! Słyszycie! Musicie ją zostawić przez dni kilka. Postawcie przy niej straż, ale jej nie zabierajcie teraz w takim stanie! w takiej rozpaczy!

— Mnie bardzo przykro, ale co zrobić? Muszę spełnić rozkaz, postarajcie się, może ją puszczą, ale dziś muszę przywieść do cytadeli. Kazano mi, ja w tem nie pan. Ot lepiej dajcie futro i co trzeba z ciepłych rzeczy, ja postaram się, żeby panią wygodnie umieszczono.

Jak automat dała się ubrać w futro, chustkę i kalosze, ale, gdy żandarm wziął ją pod rękę, szarpnęła się i padła z jękiem na ciało ojca.

Zemgloną wyniesiono do czekającej przed bramą dorożki.

XI.

Jan i Poręcki spędzili cały dzień na jeżdżeniu od jednej kancelaryi do drugiej, do coraz nowego dygnitarza, do coraz innych biur. Wszędzie spotykali się z wytworną grzecznością, wszędzie zostawiali większe lub mniejsze łapówki, wszędzie otrzymywali bardzo blade obietnice, że coś się zrobi.

Zniechęceni i znużeni fizycznie wychodzili z jednego z biur, gdy na korytarzu jakiś młody człowiek, ubrany według najostateczniejszej mody, zatrzymał Jana.

— Pan Orczyński, prawda? — rzekł śpiewnym akcentem.

— Tak jest.

— Pan mnie nie poznaje?

— Przepraszam, przypominam sobie ale...

— Nie pamiętam, — dokończył z uśmiechem młodzieniec. — Jestem Edward von Nauchenstein.

— A, pan baron, przypominam sobie, kolega Wacha Jackowskiego.

— Tak jest, właśnie dla tego ośmieliłem się zatrzymać szanownego pana. Pan kuzyn Wacha?

— Daleki, ale bliski szwagier.

— Powinszować, to złoty chłopiec... Dowiedziałem się, że wzięli na wojnę biedaka.

— Tak, już trzy miesiące.

— Jest w armii czynnej?

— Niestety... W danej chwili pewnie walczy pod Sandepu.

— Mieliśmy telegraficzną wiadomość, że nasi mają świetną pozycyę, zajmują wioskę i zdaje się, że doczekamy wreszcie pożądanego zwycięstwa.

Jan i Poręcki mimowoli spojrzeli na siebie z niesmakiem. Pierwszy wyciągnął już rękę do pożegnania, ale Nauchenstein udał, że tego nie widzi.

— Chciałem pana prosić o adres Wacha, rzekł uprzejmie.

— Owszem...., wyjął notes i ołówek.

— Ah, nie będziemy przecież pisać na korytarzu ratusza, może panowie przejdą ze mną do Stępkowskiego. Wprawdzie nie mam zaszczytu znać pana, dodał, zwracając się do Poręckiego, ale między mężczyznami... baron Edward von Nauchenstein.

— Zygmunt Poręcki.

— No, przejdziemy na kieliszek koniaku?

— Dziękuję uprzejmie, ale mamy dzisiaj tak dużo do czynienia.... wymawiał się Poręcki.

Gorzki uśmiech przemknął przez usta barona.

— Panowie zawsze ci sami, nie mogą zapomnieć, że ja prawosławny.

— Ależ nie, zapewniam pana.

— Mój ojciec był ewangielik, ale matka prawosławna.... księżniczka Szachowska.... rzekł zwracając się do Poręckiego, takie prawo, dura lex est lex. Ale ja w szkołach zawsze ciągnął do Polaków, kocham ich i szanuję, ale teraz obcuję tylko z ruskimi, bo.... nie robią mi afrontów.

— Ależ zapewniam pana, że odmawiamy jedynie ze względu, iż mamy dziś ważne i ciężkie zadanie do spełnienia....

— A może panowie boją się, że gdy będziemy szli przez ulicę, przerwał z szyderczym uśmiechem baron, rzucą mi bombę jako pomocnikowi oberpolicmajstra!

Spojrzenie porozumiewające się zostało wymienione między Janem a Zygmuntem.

— Otóż aby przekonać pana, że tak nie jest pójdziemy z panem do Stępkowskiego.

— No, nie chcę panów *ścieśniać,* żebyście mnie nie klęli potem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwudziestoośmioletnie wygnanie
czyli
ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.
Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

13)

(Ciąg dalszy.)

Od tej chwili mieszkanie nasze, przez cały czas naszego w Saratowie pobytu, było codziennie od rana do wieczora odwiedzane, przez mnóstwo osób, różnego stanu, wieku i płci. Starano się na wyścigi, nie dać nam uczuć naszego położenia, a przeciwnie każdą minutę uprzyjemniać. Z kilku domów przysyłano nam kolejno pożywienie; rozmaitych zaś bakalii i rożnego gatunku owoców dla żony, a dla mnie wina, porteru, tytoniu, cygar i tympodobnych rozmaitości taką massę nadsyłano, że ja zmuszony byłem prosić ich, aby ilość darów zmniejszali, gdyż nietylko dla nas trojga, ale i dla otaczającej nas warty, będzie za wiele. Nic to jednak nie pomagało, mieszkańcy bowiem tak byli dobrzy, że odwiedzając nas prosili jeszcze, ażebyśmy nic nie kupowali, a co nam tylko będzie potrzeba, od nich żądali. Słowem, miasto to, bez względu, że my będąc w okropnej niepewności, cierpieliśmy wiele, w porównaniu z Uralskiem nazwaliśmy ziemią obiecaną. Bo czyż można było być nieczułym i niewdzięcznym na to współczucie, jakiegośmy od nich doznawali?

Pomiędzy wielu innemi, odwiedzającemi nas osobami, była jedna z nich, bardzo miła i ukształcona pani Grochów, żona urzędnika, do szczególnych zleceń przy gubernatorze będącego. Ta pani, zaprzyjaźniwszy się z moją żoną, błagała nas, abym ja, nie oczekując decyzyi z Petersburga, uciekał z Rosyi.

— Wszystkie trudności ułatwione zostaną, o wszystkiem pomyślałam — mówiła do mnie — ludzie wierni i pewni odwiozą pana do mojego majątku, ztamtąd dostaniesz list i człowieka, który cię dalej powiezie, i tak jadąc pocztą obywatelską, dostaniesz się do miejsca, które sam sobie naznaczysz. Żony pana długo trzymać tu nie mogą, ona w obliczu prawa za postępki męża nie odpowiada, a gdy ją uwolnią, łatwo możecie się skomunikować i jechać za granicę.

Słuchaliśmy ją oboje z wielkim zajęciem, myśl o swobodzie, zapadła w serca nasze, i uśmiech radości na ustach wycisnęła, ale zastanowiwszy się nieco, podziękowaliśmy jej stanowczo, mówiąc, żeśmy sobie wzajemnie przysięgli, podzielać los, jaki nas spotyka; dopuściwszy się zaś tego, sumienie by nam wyrzucało, że niedotrzymawszy danego słowa gubernatorowi, narazilibyśmy go na odpowiedzialność.

Dotąd nie wiem co o tem sądzić, to tylko pewne, że pan Własów cztery razy był jeszcze u nas, i zawsze największe znaki szacunku i przychylności nam okazywał. Podejrzywać zaś panią Grochów o złe względem nas chęci, tem bardziej nie mamy prawa, że później przy wyjeździe naszym z Saratowa, ona przy pożegnaniu się z Albiną, nie będąc katoliczką, uklękła przed nią i zalana łzami, prosiła ją o błogosławieństwo.

— Kto wie? — mówiła — może potomność oceniając tyle cierpień, przez słabą kobietę przeniesionych, uzna cię kiedyś za świętą.

Słysząc podobne słowa, od młodej, ładnej, obcego wyznania kobiety ,trudno ją było posądzać o obłudę, młodość chyba i egzaltacya, natchnąć ją mogła tą myślą, aby pojmując prawdziwie jedynego Boga, w ogólną sprawiedliwość Jego wierzyła.

Parę miesięcy oczekując na decyzyę z Petersburga, mieszkaliśmy w Saratowie, i nam, jako nieznającym praw krajowych, a sądzącym prócz tego z opinii powszechnej; zdawało się, że car nie będzie nas karał, a przebaczy winę, za którą sami już tyle ucierpieliśmy. Lecz o jakże byliśmy niedorzeczni, spodziewając się litości od despoty-barbarzyńcy!....

Nie zważając bowiem na to, że gubernator saratowski, odstępując nawet od przepisanych form, w tak czułych wyrazach napisał o tym wypadku raport do Petersburga, który będąc przez sztafetę w czasie obiadu carowi wręczony i na głos czytany, to będące tam sztats-damy i frejliny na głos płakały. Car tylko Mikołaj, tupając ze złości nogami, wściekał się, a bryzgając pianą z ust auguściejszych na wszystkie strony, wrzeszczał jak opętany, że się w jego państwie znalazł tak zacięty wróg, iż uciekając, wykopuje martwe dzieci i uwozi, aby na ziemi ruskiej nie spoczywały, a obracając się do gubernatora oremburskiego, podówczas tam będącego, wyrzucał mu mówiąc, co tam robiła jego gubernia, że dozwoliła jednej nędznej i słabej kobiecie oszukiwać się tak długo? W uniesieniu przeto siebie godnego gniewu, dał rozkaz, aby z całą surowością prawa, mnie wojskowym, żonę zaś moją i Magdusię, cywilnym sądzono sądem.

Wszystko to dowiedziałem się w Oremburgu, gdzie po powrocie moim, jenerał-gubernator to sam opowiadał.

Przyszedł nareszcie ten srogi rozkaz do Saratowa. Pierwszy o nim z polecenia gubernatora uprzedził nas pan Awerkowicz, który przesiadując prawie po całych dniach z nami, stał się niejako domownikiem naszym. Powiedział on nam, że pusta tylko formalność wymaga, abyśmy dla wyjaśnienia tej sprawy do Uralska wrócili.

Z boleścią serca naszego odebraliśmy tę wiadomość. Czegośmy się najwięcej lękali, to się niestety! rzeczywiście stało. Wracać do nienawistnych nam i zagniewanych na nas ludzi, było okropnie!... Myśl zaś, że nas niezawodnie rozłączą, była dla nas prawdziwie zabijającą!....

III.

Jadąc napowrót do Uralska, o! jak różne były nasze uczucia od tych, jakie przy wyjeździe mieliśmy. Przódy każdy obrót koła i każda sekunda zbliżały nas do upragnionego celu, tylu mękami okupionego, dziś zaś, każde mrugnienie oka, i cal ziemi, rozłączenie moje z żoną zapowiada....

O biedni my ludzie! natura zaszczepiła w nasze serca uczucia, ażeby sobie z nich igraszkę później zrobiła, bo podług mnie, nie masz na świecie większego szczęścia, jak połączyć dwa kochające się serca, równie jak i nieszczęścia, kiedy je los rozdziela! Nie wiem, jak to o tem sądzić przyjdzie, ale to pewna, że ja dziś, gdy to piszę, mając przeszło lat pięćdziesiąt, jeszcze tak myślę.

Dojeżdżając do Uralska, umyślnie kazałem żandarmom spóźniać naszą podróż, abyśmy w nocy przyjechać mogli, unikałem bowiem ile możności, drażliwej pozycyi, w jakiej względem tego miasta znajdowaliśmy się. Gdyby pospólstwo jego nie było tak dzikie a cokolwiek znośniejsze, wśród dnia wjechałbym śmiało; ale narażać siebie, a głównie moją drogą Albinę, na śmiechy, szyderstwo, naigrawanie się i grubiaństwa motłochu, było jedno, co doświadczać swojej cierpliwości, a w razie jej pęknięcia, sił fizycznych w chwili, kiedy nogi zakute a ręce bez kija, nierówną walkę zapowiadały, innego bowiem hamulca dzicz ta wówczas nie znała.

I rzeczywiście o godzinie 10-tej wieczorem, przyjechaliśmy do Uralska. Odwieziono nas wprost do policyi. Tu prócz starszego dozorcy i kilku policyantów, nie było nikogo, sam bowiem policmajster był niezdrów, co między klasą czynowniczą, znaczy pijany. Widać, że się nas spodziewano, gdyż żonę moją z Magdusią, odwieziono na przygotowane mieszkanie, a mię na odwach do Ostroga.

Umówiliśmy się z Albiną, aby władzy uralskiej o nic nie prosić, będąc przekonani, że to nietylko nic nie pomoże, ale powiększy jeszcze ich tryumf i urąganie się nad nami. Rozłączenie się nasze, choć bolesne, lecz przewidziane, z udaną przyjęliśmy obojętnością. Zauważałem, że w służalcach policyjnych i przyjmujących mię na odwachu, nie było ani jednego przychylnego spojrzenia; wszystko to złe, rozjątrzone, z jaszczurczemi oczyma, około mnie się krzątało. Z tego wnosząc, brałem miarę o ich panach i o nienawiści ich, będąc prawie przekonany; postanowiłem przeto być krnąbrnym aż do grubijaństwa, nie poddawać się żadnej osobistości, prawu tylko ulegać, słowem, dla grzecznych być uprzedzającym, dla niegrzecznych, brutalem.

Jakoż nie omyliłem się w moich domysłach, bo nazajutrz drzwi do mnie z hałasem otworzono, i policmajster wraz z innymi wszedł do mojej ciemnicy. Prawdę wam powiem moi szanowni czytelnicy, że gdybym w spojrzeniach tych panów najmniejszą przychylność zauważał, byłbym zupełnie rozbrojonym, i z całą grzecznością mojego wychowania, starałbym się ich przyjąć, ale spotrzegłszy, że pan policmajster Łaginów, który szczególniej był na mnie

zagniewany za to, że ukrywanie się moje w domu, przeszkodziło mu do odebrania sprzączki za nieskazitelną służbę, że Łaginów mówię, wraz z drugimi stoi, z iskrzącemi się od złości oczyma w czapce, ja równie nie zdejmując swej z głowy, z założonemi po napoleońsku rękoma, rozjątrzony jak kogut, stanąłem do walki.

Widać, że to ich wszystkich ogromnie oburzyło, albowiem podpułkownik policmajster, zbliżając się do mnie w największym gniewie, zapytał:

— A czy ty wiesz o tem, że jesteś aresztantem?

— Wiem — odpowiedziałem spokojnie — ale i o tem pamiętam, że jak nie ty mię aresztowałeś, tak i nie ty uwalniać będziesz!

— Czy ty pamiętasz o tem, żeś sołdat, i że mówisz z podpułkownikiem? — zapytał mię rozjątrzony coraz bardziej magistrat.

— Pamiętam, ale i to mi wiadomo, że jak nie ty mię zdegradowałeś, tak i nie ty awansować będziesz!

Zatrząsł się cały podpułkownik ze złości, i wyszedłszy porządnie zapyrzony, zaczął mię kląć po swojemu za drzwiami.

Wypadek ten musiał się rozgłosić i wpłynąć na innych, albowiem, odtąd gbura tego więcej nie widziałem, a w czasie śledztwa administracyjnego, wyrazu „ty" więcej nie słyszałem. Członkowie zaś śledztwa byli daleko grzeczniejsi, co gdy zauważałem, zrobiłem się jak dziecko łagodnym, i nie płaszcząc się, pokornym.

W kilka dni potem, zaczęto mię indagować, i na zapytanie, co było powodem mojej ucieczki i uwożenia dzieci nieżywych? odpowiedziałem im, że chęć być wolnym, i pochować swe dzieci w grobie familijnym, są powodem, że staję przed nimi. Zdaje się, że podobna odpowiedź jako objaśniająca wszystko, powinnaby być zadowalniającą, ale rozwlekłe formy śledztwa administracyjnego, sprawę tę przedłużyły blisko na trzy miesiące, dla tego byłem zmuszony, chodząc do nich prawie codziennie, odpowiadać po kilka razy, na najdrobniejsze pytania.

Niejaki pan Michał Sienkiewicz, wzięty do niewoli w kampanii 1831-go roku, był posłany na służbę wojenną do Uralska. Jako rodak, współwygnaniec i kolega, bywał on w moim domu, a po mojej mniemanej śmierci, jako doświadczony i z gospodarstwem obznajmiony, proszony przez moją żonę zakupywał różne, dla domu potrzebne produkta, a jako myśliwy, dostał w podarunku od mojej żony, mego wyżła. Jego więc i Lewińskiego, jako podejrzanych, że wiedzieli o mojem ukrywaniu się w domu, aresztowano.

Bolesno mi to było nadzwyczajnie, gdym się o tem dowiedział. Prosiłem przeto komisyę śledczą, aby ich obydwóch, jako nie mających w tej sprawie najmniejszego udziału, oswobodzono.

— Słowem honoru i uczciwością moją zaręczam panów — mówiłem do nich — że mówię prawdę, na domiar tego, powiem wam więcej, że ubliżyłbym im obydwom twierdząc, że oni nie byli godni naszego zaufania, ale jeżeli nie wiedzieli, to jedynie dla tego, że mogąc łatwo przed nimi jak równie i przed wszystkimi innymi utaić, nie widzieliśmy potrzeby, o tem ich zawiadamiać, tem bardziej jeszcze, że w przypadku odkrycia mię, nie chcieliśmy powiększać ofiar.

Że zaś rzeczywiście o niczem nie wiedzieli, i tak się tłómaczyli, przeto w kilka dni potem ich uwolniono.

Pokarm i bieliznę przynoszono mi na odwach, od mojej żony, i chociaż my oboje nie umawialiśmy się poprzednio o sposobach komunikowania się na piśmie, pewność jednakże, że kochające serce kobiety, wynajdzie środki, podała mi myśl, ażebym na każdą posyłkę od niej, wręczaną mi przez żołnierza, zwracał uwagę. Jakoż pokazało się w skutkach, że domysły moje nie były próżne. Raz bowiem odebrawszy butelkę z gorącą kawą, zauważałem, że korek nie był zwykły jak dotąd, ale z papieru; rozwinąłem go zatem, i znalazłem kawałek ołówka bez drzewa, i słowa: „szukaj w bieliźnie" ręką Albiny napisane. Prawdziwie, że zobaczywszy to, taką radość w sercu uczułem, iż długo opamiętać się nie mogłem, lecz gdy innym razem przeglądając bieliznę, w prześcieradle, dość szeroki, nakrochmalony i przyprasowany obrębek znalazłem, i rozpruwszy go, zobaczyłem parę cienkich igieł i kilka nitek wzdłuż obrębka wyciągniętych i zaszytych, prócz tego kilka wierszy ołówkiem, ręką Albiny do mnie napisanych, byłem zupełnie szczęśliwym; albowiem przedewszystkiem, jedna tylko niewiadomość o niej, najwięcej mię dręczyła.

Widać więc, że gdzie jest serce, tam i przeszkody ustają.

Ma się rozumieć, że odsyłając zużytą bieliznę, pisałem do żony na płótnie, i w obrębie zaszywałem. W korespondencyi naszej, która i na papierze w miejsce korku, wprzód używaną bywała, prócz zapewnień tęsknoty, czułości i przywiązania małżeńskiego, nie było ani słowa, styczność ze sprawą naszą mającego.

Ale niestety! pewnego wieczora, w chwili, kiedy nie mając żadnego zajęcia, kartki te po raz piąty czy szósty odczytywałem, dwóch członków komisyi, wraz ze strażą miejscową, weszło do mnie, i nie mówiąc ani jednego słowa, przystąpili do przetrząsania, obszukania i obmacania wszystkiego, a naturalnie, znalazłszy to czego szukali, zabrali kartki od mej żony, i pokłoniwszy się, wyszli.

Tym sposobem pozbawiono nas ostatniego środka pociechy, przerwano wszelką komunikacyę pomiędzy nami, karmiono i opierano mię na odwachu; że zaś w kartkach tych, nic ważnego nie było i być nie mogło, nie bardzo się przeto tem troszczyłem, a nad tem tylko ubolewałem, że od żony wiadomości mieć już nie będę.

Jakim sposobem dowiedziała się o tem komisya, dotąd mi nie wiadomo.

Niech sobie teraz łaskawy czytelnik przypomnieć raczy, ów dzień mojej mniemanej śmierci, w którym Albina, wobec atamana i innych, z takim talentem rolę swoją odegrała; i chociaż wszystkie szczegóły, jak najsprawiedliwiej powyżej są opisane, z których widać, że drapanie się do mojej szafki wyżła i odebranie równocześnie od Maryi listu mego, wiele Albinie pomogło, że zaś władza o tym zbiegu okoliczności nie wiedziała, przeto ja, mając na uwadze, ażeby zwierzchność nie straciła dla niej szacunku, że ona tak dobrze udając, robiła sobie igraszkę z najświętszych uczuć małżeńskich, zmuszony byłem chwycić się następującego wybiegu.

Umówiwszy się poprzednio z żoną i służącą, zeznałem, że ja, po oddaniu listu mego do atamana, poszedłem w nocy wprawdzie do Uralu, ale tam szukając długo otworu w lodzie, gdym go nie znalazł, zostawiłem suknie, sam zaś dla wzięcia motyki lub drąga żelaznego, wróciłem do domu; lecz wyrachowawszy, że zanim dojdę napowrót do rzeki, i otwór znajdę lub zrobię, świtać już zacznie, schowałem się w domu za drzewem w sieni, i od nikogo nie widziany, stałem dzień cały, odkładając spełnienie zamiaru do następnej nocy; ale kiedy warty i patrole w noc następną urządzono, wyszedłem z ukrycia już po pół nocy, i obawiając się iść do rzeki przez miasto, abym przez patrol nie był schwytany, wszedłem do pokoju Albiny. Rola więc jej, jaką wobec atamana i innych odegrała, nie była zmyśloną, gdyż ona przez cały dzień, co się ze mną stało — nie wiedziała.

Nie wiem, jak dalece temu uwierzono, ale to pewna, że chociaż my wszyscy troje, tak w czasie inkwizycyi zeznaliśmy, mię jednak nie za zamiar samobójstwa, ale za ucieczkę sądzono.

Pewnego dnia, siedząc zamyślony w mojem więzieniu, usłyszałem jakieś delikatne skrobanie we drzwi, lecz na to nie zwracałem z początku żadnej uwagi, ale gdy znak tajemniczy mocniej powtórzono, podszedłem do drzwi, i w szparze od nich będącej, spostrzegłem zwiniętą kartkę. Osoby zaś, która mi ją podała, nie widziałem. Rozwinąwszy ją zatem, następne słowa wyczytałem:

„Pojutrze wywiozą cię do Oremburga, dla oddania cię pod sąd wojenny. Albina tu się zostanie. Wszelkich środków użyto, aby ci pozwolono z nią się pożegnać, ale to wszystko napróżno! Próbuj sam, proś, domagaj się, może ty będziesz szczęśliwszy! To tylko pewna, że ta, która to pisze, jest i będzie najnieszczęśliwszą z żyjących!..."

M...

O! czytając te słowa, przekonałem się dopiero, że prawdziwe jej uczucia, formami przyjaźni były pokryte! tyle zaś bezinteresowności w tak drażliwej materyi, dało mi wysokie o jej cnocie wyobrażenie; dotąd bowiem, ona mając tyle zręczności, nigdy mi nad to, że jako sierota, z potrzeby jedynie nie kochając, wyszła za mąż, o innych uczuciach dla mnie, prócz przyjaźni, nie wspomniała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P

30) (Ciąg dalszy.)

Możecie się kochani państwo naradzić, — rzekł Miret uprzejmie, — pojmuję to bardzo dobrze. Może pani woli mnie od razu spłacić, może się kto znajdzie, kto pani tę sumę pożyczy. Przyjdę jutro o tej samej godzinie — będziecie więc mieli dosyć czasu do namysłu. Rewers zostawiam tutaj. Więc jutro: podpis lub pieniądze, rozumiecie? — dodał groźniej. — Nie myślcie tylko, że mnie oszukacie, o tem mowy nie ma!

Miret ukłonił się i wyszedł.

Drugiemi zaś drzwiami, wiodącemi z gabinetu wprost na schody, wybiegł Robert.

ROZDZIAŁ XXXII.

Jakie to nieszczęście! — jęknął Alfons po odejściu Mireta. — Ten łotr wie o wszystkiem i może robić z nami, co mu się podoba.

— Jeżeli nas zdradzi, jesteśmy zgubieni, — zawołała Lola, ukrywając twarz w rękach. — Zgubieni bez ratunku.

Było to rzeczywiście nieszczęściem dla niej, że właśnie w chwili, w której postanowiła zerwać z przeszłością, uwolnić się od twych wspólników i nowe rozpocząć życie, powstała przeciwko niej owa przeszłość w postaci czwartego łotra, który żądał także części przypadającego na nią miliona. Cały ten majątek, dla uzyskania którego posunęła się aż do zbrodni, miał więc zniknąć dla niej, zanim go jeszcze posiadła, i nie zostawało dla niej nic, jak wieczny strach, niepokój i może — wyrzuty sumienia!

— Podpisać ten rewers, — wyrzekała, załamując ręce, — znaczy, stracić nie tylko tak znaczną sumę, ale nadto oddanie się zupełne na łaskę i niełaskę temu niegodziwemu człowiekowi! Jest to przyznanie się do winy? Damy mu broń straszliwą na nas samych! Co robić, co robić! Poradź co, Alfonsie!

— Ja nic nie wiem! Zgoła nic! — odrzekł Alfons bezmyślnie. Ale nagle zerwał się, i uderzając dłonią w czoło, zawołał radośnie:

— A cóż Robert? Zapomnieliśmy o nim! On da nam dobrą radę!

Prawda!

I zapominając o swej odrazie ku temu młodemu potworowi, zapominając, że chciała mu dać odprawę raz na zawsze, pobiegła Lola do gabinetu, lecz Roberta już tam nie było.

— Uciekł! Uciekł! — zawołała z rozpaczą. — Przestraszył się i opuścił nas, widać zatem, że jesteśmy zgubieni!

Lecz Alfons znał zbyt dobrze brata, znał jego przebiegłość szatańską, to też ucieczka jego nie przerażała go zanadto. Nie myślał jednak uspokoić Loli — owszem, uważał chwilę tę za zupełnie stósowną do osiągnięcia swego celu.

— Nie można mu się dziwić, — rzekł poważnie. — Byłaś dziś dla niego tak szortską i niegrzeczną, że musiał stracić chęć poświęcania się dla ciebie. Jeżeli on nam nie powie, nie ma dla nas ratunku! Domyślił się, że chcesz się nas pozbyć, usunął się więc sam, i to jest nieszczęściem dla nas, bo jego nadzwyczajna bystrość i jego rozum bardzo by nam się teraz przydały.

— Ach, — szepnęła Lola bez namysłu, — żeby on nas od tego człowieka uwolnił, zapisałabym mu, ileby sam zechciał!

Alfons zadrżał z radości, lecz nie okazał tego Loli.

— Mówisz to teraz tak, bo masz strach, — rzekł chłodno, — a potem... Niestety i ja mam powody niedowierzania ci! Gdy niebezpieczeństwo minie, będziesz znowu chciała rozłączyć się z nami!

— Jak możesz tak myśleć, zawołała Lola, ujmując rękę Alfonsa.

Ale on nie zważał na tę czułość.

— Nie jestem przecież ślepym, — rzekł. — Gdybym ci nawet wierzył jeszcze, to dzisiejsze twoje postępowanie byłoby mnie musiało objaśnić co do twoich dalszych na przyszłość zamiarów. Nie kochasz mnie już wcale!

— Owszem, przysięgam ci, że kocham cię tak jak dawniej!

— A więc podpisz to, czego Robert żądał!

Lola zmarszczyła czoło.

— Jeżeli podpiszę, — rzekła po chwili, — czy przysięgniesz mi, że uczynicie tego Mireta nieszkodliwym? Że już nie będę go się potrzebowała lękać?

Przysięgam ci to w mojem i Roberta imieniu. Źle jednak, że się Robert rozgniewał na ciebie!

Lola pobiegła do stolika, wzięła ćwiartkę papieru i pióro i za całą odpowiedź rzekła tylko:

— Dyktuj!

Alfons namyślił się i zaczął dyktować:

„Obowięzuję się niniejszem wypłacić panu Alfonsowi Martin połowę sumy przypadającej na mnie po śmierci mojej siostry Eleonory Garrel, zamężnej hrabiny Noirville, podług rozporządzenia w testamencie mego ojca, hrabiego Ludwika Garrela. Suma ta zostanie wypłaconą panu Alfonsowi Martin na drugi dzień po odebraniu należącego mi się majątku.

— Stało się, — szepnęła, ocierając czoło chusteczką. — Ale to, co tu napisałam jest wyrokiem śmierci mej siostry. Jak to okropnie!

— Wolałabyś nas samych może widzieć na rusztowaniu, — rozśmiał się Alfons szyderczo, chowając do kieszeni drogocenny dokument. — To jest na przyszłość, — dodał jeszcze, — a teraz siadaj i pisz drugi kwit.

Lola machinalnie wykonywała rozkazy narzeczonego, i pisała znowu za jego dyktandem:

„Oświadczam, że winną jestem panu Alfonsowi Martin za rozmaite drobne przysługi pół miliona franków. Obowiązując się wypłacić mu tę sumę w dniu, w którym odbiorę złożony u pana Nivela milion franków, przeznaczony dla mnie w razie, gdyby moja siostra Eleonora pozostała bezdzietną wdową i w przeciągu dwóch lat powtórnego nie zawarła małżeństwa“.

— Podpisz imię i nazwisko, — rzekł Alfons groźnie, widząc, że Lola waha się jeszcze.

Usłuchała go jednak natychmiast, gdy jednak wszystko było skończone, połamała trzonek w rozpaczliwym gniewie.

— Teraz możesz być spokojną, — rzepnął Alfons, udawając, że nie widzi jej gniewu, — Miret nie przyjdzie już do ciebie, ręczę ci za to!

Lola złamana doznanem wzruszeniem, upadła na fotel.

— Idź, proszę cię — jękła bez tchu prawie — zostaw mnie samą!

— Dobrze, dobrze, uspokój twoje nerwy, jutro przyjdę znowu — prawdopodobnie z jaką dobrą nowiną. Do widzenia!

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, wybuchła Lola głośnym płaczem.

— Zbrodnie i morderstwa bez końca — myślała z rozpaczą. — Jestem przeklętą od chwili, w której na świat przyszłam!

ROZDZIAŁ 33.

Miret nie posiadał się z radości. Spekulacya udała mu się nadspodziewanie dobrze i czuł już krocie w kieszeni.

— Mam, czego chciałem — mówił do siebie w duszy. — Ta piękna zbrodniarka albo mi zapłaci gotówkę albo podpisze rewers. Będzie to jeszcze ciężka walka, ale oni widzą, że nie mogą mnie się pozbyć. Gdyby mi jutro nic nie dali i nie chcieli podpisać rewersu, to pójdę do prokuratora, ale — nie boję się tego!

Pan Miret był tak z siebie zadowolony, że postanowił dziś wypić zamiast jednego, dwa koniaki i dla tego poszedł rychlej niż zwykle do restauracyi.

Tuż za nim szedł Robert, nie spuszczając z niego oczu ani na chwilę. W restauracyi usiadł przy tym samym stole i również zażądał kieliszek koniaku.

Pan Miret spojrzał na niego raz i drugi, lecz nie znając go, przestał na niego zwracać uwagę i zaczął czytać gazety, których całe mnóstwo leżało na stole.

Robert wziął także jakieś pismo ilustrowane i oglądał pilnie obrazy, spoglądając przytem nieustannie na Mireta, popijającego zwolna koniak. Robert pił zupełnie tak samo i nagle sięgnął do kieszeni po mały, złożony papierek. Potem obejrzał się w około — lecz nikt na niego nie potrzał, Miret czytał, restaurator przeliczał pieniądze, a kilka robotników, siedzących przy jednym z dalszych stołów, tak było zajętych grą w karty, że wcale na niego nie zważali. Szybkim ruchem rozwinął papierek, wsypał odrobinę białego proszku wswój kieliszek i posunął go nieznacznie do kieliszka Mireta, a w końcu trącił tak mocno żurnalem szklankę z wodą, że szklanka przewróciła się i woda wylała się na ubranie Mireta.

Robert zerwał się z krzesła.

— Przepraszam pana za moją niezręczność — zawołał przestraszony i zasłoniwszy żurnalem kieliszki, zamienił je szybko.

Pan Miret rozgniewany, ocierał długo surdut chustką, poczem zabrawszy kieliszek, usiadł przy innym stole.

Robert wypił spokojnie resztę koniaku, zapłacił i wyszedł.

Lecz na rogu ulicy stanął i czekał tam drżący i blady, a serce biło mu gwałtownie...

Pan Miret tymczasem spojrzał na zegarek i wstał również.

— Już piąta— pomyślał — czas do domu!

Odłożył gazetę i wychylił pół kieliszka koniaku aż do ostatniej kropli.

— Pfe! — rzekł, spluwając — jaki obrzydliwy smak! Gorżki jak piołun! Już tu nigdy nie przyjdę! Restaurator jest oszustem !

Wyjąwszy portmonetkę, zbliżył się do bufetu i zapłacił za koniaka.

— Byłbym wypił dwa — rzekł do restauratora — ale mi nie smakował!

Gospodarz wydał resztę i pan Miret zwrócił się wolno ku drzwiom.

— Lecz nagle stanął, zachwiał się i przyłożył rękę do czoła, oblanego zimnym potem.

— Co to jest? — jęknął — co się ze mną dzieje?

Chciał iść dalej, ale nie mógł się ruszyć z miejsca, w oczach mu pociemniało i gwałtowny dreszcz wstrząsnął jego członkami.

— Na pomoc! Ratunku! — krzyknął okropnym głosem i jak kłoda drzewa runął na ziemię.

Restaurator, kelnerzy i robotnicy rzucili się ku niemu.

— To są kurcze epileptyczne — rzekł jeden z robotników, patrząc na nieszczęśliwego, który w strasznych boleściach tarzał się po ziemi, — trzeba czekać, aż miną. Ja to znam! Lekarstwa na to niema!

Miret cierpiał okropnie. Uderzał głową o podłogę, biała piana toczyła mu się z ust, i z piersi dobywało się przerażające rzężenie.

— Takich kurczy jeszcze nie widziałem — zawołał robotnik przestraszony. — Zdaje mi się, że on umiera.

— Możeby iść po doktora...

— Albo zanieść go do apteki?

— Doktora! Biegnijcie po doktora! — krzyknął restaurator, zły, że w jego domu podobny zdarzył się wypadek.

Jeden z kelnerów wybiegł, a śmiertelne drgania biednego Mireta zdawały się coraz to straszliwszemi. Oczy stanęły w słup i biała piana na ustach się zmieniła.

— On umiera! — krzyknął restaurator.

Nagle wydarł się z piersi konającego jęk podobny do ryku śmiertelnie ranionego zwierzęcia, gwałtowny kurcz wykrzywił mu członki, potem głuche nastąpiło milczenie...

Pan Miret umarł.

W tejże chwili ukazał się w drzwiach lekarz.

— Co się tu stało? — zapytał.

Gospodarz wskazał mu trupa. Lekarz pochylił się nad nim, dotknął pulsu, zbadał serce i rzekł stanowczo.

— Ten człowiek nie żyje! Paraliż mózgowy — uwiadomić o tem komisarza policyi. Zresztą nic więcej zrobić nie można!

— Djabli go tu przynieśli — mruczał gospodarz. — Same tylko nieprzyjemności ztąd powstaną.

— Uspokój się pan, — odparł lekarz — trup długo tu nie zostanie. Czy kto z obecnych znał tego człowieka?

— Nie.

— Jadł on tu co?

— Nie, wypił tylko kieliszek koniaku.

— Otóż to, koniak przyspieszył jego koniec. Proszę o papier i pióro, muszę złożyć sprawozdanie komisarzowi.

Robert stał ciągle na rogu ulicy, z oczami zwróconemi w stronę owej małej restauracyi i widział, jak kelner wybiegł i wracał z doktorem, a zaraz potem wyszedł inny jakiś kelner i zbliżywszy się do stojącego tuż za nim policyanta, rzekł głośno:

— Idź pan, proszę, do komisarza policyi i powiedz mu, że w restauracyi pana Mande umarł nagle jakiś człowiek.

Policyant oddalił się natychmiast.

— Umarł — pomyślał Robert z potworną radością. — Proszek Alfonsa jest dobry, a ten łotr nic nam już nie zrobi. Lecz co się stanie z trupem?

Uczuł teraz strach na myśl, że lekarz pozna, że Miret jest otruty i że zwłoki jego odniosą do publicznej trupiarni, dla obdukcyi sądowej.

Ale pół godziny później zajechał wóz przed restauracyę i Robert, zbliżywszy się nieco, usłyszał wyraźnie, jak gospodarz wymienił woźnicy ulicę Taitbont i numer 25.

— Wiozą go do jego mieszkania — rzekł sobie Robert — bo tam trupiarni nie ma. Widocznie znaleźli przy nim adres. Nie domyślają się niczego — mogę sobie powinszować.

Tom piąty.

ROZDZIAŁ 1.

Śledztwo w kryminalnym procesie Nory i Lucyana zostało skończonem, i wszystkie akta złożono w izbie os-

karżonych. Oboje oskarżeni mieli stanąć przed kratkami na przyszłych sądach przysięgłych.

Ani Nora ani Lucyan nie tracili odwagi. Nie wypierali się teraz już swej miłości wzajemnej, i pomimo, że od owego okropnego dnia, w którym morderstwo spełnionem zostało, wcale się nie widzieli, nie zwątpili o sobie i o tem, że niewinność ich musi się raz przecie wykazać.

Nikomu nie było wolno odwiedzać ich — żadna wiadomość z świata nie dochodziła do ich celi — byli w więzieniu, jak w grobie.

Lucyana dręczyła niezmiernie myśl o matce, lecz na wszystkie jego pytania otrzymywał tę jedną tylko odpowiedź, że „matka żyje!“ Nora pisała kilka razy do pana Nivela i do Helenki, ale odpowiedzi żadnej od nich nie otrzymała. Nie wiedziała przecież, że na rozkaz sędziego śledczego zabierano wszystkie jej listy i dołączano je do aktów.

To też zdziwiła się niezmiernie, gdy pewnego dnia wręczono jej paczkę z wybornemi owocami i ciastkami. Będąc przekonaną, że to dar Helenki, przyjęła go głęboko wzruszona, i ze łzami wdzięczności patrzała na niezwykłe obecnie przysmaki.

— Wiedziałam, — rzekła sobie w duszy, — że ona wierzy w moją niewinność!

Pod tym względem nie myliła się też wcale, Helenka bowiem i jej matka nie wątpiły ani na chwilę o jej niewinności i kochały ją zawsze równie serdecznie.

Na życzenie sędziego pozostawała hrabina Beaumont zawsze jeszcze w pałacu Noirville, i razem z Helenką zajmowała się szczerze losem Nory, ale wszelkie jej usiłowania w celu zobaczenia uwięzionej rozbijały się o surowość Anatola, który w żaden sposób nie chciał na to pozwolić. Nawet panu Nivelowi, opiekunowi Nory, był wstęp do niej wzbroniony.

Gdy śledztwo zostało ukończonem, i gdy hrabina dowiedziała się, że sądy przysięgłych mają się odbyć za cztery tygodnie, postanowiła wystarać się o najsławniejszego adwokata w Paryżu i prosić go, aby przyjął obronę Nory.

— To jest jedyna przysługa, — rzekła do córki, — jaką jej wyświadczyć mogę.

— Tak, — odpowiedziała Helenka, — ale to właściwie rzecz opiekuna.

— Nie czekajmy na to! Zaraz dziś dowiem się, do kogo mam iść — jestem pewną, że dobry adwokat dużo tu pomódz może!

Helenka uściskała matkę i zaraz na drugi dzień udały się obie do adwokata Litzla, najsławniejszego obrońcy prawa w Paryżu.

Pan Litzel znany był z wymowy oraz szlacheckiego charakteru i nie przyjmował nigdy spraw niejasnych lub wątpliwych. Dosyć jeszcze młody, przystojny, zjednywał sobie ogólną sympatyą swoją uprzejmością i wyrazem dobroci w pięknych ciemnych oczach.

Gdy hrabina Beaumont i Helenka weszły do jego pracowni, posunął im krzesła z wytworną grzecznością, i zajmując miejsce obok hrabiny, zapytał bez długich ustępów.

— Życzysz pani sobie mej rady w jakiej sprawie?!

—Tak, chciałabym, abyś pan przyjął obronę pewnej osoby, którą kocham jak córkę! Zgodzisz się pan na to?

— Owszem, ale nie wiem jeszcze o kogo chodzi!

— Słyszałeś pan o morderstwie, popełnionem w pałacu Noirville?

— Tak. Znem tę sprawę z słyszenia tylko. Oskarżoną jest, zdaje mi się, sama hrabina Noirville i jakiś młody lekarz...

— Tak, ale to jest kłamstwo, bo hrabina jest niewinna!

— Pani znasz ją bliżej?

— Znam ją o tyle, aby wiedzieć, że ona nie jest zdolną do popełnienia tak haniebnej zbrodni. Nora wychowywała się w klasztorze, razem z moją córką — miałam dosyć więc sposobności poznania jej charakteru!

— Nie wątpię wcale o tem, ale pojmujesz pani zapewne, że z słów pani nie mogę wytworzyć sobie stanowczego sądu w tej sprawie.

— Ale pan musisz podjąć się obrony Nory! — zawołała hrabina.

— Proszę pana usilnie o to, — dodała Helenka.

Pan Litzel spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Czy panie przybywacie do mnie z polecenia hrabiny Noirville? — zapytał.

— Nie, odrzekła hrabina, — to mój własny pomysł. Nora nie wie pewnie wcale, że musi mieć obronę, a przecież musi mieć kogoś, kto będzie walczył przeciwko obciążającym ją faktem i nienawiści...

— Nienawiści? Więc pani sądzisz, że śledztwo nie było prowadzone bezstronnie?

— O nie, ale sędzia, pan Latow, był przyjacielem zamordowanego, pragnie go pomścić, i uważa Norę za winną.

— To rzecz ważna! Jutro pójdę do hrabiny Noirville, rozmówią się z nią, przejrzę akta i — podejmę się jej obrony!

— Dziękuję panu! — zawołała Helenka uszczęśliwiona.

— Może panie będziecie łaskawe przyjść tu znowu jutro, — mówił dalej pan Litzel, — będę potrzebował rozmaitych objaśnień, i nikt mi ich lepiej, jak panie udzielić nie może. Nie wiadomo paniom, jakiego obrońcę ma ów młody lekarz?

— Nie!

— Muszę się o tem dowiedzieć, trzeba mi bowiem porównać z nim zeznania oskarżonych.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczną — rzekła hrabina — i jutro przyjdę tu o tej samej porze.

ROZDZIAŁ 2.

Robert nie wychodził przez kilka dni z pałacu. Był on nadzwyczaj ostrożny i po każdej zbrodni ukrywał się jak mógł, przed ludźmi. Nie należał on do tych zbrodniarzy, których niewytłomaczona jakaś siła ciągnie na miejsce, na którem popełnili morderstwo — pomimo swego młodego wieku wiedział on dobrze o tem, że tam najłatwiej się poznaje, siedział więc spokojnie w pałacu i czekał na stosowną porę posłania Norze drugiej paczki z owocami.

Sposobność ta znalazła się wkrótce, pan Aleksander bowiem posłał go za sprawunkami na miasto. Przedewszystkiem poszedł więc do składu owoców, a kupiwszy cztery piękne brzoskwinie, kazał je starannie zapakować. Potem kupił w małym jakimś sklepiku kilka piór gęsich i pojechał tramwajem do redakcyi „Wesołego Gońca“, gdzie natychmiast kazał się zameldować Alfonsowi.

— Pójdź ze mną do twego mieszkania — szepnął, gdy zostali sami.

Alfons nie pytał wcale — wziął kapelusz i obydwaj wyszli.

— Bierzmy doróżkę — zawołał Robert.

Alfons i na to się zgodził, i dopiero, gdy już siedzieli w doróżce, zapytał, wskazując na paczkę:

— Co to jest?

— Śniadanie dla hrabiny Noirville.

— Mów wyraźniej!

— Zaraz, zaraz. Widziałeś Lolę?

— Tak, nazajutrz po śmierci tego łotra Mireta.

— No i cóż?

— Masz słuszność, ona chce się nas pozbyć!

— Niewdzięczna! Drwiła sobie ze mnie, — syknął Robert, blady z złości. — Ale czekaj! — Głośno zaś rzekł spokojnie: — To nic nie szkodzi, możemy pracować bez przeszkody — a gdy nadejdzie chwila, w której będziemy się mieli z nią obliczyć, wtedy poszukamy jej!

Gdy dorożka stanęła przed mieszkaniem Alfonsa, dał mu Robert paczkę i zrekł:

— Idź ty najpierw, ja przyjdę za kilka minut, lepiej, że nikt nas nie widzi wchodzących razem.

Po upływie dziesięciu minut znajdowali się obydwaj w pokoju Alfonsa. Robert zamknął drzwi na klucz.

— Teraz do dzieła, — zawołał z właściwym mu zapałem, gdy chodziło o wykonanie jakiej zbrodniczej czynności.

Rozwiązał paczkę i wyłożył brzoskwinie na stół.

— Jakie piękne owoce! — rzekł Alfons. — O tej porze! Zapłaciłeś pewnie dużo za nie!

— Jest to deser dla hrabiny Noirville! — odrzekł Robert z prawdziwie szatańskim uśmiechem. — Jeden z tych owoców zapewni nam miliony!

Alfons milczał.

Robert tymczasem wyjął z kieszeni gęsie piórka i mały, złożony kawałek papieru, w którym jeszcze dosyć dużo znajdowało się strychniny.

— Daj mi nożyk!

Alfons sięgnął w milczeniu do kieszonki we westce i podał bratu scyzoryk. Robert wziął go, spokojny, uśmiechnięty, naciął jedno z piórek, tworząc z niego maleńką rurkę i wcisnął ją w brzoskwinię. Potem wsypał w rurkę szczyptę strychniny, wyjął piórko i wygładził nożykiem owoc tak zręcznie, że prawie wcale nie było na nim widać śladu wciśniętego piórka.

— Co mówisz na to? — rzekł z rozpromienioną twarzą.

— Zkąd ty się tego nauczyłeś? — szepnął Alfons drżącemi ustami.

— Sam wymyśliłem! Oho, ja mam zawsze dobre pomysły! Kto tę brzoskwinię zje, w . . . . . . Lekarz znowu stwierdzi paraliż mózgu! Ha, ha, ha!

— Ależ to okropne!

— Milcz, nie stawaj się uczuciowym — tu chodzi o miliony! Gdy zabijałeś hrabiego, nie byłeś taki rozczulony!

— To był mężczyzna i chciałem się pomścić na nim!

Robert wzruszył ramionami.

— Głupstwo, — rzekł obojętnie. — Główna rzecz teraz, aby owoce doszły do rąk hrabiny.

Zawinął teraz brzoskwinie w papier, włożył je w pudełko, owiązał sznurkiem i napisał na wierzchu adres Nory.

— Możesz wrócić do redakcyi, — rzekł do brata, — już cię teraz nie potrzebuję. Owoców na ulicy przygotować nie mogłem, ani w pałacu, musiałem to uczynić u ciebie. Do widzenia, mój bracie. Doniosę ci później o tem, co się stanie w więzieniu.

Nie troszcząc się już o Alfonsa, wyszedł na ulicę, i przywoławszy posługacza, posłał go z owocami do więzienia św. Łazarza.

— Teraz musi się udać, — szepnął.

Potem załatwił sprawunki pana Aleksandra i wrócił do domu z miną człowieka, który wypełnił sumiennie swoje obowiązki i zupełnie spokojne ma sumienie.

ROZDZIAŁ 3.

Pan Litzel nie tracił czasu. Zaraz nazajutrz po bytności hrabiny Beaumont udał się na sąd i prosił o pozwolenie przejrzenia akt śledczych. Ponieważ śledztwo już było skończone, przeto życzeniu jego nic nie stało na przeszkodzie, wolno mu nawet było odwiedzić oskarżoną w więzieniu. Przeczytawszy kilka stron, poznał zaraz, że oskarżenie bardzo było ciężkie i że pozory przemawiały przeciwko Norze, dla tego też postanowił zobaczyć ją najpierw i rozmówić się z nią o całej tej sprawie.

Nora zdziwiła się niezmiernie, widząc wchodzącego do jej celi zupełnie nieznanego mężczyznę, lecz gdy spojrzała na łagodną twarz pana Litzla, poznała odrazu, że ten nieznajomy nie jest jej wrogiem.

Adwokat zaś patrzał na nią uważnie i badawczo, jak gdyby chciał zajrzeć jej w głąb serca i powiedział sobie po chwili:

— Ta kobieta jest niewinną!

Nora była blada, lecz spokojna. Rumieniec znikł zupełnie z jej ślicznej twarzyczki, ale wielkie modre oczy miały wyraz takiej swobody ducha, że nikt, oprócz Anatola, nie byłby jej uznał za zbrodniarkę.

Pan Litzel ukłonił się z uszanowaniem młodej kobiecie, która stała przed nim nie wiedząc, kto on jest i czego chce od niej.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytała po chwili milczenia.

— Przysyłają mnie tu osoby, które panią serdecznie kochają, — odrzekł uprzejmie.

— Ah, zapewne hrabina Beaumont i Helenka!

— Tak!

— Wiedziałam, że one mnie nie opuszczą! Wiedziałam, że one wierzą w moją niewinność!

— Tak jest, i hrabina prosiła mnie, abym się podjął obrony pani. Jestem adwokatem i nazywam się Litzel.

— Dziękuję panu, — rzekła Nora, podając mu rękę.

— Czy pani myślałaś już o jakim obrońcy?

— Nie, ani mi to przez myśl nie przeszło. I zresztą.... Jakże się bronić wobec tak strasznego podejrzenia? Niewinność moja musi się przecież wykazać, a jeżeli nie........, no, to zniosę mój los w milczeniu!

— Ale milczeniem zaszkodzisz pani sobie najwięcej! Wyczytałem już w aktach, że pani nie chciałaś odpowiadać sędziemu śledczemu na jego pytania! To nie dobrze!

— Cóż miałam mówić? Jestem niewinną, ale nie mogę dowieść tego. Jeżeli mi Bóg nie ześle pomocy, to jestem zgubioną!

— Bóg jest wysoko, — odrzekł Litzel z uśmiechem, — a nadto istnieje przysłowie: pomóż sam sobie a Bóg ci pomoże!

— Więc co mam uczynić?

— Nie trać pani nadziei! Sprawiedliwość ludzka nie jest wprawdzie nieomylną, a przytem pozory świadczą przeciw pani, myślę jednak, że gdy się zajmę tą sprawą, to zdołam prawdę wykryć......

— Myślisz pan to rzeczywiście?

— Dołożę wszelkich starań i uczynię wszystko, co będzie możliwem. Przejrzałem akta oskarżenia pani i muszę wyznać szczerze, że pierwsze wrażenie moje nie było dla pani korzystnem. Ale nie sama pani jesteś oskarżoną. Może ten, którego uważają za wspólnika twego jest rzeczywistym winowajcą!

— Nigdy! — zawołała Nora w uniesieniu. — Jest to najlepszy, najszlachetniejszy w świecie człowiek! Nigdy! Pan go nie znasz, inaczej nie mówiłbyś tego! On jest równie niewinnym jak ja!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Zamek na Wawelu.



Rozpoczęta restauracya zamku na Wawelu jest jednem z zadań trudnych do wykonania. Wprawdzie restauracya Sukiennic i katedry przekonywa, że budowniczowie i uczeni krakowscy dokonają tego zadania z możliwą znajomością rzeczy i pietyzmem, należnym temu pięknemu zabytkowi dawnej chwały polskiej. Posiadamy kilka rycin, przedstawiających widoki dawnego zamku, posiadamy plany jego i parę spisów inwentarzy zamkowych. Na tych danych, dość szczupłych i niedostatecznych, przyznać to należy, nasi restauratorowie oprzeć się będą musieli, by powrócić, jeżeli nie pierwotne kształty zamku, to przynajmniej wspaniałość, należną temu królewskiemu mieszkaniu. Nie należy zresztą wątpić, że przy bliższych oględzinach i badaniu, przy odgrzebywaniu fundamentów i oczyszczaniu murów, znajdzie się, podobnie jak w katedrze, wiele wskazówek i śladów, według których odnowiciele oryentować się będą mogli.

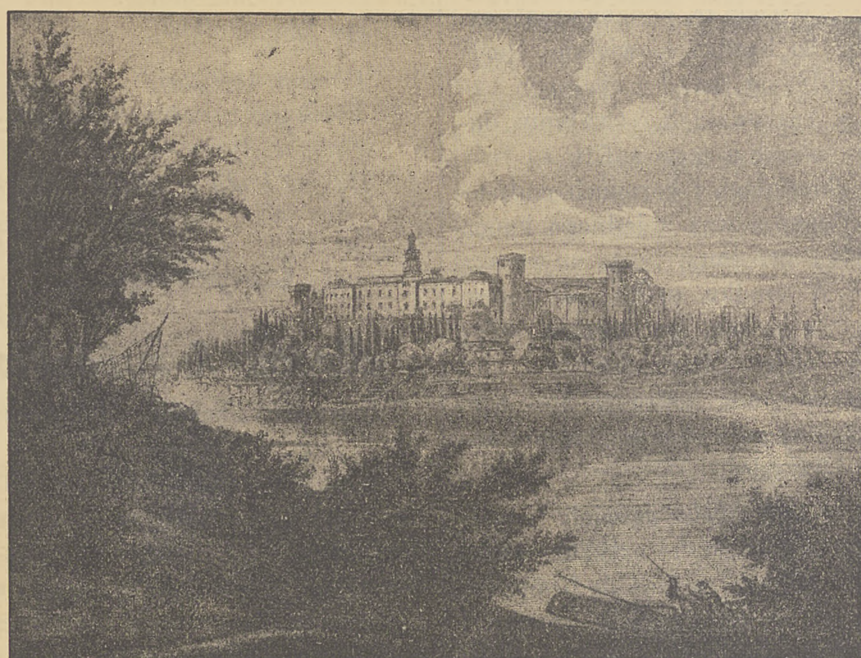
Rysunek, który czytelnikom podajemy, przestawia zamek takim, jakim był w XVII wieku, prawdopodobnie po restauracyi, dokonanej przez Władysława IV i przed zniszczeniem, jakiego się dopuścił najazd szwedzki. Na rysunku tym, pomimo późniejszych zmian i odbudowy, przedsięwziętej przez Stanisława Augusta, widać zasadniczą konstrukcyę zamku, tak, jak ona się dziś jeszcze przedstawia. Że wspanialej on na rysunku wygląda, niż dziś to widać, tego powodem są liczne zmiany, jakich już za naszych czasów Austryacy dokonali, pobudowawszy mnóstwo baszt i gmachów, nie licujących ani ze stylem, ani z celem siedziby królewskiej.

Powtarzamy, że przyszli odnowiciele starożytnego gmachu będą mieli zadanie niełatwe przed sobą. Pomijając zewnętrzną stronę zamku, jego wnętrze uległo tak stanowczym i radykalnym zmianom, że nie małej trzeba będzie bystrości i znajomości przedmiotu, by odszukać ślady onych licznych komnat, o których wspominają dawne opisy i ilustracye zamkowe. Głośny Wiliam Coxe w swem dziele, opisującem podróż po Polsce w początkach przeszłego wieku, powiada: „Wielkie s[illegible]szenie zamku krakowskiego nastąpiło w czasach najazdu szwedzkiego, pod Karolem XII, kiedy po bitwie pod Kliszowem Kraków opanował. Gmach ten w następnych czasach był cokolwiek reparowany i dotąd jeszcze niektóre pokoje dotrwały w dawnym stanie, a są obszerne i pięknego kształtu. Lubo żadnych nie ma w nich sprzętów, jednak dają się jeszcze tam widzieć malowania i inne pozostałe ślady, z których dawnej wspaniałości jego domyślać się można.“

Z lustracyi zamku, dokonanej w r. 1710, dowiadujemy się o niektórych nazwiskach licznych komnat zamkowych; mamy więc: „pokój Zygmuntowski“ (był w nim złocisty komin szafiasty); pokój, zwany „alchimia“; „pokój syreny;“ „pokój marszałkowski“ (okna wychodziły na kościół) — „izba senatorska“, „pokój osłowy“ (tak) „alias sądowy“ miał komin marmurowy) — „pokój ptaszy“ (miał odrzwia marmurowe) „stara kaplica“ — „izba poselska“ (drzwi miała drewniane, sadzone różnem drzewem — podsiebitka z głowami, różnym strojem wysadzana. Pokój ten był w narożniku, a blizko niego znajdowała się wieża senatorska).

W lustracyi z r. 1796 wspomniane jest malowanie na sklepieniu jednego z górnych pokojów. „Pod sufitem (czytamy tam) naokoło są malowane różne *exercitia* wojenne, których malowanie miejscami zatynkowano.“

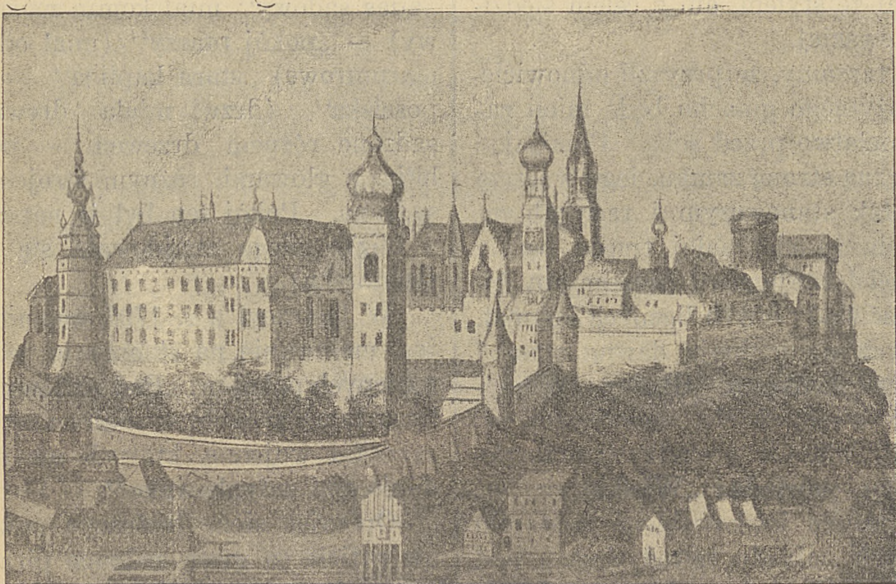
Opisując sień, lustracya powiada: „w suficie są gęsto sadzone piramidy snycerską robotą, złotem malarskiem wyzłacane“. W izbie poselskiej także były na suficie „różne malowane osoby“. O malaturach tych, które, mimo tylu klęsk i zniszczenia, dotrwały w śladach aż do naszych nieomal czasów, opowiada w r. 1850 niejaki Konstanty Wurzbach, który, służąc w wojsku austryackiem, stał załogą na zamku. W dziełku p. t. *Von der verschollenen Königstadt* (maj 1850) pisze on: „W jednym z pokojów starego królewskiego pałacu pokazywano reszty malowań, które, zdaje się, przedstawiały rodziny dawnych królów polskich. Pomiędzy temi odznaczała się postać damy z dziecięciem, w ubiorze książęcym, a miała



Zamek krakowski od strony południowo-zachodniej.

to być Elżbieta, żona Kazimierza IV Jagiellończyka". Dziś już śladu nawet tych malowań niema.

Z tejże lustracyi dowiadujemy się, że w samym zamku było domków 10 i kamienica „Rabsztyn pierwsza i Rabsztyn druga, a dawniej na tem miejscu chowane były zwierzęta zagraniczne"



Widok zamku królewskiego w Krakowie z wieku XVII.

(menażerya?) O główkach, znajdujących się we wspomnianej izbie poselskiej, lustracyja powyższa powiada: „Między piramidami są w tym suficie głowy snycerską robotą misternie wyrobione, gęsto wsadzane i jest ich 195, z których jest 25 porozpadanych i nałupanych". Główki te, podobno małe arcydzieła, w bardzo niewielkiej ilości przechowały się dotąd u jednego ze zbieraczy krakowskich. Czytamy dalej: „w pośrodku tego sufitu są trzy orły, w skrzydłach i koronach nadpsowane. Pogoń i wąż z jednego końca w kawałku utrącony, także snycerską robotą. W środku sufitu jest lustro spiżowe, na którem lew trzyma herby koronne i W. ks. Litewskiego".

Ostatnia znana lustracya jest z r. 1787, która opisuje stan zamku po konfederacyi barskiej.

Na tych to danych i na wielu innych o których w pobieżnym artykule wspominać niepodobna, oprzeć się będą musieli nasi restauratorowie zamku i nie wątpimy, że zadanie swe spełnią dobrze. *W.*

Na Wawel, na Wawel.

(Krakowiak).

Na Wawel, na Wawel,
Krakowiaku żwawy,
Podumaj, potęsknij,
Nad pomnikiem sławy.

Dzieje twojej ziemi
Na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby
Uściskiem powitaj.

Popatrz się po górach,
Po dołach, równinach,
Niech dziewic miłością
Krew ci zawrzy w żyłach.

Tu twych ojców kości,
Bieleją z pod sochy,
Tam w powietrzu drgają
Braci twoich prochy.

Przyłóż usta do nich,
Słodyczy wysysaj,
Na ich łonie głowę
Do snu ukołysaj.

Do snu ukołysaj,
Niech się przyśnią tobie,
Tysiące, tysiące,
Co już legły w grobie.

E. Wasilewski.

Brody krzyżackie.

Z Szajnochy „Szkiców historycznych."

Jesteśmy w roku Pańskim 1512, na zamku w Krakowie, w kościele św. Stanisława. Nabożeństwo już się skończyło, gromadka pobożnych opuściła świątynię, przecież nadzwyczajny ruch jeszcze w niej panuje. Liczna służba kościelna stroi dom Boży ku jutrzejszej koronacyi pierwszej małżonki Zygmunta Starego, cnotliwej Barbary Zapolskiej. Jedni opinają kościół drogiemi makatami, drudzy wnoszą ze skarbca złote i srebrne lichtarze i t. p. naczynia kościelne i zdobią niemi ołtarze; inni wreszcie odświeżają kosztowniejszą jeszcze ozdobę tego św. miejsca, zawieszone u grobowca św. Stanisława vota pobożne, chorągwie nieprzyjacielskie w zwycięzkich bitwach zdobyte.

Tylko dwie obecne w świątyni osoby, jedna w bogatym stroju węgierskim, druga w białym płaszczu krzyżackim, zachowują się bezczynnie wśród tego ruchu. Są to dworzanie przybyłych na weselną uroczystość książąt sąsiednich: Naderspana, wojewody węgierskiego i Joachima, margrabiego brandenburskiego. Pragnąc jaknajprędzej zobaczyć słynne wówczas na całą północno-wschodnią Europę miejsce cudowne, zwrócili oboje pierwsze swe kroki po przybyciu do miasta ku świątyni i weszli niespostrzeżeni w jej progi. Osobliwie na Krzyżaku malowała się niecierpliwość ujrzenia przybytku, w którym tyle sztandarów krzyżackich z pod Grunwaldu ocieniało trumnę św. Patrona Polski. Podczas gdy Węgier pobożnie klęczał u wnijścia, Krzyżak nie umaczał palcy w kropielnicy, nie przeżegnał się nawet, lecz z światową ciekawością dążył naprzód, szukając oczyma pomnika. Nakoniec stanął przed nim. Ale jeśli już sposób zbliżenia się do tego miejsca słuszne wzbudzić mógł zadziwienie, dziwniejszym jeszcze był jego pierwszy rzut oka na sam grobowiec. W wzroku Krzyżaka malowało się największe oburzenie i przestrach. Zmarszczył brwi, owinął się w swój biały płaszcz z czarnym krzyżem i uchylił się mimowolnie za swą długą rudą brodę, ową brodę, która tak istotną cechę Krzyżaków stanowiła, że ich pospolicie zwano „brodaczami o czarnym krzyżu".

Mniemałby kto może, że ten wzrok gniewny wyrażał patryotyczną zniewagę na widok wiszących tu proporców grunwaldzkich i tannenbergskich. Bynajmniej. W owych czasach żaden Krzyżak nie czuł już upadku swego zakonu, nie marzył o wielkości i sławie. Jedynym celem jego życzeń — celem, który w istocie w 13 lat potem miał szczęśliwie osiągnąć przez zrzucenie płaszcza zakonnego — był kufel piwa, żonka dorodna, kostki szulerskie i inne rozkosze spokojnego żywota. Chodziło Krzyżakowi o całość swojej osoby, swej skóry — swej brody! — a tu przed nim, przed jego żywemi oczyma wisiały obok chorągwi pooddzierane Krzyżakom pod Grunwaldem, pooddzierane Wielkiemu Mistrzowi i Konturom, pooddzierane ze skóra czarne, rude, siwe, jasne — brody! Co dotąd słyszał tylko z powieści, z opowiadań ludu, to ujrzał teraz nad sobą w niewątpliwej namacalnej rzeczywistości. Ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyja-

ciołom brody ze skórą odziera i w kościele jako pobożne zawiesza votum! Miłe odkrycie, zjechawszy na wesele! Nuż który z dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności! Potrzeba tylko zwykłej zwady weselnej, aby... Strach zdjął Krzyżaka. Odwrócił się ze zgrozą od okropnego widoku, wyszedł czemprędzej z kościoła i dopiero na dworze pod Bożem niebem wolniej odetchnął.

Jak ów Krzyżak w tej chwili, tak wielu innych przed nim, wielu Niemców i Prusaków gościną w Krakowie bawiących, opuszczało z oburzeniem katedrę na Wawelu. Powtarzane z ust do ust podanie o brodach krzyżackich ciągnęło ich do kościoła a straszny widok dodawał wiarygodności podaniu. Wybiegłszy z kościoła zapragnął ów Krzyżak koniecznie żywej duszy, przy której mógłby utulić swój niepokój, ograć dreszcz przelęknionia. Zlitowanie niebios sprowadziło go wkrótce z rodakiem i znajomym. Był to Ludwik Deciusz, sekretarz króla Zygmunta, jeden z owych osiadłych w Polsce cudzoziemców, którzy doznane łaski w nowej ojczyznie płacą miłością ku narodowi, a znaleziony chleb nie rzadko przyniesionem ze sobą światłem odwdzięczają.

Duszą i ciałem rozmiłowany w swych przybranych współziomkach, miał on zawsze dla nich słowa pochwały, słowa przygany i oburzenia zasłyszanych oszczerstw na ustach.

Znał go nasz Krzyżak z tego względu i nie śmiał wystąpić z wybuchem swego gniewu. Z krzyżacka więc, obłudnie począł chwalić obyczaje narodu, jego bogactwo i gościnność.

— Jedno tylko — dodał, spoglądając z ukosa na towarzysza —obraża oko cudzoziemca i szkodzi samym Polakom. Szkodzi, bo jątrzy umysły, skąd dla Polski wielkie wyniknąć może niebezpieczeństwo.

— Nie rozumiem — podjął Deciusz — o czemże to mówisz?

— O brodach wiszących w kościele.

— O jakich brodach?

— Toć o brodach Wielk. Mistrza i Konturach, wiszących u grobu św. Stanisława.

Deciusz począł się śmiać z całego gardła. Krzyżak rzucił nań jadowitym wzrokiem i rzekł:

— Nie myślę, abyś szydził z krwi twych ziomków.

Deciusz wciąż śmiał się jeszcze. Krzyżak zdawał się być mocno zmięszany tą wesołością i dodał:

— Może zechesz wmówić we mnie, że to nie brody. I ja nie byłem tego pewny przed pół godziną, lecz teraz naocznie się przekonałem. Cóżby to było, jeźli nie brody?

— Co? — rzecze Deciusz ocierając sobie oczy zaszłe łzami od śmiechu. — Co? To buńczuki tatarskie — buńczuki tj. zwykłe u tatarskich hanów i murzów ozdoby rzędów końskich, przyczepione rumakom wzdłuż szyi aż do siodła. Buńczuki te zwykli Polacy po każdem zwycięstwie nad pogaństwem składać w ofierze w Krakowie i Wilnie, stolicy Litwy.



Krypta podziemna w katedrze krakowskiej.

Krzyżak rzucił niedowierzającym wzrokiem na rodaka. Ten wstrzymując się od śmiechu, prawił dalej:

— Mogę cię o tem upewnić. Toć w moich oczach niejeden taki buńczuk zawieszono. Niema jeszcze lat 6 jak ich pod Kłeckiem co niemiara na Tatarzynie zdobyto. Więc się nie frasuj, miły bracie, i płochem, ba, nawet śmiesznem podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu. Ale widzisz tego 90-letniego staruszka? To pan Bethman,, żupnik krakowski, także Niemiec pójdź, on ci prawdę słów moich potwierdzi.

Opisane to spotkanie z Krzyżakiem również jak i jego pomyłkę opowiada nam Deciusz w dziele swojem „De Jagellonum familia".

Z teki tetryka.

Dobre postanowienia, powzięte w nieszczęściu, są jak supełki na chustce: zapomina się łatwo, dlaczego się je zawiązało.

Mąż, który dla swej żony nie jest pierwszą w świecie osobą, jest — ostatnią.

Niema zadania trudniejszego nad to: gonić z godnością swój własny kapelusz, strącony z głowy przez wicher.

Z ojczystych stron.

Miasto Lidzbark W PRUSACH ZACHODNICH.

Opisał **Konstanty Kościński.**

(Dokończenie.)

IX.

Parafija Lidzbarska, kościoły, duchowni, szpital, ewangelicy, Niemcy, żydzi.

Ks. dr. Stanisław Kujot w cennej swej pracy p. t. „Kto założył parafije dzisiejszej dyecezyi chełmińskiej" utrzymuje, że parafija Lidzbarska należy do tych, które już w czasach przedkrzyżackich istniały. [1]) „Nie założyli jej — zdaniem wymienionego znawcy przeszłości Prus Zachodnich — Krzyżacy, bo ci byliby ją tak samo jak w Brodnicy, dla samego tylko miasta przeznaczyli. Jest ona zatem dawniejszą, a założył ją ten król lub książę,który tu rządy swoje posunął i ustalił. Ze względu, że Lidzbark niedaleko jest odległy od Świecia (wsi), lesistą zaś okolicą oddzielony był od Rypina i Szreńska, najbliższych grodów mazowieckich, przyjąć trzeba, że polskie rządy do niego nie od południa, lecz ze zachodu dotarły. Założenie zaś grodu i parafii w Lidzbarku przypada na czas, kiedy rządy polskie południową ziemię lubawską zajęły.

A podnieść warto, że Lidzbark na samem pograniczu starej pruskiej ziemi sasińskiej leżał." Zdanie to i my podzielamy, dlatego też mówiąc o założeniu miasta Lidzbarka, podnieśliśmy, że osada na tem samem miejscu istniała już za czasów przedkrzyżackich.

Z tych wszystkich względów przypuszczać należy, że parafija lidzbarska założono już w wieku dwunastym, jeśli nie pierwej

A jeżeli była parafija lidzbarska, toć i kościół istnieć musiał. Jakim on był i gdzie stał, domyślać się tylko można, gdyż ząb czasu wszystkie zniszczył ślady. Prawdopodobnie był to kościołek drewniany pod wezwaniem św. Wojciecha i stał na Starem mieście. Dopiero gdy chylił się ku upadkowi, wzniesiono nową świątynię, tam gdzie obecnie się znajduje. Zgadza się to z wizytacyą ks. biskupa Olszowskiego z roku 1670, która utrzymuje, iż kościół parafijalny św. Wojciecha budować zaczęli Krzyżacy. Tak było w istocie, ale nie odnosi się to do kościoła pierwotnego, lecz później dopiero wystawionego. Z dalszych losów to tylko nam jeszcze wiadomo, że w wojnach Krzyżaków z Polakami (1414 roku)

[1]) Fontes, VII 214, 215, 278. Toruń 1905 r.

znaczną ten kościół poniósł szkodę, i że w roku 1746 spalił się prawie doszczętnie, ale go odbudowano na starych fundamentach. Ołtarzy jest pięć, główny w wielkim ołtarzu św. Wojciecha, po stronie epistoły św. Anny, po stronie ewangielii Pana Jezusa na krzyżu, w kaplicy szewskiej Matki Boskiej Łykowskiej, a w kaplicy krawieckiej Trójcy św. Z obrazów uwagi godny obraz Najśw. Maryi Panny [2]) i św. Piotra. Co do srebra, posiada kościół Lidzbarski monstrancyą, krzyż z relikwiją, puszkę i 12 kielichów.

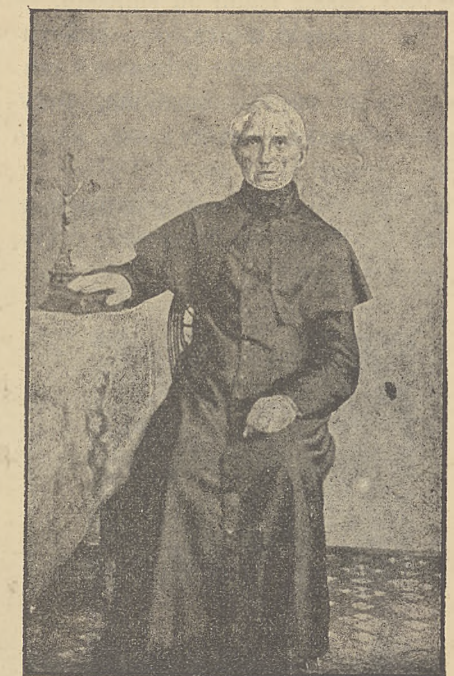
Kościół Najśw. Maryi Panny na Starem mieście, przechodził różne koleje. Od początku miewał on własnych proboszczów, później był tak zwaną prepozyturą. Około roku 1600 naprawił go z gruntu i przyozdobił obywatel lidzbarski Wojciech Kotek, a biskup Gembicki dokonał konsekracyi w r. 1606. Wskutek wojen szwedzich ucierpiał ten kościół także bardzo wiele i został zupełnie rozebranym, ale go postawił na nowo Marcin Chełstowski, podkomorzy chełmiński 1712 r. Nowy ten kościół konsekrował biskup Feliks Kretkowski 1725 roku. Podczas wojen napoleońskich zbeszczeszczono kościół Najśw. Maryi Panny straszliwie, o czem na innem miejscu wspomnieliśmy. Roku 1845 zamknięto go policyjnie, a roku 1846 rozebrano całkowicie. Kamień od wody święconej na cmentarzu jest jeszcze dziś po nim pamiątką. Parafianie starali się o odbudowanie, nawet Ludwika Olszewska wyznaczyła testamentem na ten cel legat, ale jej życzenia nie zostały spełnione.

Przy kościele Najśw. Maryi Panny fundowano już roku 1647 Bractwo Szkaplerza św., o czem w ustępie IV się nadmieniło.

O klasztorze Minorytów, w Lidzbarku, oprócz pieczęci, której podobiznę umieściliśmy, żadnego nie pozostało śladu.

Proboszczami i ich pomocnikami byli w Lidzbarku:

Około 1600 roku Marcin Kucharski, proboszcz, Paweł z Sieradza, proboszcz, Monry, proboszcz, został proboszczem w Górznie, około 1609 roku Stefan Bagieński, proboszcz, około 1620 roku Paweł Gurzyński, wikary, około 1620 roku Jerzy Bagieński (Bagniewski), proboszcz, 1620 r. Stanisław Jańczewski, 1620 r. Piotr Amadey, około 1630 r. Wojciech Węgierski, 1639 r. Jan Nowodworski, 1639, 1670 r. Krysztofor Lidzbarski (Lautembergensis [3]), około 1660 roku Jan Chrostkowic, wikary, około roku 1670 Wojciech Sugajski, wikary, roku 1778 Langner, proboszcz i dziekan, r. 1780,



† Ks. Piotr Etter.

1818 Matyszkiewicz Michał, proboszcz, r. 1806 Fuhrmann Chryzostom, wikary, r. 1818 Mechliński, wikary, r. 1823 Truszczyński, wikary, Etter Piotr, proboszcz i dziekan, urodzony 8-go sierpnia 1802, wyświęcony 1826, instytuowany 1832 roku (patrz podobiznę), około r. 1848 Grabowski, wikary, roku 1861 Hanke, wikary, 1863 r. Kowal-



† Ks. Teofil Borzykowski.

ski, wikary, około r. 1869 Czapiewski, wikary, 1870 r. Frydrychowicz, wikary, roku 1873 Raschke Tomasz, wikary, r. 1890—1900 Borzyszkowski Teofil, proboszcz (patrz podobiznę), roku 1891 Lendzion Wincenty, wikary, około roku 1890 Bielicki Józef, wikary, następnie Karpiński i Działowski, wikaryusze, roku 1906 Klatt, proboszcz.

Od dawna istniał w Lidzbarku szpital, który 1670 roku posiadał przy bramie mazurskiej ogród owocowy, potem inny jeszcze kawałek roli, a oprócz tego 1048 złotych wypożyczonego na procent kapitału. Dom szpitalny miał jedną wielką izbę, dwie komory i sienie, spalił on się 12 października 1677 roku. Na jego miejsce wzniesiono dom inny. Pod koniec 18 wieku znajdował się szpital naprzeciwko dzisiejszego probostwa.

Filie miał kościół farny lidzbarski, nie licząc kościoła Najśw. Maryi Panny, dwie i to w Wąpiersku i w Wlewsku. Kościół wąpierski już roku 1820 był zupełnie spustoszony, a w kościele w Wlewsku odprawiało się nabożeństwo aż do r. 1804. Obecnie w Wlewsku na dawnym cmentarzu jest kapliczka familijna Różyckich.

Wyposażenie miał kościół farny pierwotnie w Nowym dworze, gdzie przywilej krzyżacki (wydany około r. 1414) wyznaczył mu rolę. Jakim sposobem rolę tę kościół utracił, nie wiadomo. Cały Nowydwór wogóle należał na mocy tegoż przywileju do miasta. Dopiero roku 1625 dołączył wieś te radzca starostwa do lidzbarskich dóbr starościńskich, a to dla tego, ponieważ miasto przez 4 lata nie uiszczało się z danin, które wynosiły 30 korcy pszenicy rocznie. Około r. 1830 wszczęło miasto proces o tę dawną swoja własność z fiskusem, ale nie uzyskało nic, głównie z powodu przedawnienia.[4])

Organistami byli 1670 r. Kaszyński, 1853 r. Koziorzebski Franciszek, który się później spalił w Nieżywięciu. Obecnie jest organista Wincenty Barański.

Do parafii lidzbarskiej należą teraz oprócz miasta następujące jeszcze miejscowości: Nowydwór, Bełk, Miłostajki, Borki, Cibórz, Rogal, Nowy Zieluń, Kolonia Bryńska, Klonowo, Nosek, Jamielnik, Wlewsk, Piaseczno, Chełsty, Czekanówko, Kurojady, Wapiersk, Jeleń, Koty, Podciborze, folwark separunkowy[5]), folwark Olszewo[6]), jako też grunt amtowy czyli po starościński (Amtsgrund) [7]).

Cibórz, Wlewsk i Chełsty są dobra-

²) Pedzla Borzymowskiego; pochodzi on z kościoła N. M. Panny.

³) R. 1670 był Jan z Lidzbarka Lidzbarski, wikaryuszem przy kościele kolegiackim św. Jana w Warszawie.

⁴) Zermann, Kronik von Strasburg i Plehn, Ortsgeschichte, str. 83.

⁵) Powstał wskutek separacyi gruntów wiejskich r. 1844

⁶) Od kilkudziesieciu lat w ręku Olszewskich i dla tego Olszewem zwany.

⁷) Do r. 1870 osobna wieś, następnie wcielona do miasta.

mi szlacheckiemi. W Ciborzu mieszkali Ciborscy 1526 roku, Wąpierscy r. 1573, Krajowscy (Krajewscy) 1630, 1670 r., Bagieńscy 1670 r., Tarczykowscy 1670 r., Grudowscy 1670 r., Słoszewscy, Gadomscy, Kłosinscy, Majewscy, Szarzewscy około 1800 roku. W Wlewsku mieli swoją siedzibę: Wlewscy, Pawłowscy, Bojanowscy, Zalescy, Trzcińscy, Liberaczcy, Chełstowscy, Sierakowscy, Suchowscy, Brzozowscy. Chełsty posiadali Chełstowscy, Janczewscy. W Wąpiersku mieszkali niegdyś Wąpierscy, 1670 r. Santopscy i Karwowieccy. Wlewsk pozostał w ręku polskiem; właścicielem jest Władysław Rożycki. Tak samo Cibórz, który mają Mieczkowscy.

Polacy posiadają w Lidzbarku Towarzystwo rolnicze, Towarzystwo wstrzemięźliwości „Jutrzenkę", Towarzystwo św. Cecylii (śpiewu) i Bank.

Kościół ewangelicki wzniesiono w Lidzbarku dopiero 1828 r. Król pruski Fryderyk Wilhelm III łożył na ten cel 1715 talarów i wyznaczył drzewo.

Dnia 12 maja 1828 położono kamień węgielny, a 3 lipca 1829 r. nastąpiło poświęcenie. Po części odprawiało się dawniej w tym kościele nabożeństwo także i po polsku, a nad drzwiami wchodowemi umieszczony był jeszcze roku 1880 napis: „Dom Boży". W r. 1835 dojeżdżali duchowni ewangeliccy z okolicy. Od r. 1835 urzędowali już stale pastorzy: Larz (1835 do 1877 r.), Meissner, Lauch, Morgenroth, Goerke.

Podług wizytacyi biskupa Olszowskiego był w roku 1670 w Lidzbarku tylko jeden protestant. Charakter polsko-katolicki zachowało miasto wogóle aż do pierwszego podziału Polski, wskutek którego miasto przeszło w posiadanie pruskie. Od tej pory przybywało do miasta dużo protestantów i Niemców. Roku 1781 należało do gminy luterskiej w Lidzbarku już 133 dusz, a w roku 1789 było w mieście 41 familii kolonistów niemieckich protestanckich. Nabożeństwo odprawiano najpierw w ratuszu, potem 1784 roku w domu starościńskim. Od roku 1799 dzierżawiono lokal[8]), a później postawiono dom modlitwy, który 1825 roku rozebrano. Od roku 1825—1828, t. j. do postawienia kościoła, odbywało się nabożeństwo w szkole. Wtedy liczono już 337 ewangelików.

Niemcy założyli kilka stowarzyszeń (Liedertafel, Tuhnverein, kasę pożyczkową).

Bóżnicę wystawiono dopiero po r. 1815. W roku 1772 nie było w Lidzbarku żadnych żydów, a w roku 1827 już 230. Do najstarszych żydowskich rodzin w mieście należą Salamonowie, Lichtensteinowie. Hirsch Salomon nabył już roku 1833 kamienicę od Łukasza Suchowskiego[9]).

Żydzi mają własną bibliotekę.

KONIEC.

[8]) R. 1801 był kantorem Chrystyan Tomaszyk, siodlarz z zawodu.

[9]) Lidzbark No. 218.

Odbiórka.

(Obrazek z Galicyi).

Nowy Targ, Nowy Targ
Serokie to miasto —
Do niego przestrono,
Ale ś niego ciasno!

Zaszumiało w kotlinie nowotarskiej!....

Zewsząd od Tatr ośnieżonych, od orawskiej strony, od Czorsztyna, z bliższa i z dalsza idą chłopcy podhalańscy do odbiórki. Za kapeluszem, za wstążką albo za misternemi kostkami bieleją kartki, pozywające do poboru; każdy wymyty i wyczyszczony „jak cysorz," serdaki jarzą się pysznemi wyszyciami, na portkach parzenice, raki... „Gorzołecka" goni z rąk do rąk, piją chłopcy podhalańscy na umór. Z okienek wyzierają posiwiali gazdowie i gaździnki i prorokują: Tego wezną, tamten niezdara... sietniak... Ale tych sietniaków tu mało. Chłopcy na schwał. Ino w oczach rozpaczliwie wesoły smutek.

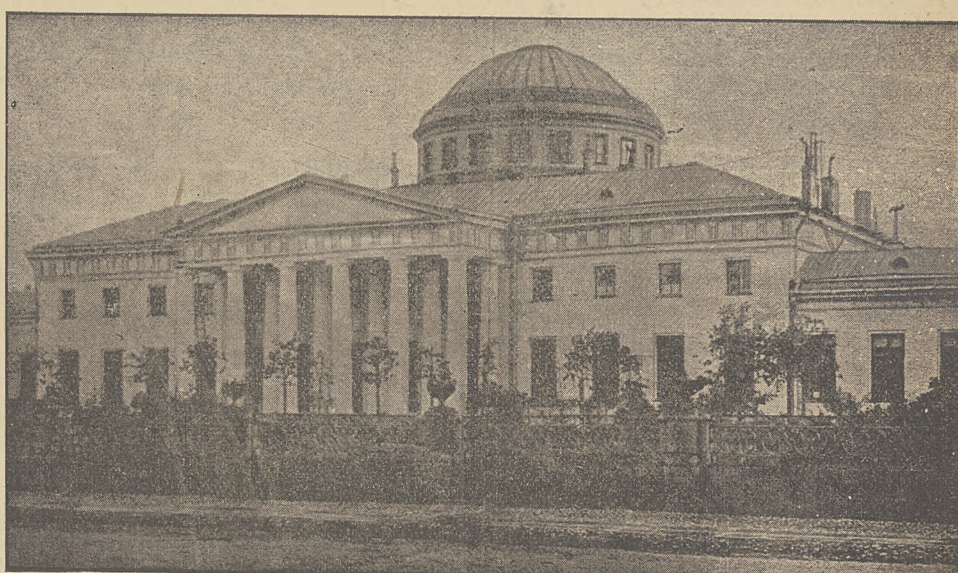
— Jako to bee?

— Zje, jakoz by było? Weznąm, to weznąm, a nie, no to nie... Pijcie...

Gorzołecke pili,
Dziewcęta kochali —
Przysła odbiórecka,
Pomasierowali!...

Z czterech rogów nowotarskiego rynku napływają coraz liczniejsze gromady parobczaków. Hańci z Poronina! Wszystkich wezną! Ci z Ostrowska, ci z Niwy, tamci z Pieniążkowic, ci zaś z Odrowąża.... Po podcieniach spacerują nowotarscy parobcy.

Chłopy do rzeczy — niestety inteligencya ich wlazła w buty, kamasze i czarne spodnie. Z ukosa spozierają na „wsioków," t. j. na nas, nie pochodzących z Nowego Targu, szurgają podeszwami, kurzą „werdziny" (według zaś powiedzenia jednego z moich rówieśników odrowąskich — „żerdziny"), gadają „mą szanowanie", mrugają wyblakłemi oczkami na panieństwo i tyle... Niewiele. Zatracili się. Stali się pseudo-inteligencyą, tą najwstrętniejszą, na której niczego głębszego i pożyteczniejszego posiać nie można. Ale za to ci wszyscy, napływający z bliższych i dalszych wsi, ci wszyscy od razu za serce chwytają. Zdrowe to, jak buki, gibkie jak smereki, a śpiewają, że ani na święta w niebie anieli tak nie potrafią. Jeden z Poronina zaczął se tańczyć drobnego o godzinie ósmej rano na środku rynku nowotarskiego, koło kapliczki św. Jana. Podpił se, jak wszyscy zresztą. Nie dziwić się jednak. Stowarzyszenia antyalkoholiczne będą tu miały niezawodnie wielu zwolenników — bo nasi chłopcy piją tylko przy ważnej okazji i raczej dla nabrania śmiałości, niż dla samego upicia się. Śmiałość, ta, co prawda, mija szybko i często zostawia po sobie wprost fatalne skutki, no... ale przy odbiórce śmiałości trza mieć dużo. Nasi chłopcy są wstydliwi ogromnie, a tu przed „panami" trza stanąć nawet bez listka przyzwoitości. Więc i na wstydliwość „gorzołeckę" się pije.



Gmach Dumy w Petersburgu, były pałac Taurydzki.

Przed „gmachem“ sokolim (podobnym do opuszczonej, zrujnowanej, wozowni, w którym odbywa się pobór), istny zamęt. Zmieszało się bractwo ze wszystkich wsi i rai. Nowotarscy już „stają.“ Po nich kolej na Poronin, później Odrowąż, Niwę, Ostrowsko i jakąś tam wieś jeszcze. Z czupryn aż się dymi. Nie wolno teraz żadnemu włazić na pięty. Rozlega się śpiew:

Abo mie zabijąm,
Abo mie obwiesąm,
Abo mie orłowie
Po wirchak ozniesąm!...

— Nie smuć się, Jędruś! Niejeden tam już służył...

— Haj — odpowiadają chórem rówieśnicy.

— Ale zeby jo, gazdowski syn, mioł iść na takąm poniewierke? Jo? Dyć jo tu mom co robić w chałupie.., Jo tu nie kómornik, ani zaden dziod...

— Co plecies!...

— Poronin — Odrowąż — dalej! — rozległ się głos policyanta.

Z Nowego Targu wzięli coś blisko czy przeszło dwudziestu, przed komisją poborową stanęła ich podobno jedna trzecia wezwanych. Reszta po świecie. Tak samo, a nawet „gorzej“ z wsiami.

Z Odrowąża, który miał dostawić czterdziestu poborowych, jawiło się wszystkich dwunastu. Reszta przeważnie w Ameryce. „Zbijają dukaty.“

Chłopcy z Poronina wyskakują z przed komisyi, jak pstrągi. Wszystkich podobno zabrali. Z Odrowąża wzięli jednego, gdyż co zgrabniejsze, to uciekło w Hameryke, zostali ino mocni, ale mniej zgrabni i mniej zdatni do spożywania „konwiśnioka.“ Resztę wsi przejrzała komisja wnet.

Odebranych (asenterowanych) zamykają natychmiast żandarmi i policyanci w wspólnej izdebce (brudnej, aż miło) i trzymają ich pod kluczem aż do przysięgi. Względami cieszą się tylko Nowotarżanie i surdutowcy; tych się nie zamyka i wierzy im się na słowo, że wrócą. Pedagogja smętna. Przed przysięgą odczytuje podoficer najważniejsze paragrafy z ustaw wojskowych t. j. za co się będzie surowo karanym lub rozstrzelanym. Pod parobczakami aż się kolana gną. Następuje przysięga...

A na mieście tymczasem śpiewy radosne i tukania. To wolni cieszą się swą wolnością. Gromadami, grupkami, z śpiewkami i wykrzykami znów wszyscy wracają do swoich wsi. Odebrani wtykają sobie „paśporty,“ które otrzymali od podoficera, za kosteczki i wstążki — piją, idą i śpiewają, śpiewają, idą i piją... Ale oto zbliżają się ku swoim wsiom. Zmrok już zapadł. Dziewczęta pozierają przez okienka... czekają...

Rozlega się gromadny śpiew:

Spozieroj, spozieroj,
Dyć se wyspozieros —
Jo pódęm do wojska,
Ty sie sponiewieros...
Ho-ho-ho!...

...Echa gonią się, jak rozgwarzone dzieci, przepadają gdzieś w górskich rozpadlinach, na krętych drogach, u węgłów chat...

Znów:

Przytul ze sie, dziewce,
Przytul-ze się do mnie —
Dyć idęm do wojska,
Popłaces se po mnie...
Ho-ho-ho!...

Którąś z dziewcząt stęskniona za swoim, wyszła na miedzę. Otulona w chustę, stoi sama w pomroku i słucha. Pierś jej rozdziera krzyk:

Zapłakojciez wirchy,
Zapłakojciez wody — — !
Kie Janicka wzieni,
Coz mi juz z urody?...

Zapadła czarna noc. Chłopska zgryzota jęła sobie znów ostrzyć zęby...

Feliks Gwiżdż.
(„Kuryer Lwowski.“)

Słowik z nad Niemna.*)

Sto lat minęło od owych czasów,
Gdy w malowniczej Kowna dolinie,
Żył słowik pośród cienistych lasów
Tam, kędy Niemen i Wilia płynie.
Piosneczki Jego przedziwne tony
Czarującymi swoimi dźwięki,
Budziły niwy i las uśpiony,
By słuchał pieśni aż do jutrzenki. —

Nieraz gdy piosnkę wieszczą zanucił,
Gwiazd Go słuchały miliony,
Słuchały wichry, słuchały chmury,
Słuchał Go księżyc zdumiony...
Ileż bo dziwów w tej pieśni było,
A ileż prawdy, — boskości
Ile rozkoszy i bólu ile,
Ile nadziemskiej miłości!...

Ledwie też piosnkę z cicha zanucił,
Już bór ją Niemna powtarzał fali,
A wietrzyk chwytał skrzydły lekkiemi,
I niósł po błoniach gdzieś dalej, dalej...
Ale niedługo wśród cichych borów
Przebywał śpiewak natchniony;
Los Go z ojczystej wyrwał doliny
I w obce gdzieś zagnał strony...

Tam jeszcze silniej, jeszcze rozgłośniej
Pieśń Jego dźwięczeć zaczęła —
I pełna jakiejś skargi żałosnej
Ku miłej Litwie płynęła...
A biedna Litwa za nim tęskniła;
W dolinie smutnie las szumiał,
Bo, choć w nim dużo słowików było,
Żaden tak śpiewać nie umiał...

I przyszła wiosna młoda, rozkoszna,
Niemen szeroko wody rozlewał;
Niestało tylko ptaszka szarego,
Słowik swą duszę wyśpiewał...
Lecz w sercu ludu żyje On jeszcze,
I pieśni Jego nie zginą,
Póki te światła błyszczą na niebie,
Dopóki rzeki litewskie płyną...

E. S.

*) Wiersz napisany na 50-letnią rocznicę zgonu Adama Mickiewicza.

R. Saint — Maurice.

DEZERTER.

przekład M. C.

Opowiadanie z wojny francusko-niemieckiej.

Pierwszego listopada 1870 roku — w sam dzień Wszystkich Świętych — Benjamin Gager, syn leśniczego, przyszedłszy na nabożeństwo zastał przed kościołem wielkie zbiegowisko. Ludzie nawoływali się jak na jarmarku. Nauczyciel miejscowy, pan Lapoutoire, siedząc okrakiem na drabinie wozu, wywijał trzymanym w ręku dziennikiem i nawoływał do uciszenia się. Benjamin podbiegł do tłumu.

Czego się dowie?.. Od trzech miesięcy każdy dzień przynosi wiadomość o nowej klęsce... Nauczyciel rozwinął dziennik wychodzący w stolicy departamentu.

— Cicho tam! dajcie mu czytać! — odezwał się z tłumu jakiś głos silniejszy.

Nauczyciel zaczął czytać odezwę Obrony Narodowej:

„Francuzi! Wznieście ducha i zdobędźcie się na czyny, jakich potrzeba wobec straszliwych klęsk, które spadają na naszą ojczyznę! W waszych rękach jest możność zażegnania nieszczęść i pokazania światu, co może dokonać wielki naród, który nie chce zginąć, i którego męstwo wzmaga się, mimo okropnych porażek...

— Tak! Tak! zapłacimy im jeszcze za swoje tym Prusakom! — zawołał Tomasz Renaise, kowal.

Geometra Bridoneau, zawołany mówca, zrobił z dłoni trąbkę na ustach i krzyknął:

— Sprawimy im drugie Valmy — sur — Loire!

Benjamin bardzo blady, słuchał..

Cienki świstek papieru, drżał w ręku nauczyciela gdy czytał dalej:

„Metz poddał się... Marszałek Bazaine zdradził...“

Rozległy się pomruki i klętwy.

— Bazaine! Ach ten djabli syn...

Nauczyciel zawołał:

— Rzeczpospolita pomści bezeceństwa rządów Cesarstwa.

Syn leśniczego zaciskał pięści. Nauczyciel czytał:

„Jesteśmy gotowi do wszelkich ofiar, i w obliczu wroga, któremu los sprzyja, przysięgamy nie poddać się nigdy! Dopóki zostanie nam choćby jedna piędź ziemi wolnej od najeździka, będziemy podtrzymywać na niej sztandar Rewolucyi francuskiej...“

Geometra zaintonował Marsyliankę. Wybuchła ogłuszająca burza śpiewów, okrzyków, nawoływań. Młodzież wywijała czapkami.

— Kto chce zaciągnąć się do wojska? — zapytał sabociarz Aubertot, zaimprowizowany werbownik.

Ludzie zaczęli gromadzić się tłumnie koło niego.

Przez sabociarza ojca trojga drobnych dzieci zaciągnął się też Tomasz Lenain, żonaty od trzech dni, i geometra Bridoneau, człowiek czterdziestoletni. Benjamin Gager zapisał się także, jeden z pierwszych. udezwa oszołomiła go. Powtarzał ciągle, namawiając towarzyszów:

— Nie jesteśmy przecie byle kto! To w obronie ojczyzny! To dla Francyi!

Na święty Michał skończył zaledwie siedmnaście lat. Ojciec jego, obecnie leśniczy w Chesnay, w lasach barona Berlanda, służył dawniej wojskowo w Algierze. Trzeba było słyszeć tego dawnego Żuawa, jak wieczorami, przy świetle jednej świeczki, wspominał mężne czyny swego pułku i nazwiska dowódców: marszałka Bugeaud, jenerałów Bosquet i La Merciere. W szkole przeznaczonej dla dzieci żołnierzy, obdarzonych orderem, mały Benjamin nauczył się czcić sztandar wojskowy, szanować żołnierskie obowiązki. Wiedział, że jest doskonałym strzelcem — świadczyły o tem jego łupy podczas polowań na kuropatwy — czuł, że jest odważny — bo nigdy nawet nie drgnął pod gradem kłusowniczych śrócin sypiących się w mgle jesiennej, a ciężar tornistra wcale go nie przerażał. Potrafił dźwigać większy ciężar, kiedy pomagał rolnikom przy zbiórce zboża. Leśniczy z Chesnay nie powstydzi się swego syna... Z gronem towarzyszów z okolicy, Benjamin Gager potrafi stawić czoło najezdnikom!...

Ochotnicy postanowili zejść się na drugi dzień o mroku w Montfort, zkąd mieli wyruszyć do Le Mans. Benjamin po nabożeństwie skierował się na drogę do folwarku Airelles, gdzie służyła jego narzeczona Marya Lecuyer. Ucałował ją czule przez ogrodzenie dziedzińca, i powrócił do Chesnay, powiedzieć ojcu, co postanowił.

— Idź, mój chłopcze! — odrzekł bez wahania dawny sierżant Żuawów, ozdobiony medalem. Do stu piorunów! Gdybym był młodszy, poszedłbym z tobą. Idź i bij się za nas obu. A pamiętaj, że kula znajdzie cię tak samo w rowie, jak i na środku drogi!

Matka zachowała się mężnie i rzekła:

— Ochrzciliśmy cię po katolicku... Niech cię Bóg prowadzi, mój chłopcze!

II.

Formowano pułki w Mans. Nadchodziły lepsze wieści. Jenerał Burbaki zwyciężał na Wschodzie: d'Aurelle de Paladines — zwycięzca z pod Coulmiers, odebrał Orlean.

Po trzech tygodniach pośpiesznych ćwiczeń, Benjamin Gager został przyłączony do 102-go pułku. Traf zdarzył, że jego kapitanem został pan de Fatines, pierwszy strzelec w departamencie Maine. Bywał on zawsze w listopadzie na polowaniach u barona Berlanda w Chesnay. Znał dobrze syna leśniczego. Dowództwo pułku oddano dymisyonowanemu dowódcy batalionu Żuawów z Afryki.

— Mamy w pułku syna jednego z waszych dawnych Żuawów, powiedział pan de Fatines pułkownikowi Ferreira. Ojciec nazywa się Ambroży Gager i wyszedł z wojska w stopniu sierżanta z medalem.

— Syn pewnie wdał się w ojca — dodał pan Fatines. Patrzy mu to z oczu.

Kapelanem pułkowym został da-



Ch. Kröner. **Głuszce.**

wny nauczyciel z domu barona Berlanda. Poznał odrazu Benjamina.

— A! Benjamin Gager! Co za traf! To ty, co mi służyłeś do mszy w zeszłym roku w grudniu, w Torcy, kiedyśmy z twoim ojcem pozakładali w lesie żelaza na lisy! Cieszę się, że cię tu widzę, mój chłopcze! Będziesz dawał dobry przykład tym poganom z Laval i z Mans...

102-gi pułk został sformowany z ludzi z tej samej okolicy. Wszyscy byli z jednych stron, znajomi, prawie z jednej rodziny. Oddział świeżo zebrany, odznaczał się jednolitością ludzi i charakteru, co jest podstawą moralnego zjednoczenia, koniecznego w wojsku. Oficerowie byli pełni nadziei. Bohaterskie złudzenia budziły płomienny zapał w sercach.

Dwudziestego szóstego listopada pułk wyruszył do Orleanu. Powodzenie bitwy pod Coulmiers dodawało otuchy. Świeżo utworzona armia ruszy na Paryż, przerwie opasujący miasto łańcuch oblegających. Wielka bitwa stoczona między Loarą a Sekwaną oswobodzi stolicę — ocali Francyę...

Zanim jeszcze przyszło do pierwszej potyczki, Benjamin, myśląc o narzeczonej i ojcu, marzył przy biwakowym ogniu o tryumfalnym pochodzie 102-go pułku przez ulice wspaniałej stolicy, o której cudach tyle opowiadali goście powracający z wielkiej wystawy 1867 roku. Wyobrażał sobie te powiewające flagi, te wieńce, te lampiony!... Na balkonach, wzdłuż strojnie przybranych ulic, piękne damy wydają okrzyki na cześć wybawców... A on — Benjamin Gager, maszeruje na czele kompanii. Od samego Orleanu w każdej bitwie odznacza się mężnym czynem, zdobywa galony. Jest już sierżantem... I słyszy jak ludzie mówią:

— To sierżant? ten młodzieniaszek? Jak się dzielnie trzyma! Jak mu ładnie w żołnierskim kepi. Kto to taki? A ktoś drugi objaśnia:

— To Gager, syn leśniczego z lasu barona Berlanda... Widzicie go! Taki młody i już jest sierżantem... Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Stary Gager zawsze był zuch nielada! Syn jeszcze go przejdzie...

Tłum bije oklaski, panie powiewają chustkami, a wiatr szamocze trójkolorowemi flagami, rozwieszonemi na szczycie masztów...

* * *

Loigny! 2 grudnia... Kapitan Fatines mówi sam do swojej kompanii:

— Dziś rocznica bitwy pod Austerlitz.

102-gi pułk stoi w rezerwie w zagłębieniu gruntu o trzy kilometry poza polem bitwy. Przed nim, grzmią bez przerwy armaty. Benjamin czuje, że ziemia drży pod jego nogami, wstrząsana tą nawałnicą ognia i żelaza. Niektórzy żołnierze bledną, lecz nadrabiają miną, i probują nucić. Benjamin milczy. Niecierpliwość i wzruszenie zasłaniają jego twarz rumieńcem.

— Dziś rocznica bitwy pod Austerlitz! — powtarza od czasu do czasu kapitan.

Zdaje się, że w stronie Patay wre zażarta walka. Naokoło miejsca gdzie stoi 102-gi pułk, granaty pękają na pagórkach. Ambulansy pędzą i pracują galopem. Sanitaryusz składa raport, że żołnierze biją się do upadłego.

— Dobra krew! — mruczy Tomasz Lenain, kowal z Torie. Niedługo przyjdzie na nas kolej skosztować tego dobrego.

— Oblizuj się zawczasu! — woła żartobliwie Benjamin. Nim wieczór nadejdzie z pewnością poczujesz smak.

Na zegarku kapitana jest już pól do trzeciej popołudniu. Przybiega konny posłaniec, oddaje pułkownikowi pismo...

Ogłaszają rozkaz w kompaniach... Nakoniec! Kompania kapitana Fatines, zatknąwszy bagnety na karabinach, rusza spiesznym krokiem we wschodnim kierunku.

Nagle, z wyniosłości ukazuje się plac boju. Kontury krajobrazu toną w czarnym dymie. Gdzieniegdzie, z kłębów najczarniejszego dymu wybucha błyskawica. Ciemne masy ludzi poruszają się w ogniu. Co krok żołnierze przeskakują przez ciała poległych, i konających...

Na rozkaz kapitana, kompania formuje się w kolumnę do ataku. Ale już weszła na linię strzałów — już ludzie padają na ziemię, rażeni kulami. Kapitan wskazuje szablą wyniosłe miejsce, za zaroślami jałowcowemi, za któremi kryje się oddział bawarski. Ztamtąd sypią się śmiertelne pociski.

— Naprzód! biegiem!

Ludzie podniecają się wzajemnie dzikiemi okrzykami. Benjamin na skraju prawego skrzydła, wyprzedza całą kolumnę. Nie czuje rzemieni przytrzymujących mu na plecach kołyszący się tornister. Karabin z zatkniętym na końcu bagnetem nie cięży mu więcej od myśliwskiego noża... Nogi stąpają śmiało, nie ślizgając się na błotnistych bruzdach...

Trrrach! Trrrach!

Na trzydzieści kroków przed zaroślami, nowa salwa przyjmuje kolumnę, która chwieje się... łamie... Przeszło sześćdziesięciu ludzi padło... Kapitan w zakrwawionej ręce ściska szablę, i wskazując przed siebie, woła na pozostałych:

— Chłopcy! Ostro naprzód!

Wahający spostrzegli Benjamina, który biegnąc raźno i lekko, dopadł już do zarośli. Jego przykład dodaje im odwagi. Rozpaczliwym wysiłkiem rzucają się naprzód. Krzaki są nizkie; można je przesadzić jednym susem. Bawarowie, pod osłoną jałowców dają raz jeszcze ognia, ale już zapóźno! Benjamin Gager zatapia bagnet w ciele grubego feldfebla z rudą bródką, którego kula ominęła Benjamina. Nieprzyjaciel, widząc, że niema ratunku, poddaje się.

Zwycięztwo. Benjamin oddycha z głębi piersi. Nozdrza jego wciągają zapach gorącego prochu i krwi... Spostrzega Tomasza Lenaina: leży ze zgruchotaną szczęką, krew bucha mu z ust strumieniem, a oczy, których białka tylko widać, stają słupem. Kapelan, ksiądz Fraugeul, ranny w rękę, kreśli nad kowalem krzyż na znak oczyszczenia, i biegnie do innych konających...

Co znaczy ten odgłos trąbki — tam — daleko? Kapitan słucha i przygryza usta... Marszczy brwi... Odwrót! Trąbią do odwrotu!...

Francuzi, zwycięzcy na tym punkcie, nie zwyciężyli na całej linii. Żołnierze spoglądają na oficerów... Niema już wątpliwości... Trzeba opuścić zdobytą pozycyę...

Benjamin ociera wielkie łzy, spływające po jego twarzy...

Powracając przez błotniste pole, które przed chwilą tak lekko przebiegał, czuje rzemienie tornistra, które wrzynają mu się w plecy. Wlecze zmęczone nogi po błocie. Zdaje mu się, że do jego podeszew przywarł ołów tych kul, które ugodziły tylu towarzyszów broni...

(Dokończenie nastąpi).

Złote listki.

Do Nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto Go szuka tylko w Niebie.

Po amerykańsku.

James Kingson był książkowym z zawodu, niestety chwilowo bez posady. Młody, energiczny nie tracił na darmo czasu, lecz starał się usilnie o zajęcie. Codzień rano czekał na otwarcie ekspedycyi, New Yorker Heralda, i był jednym z pierwszych, którzy przeglądali olbrzymie łamy anonsów, ażeby się czemprędzej zgłosić na wakującą posadę. Wiedział James doskonale, że do dziesiątej z rana już wszystkie miejsca zajęte. Dzisiaj jak zwykle bierze gazetę do ręki, z wielką wprawą oryentuje się, gdy wtem oko jego pada na duży anons następującej treści: „Kto chce zarobić 1000 dolarów, niech się zgłosi na Stevard Street nr. 22 piąte piętro, pokój dwudziesty. Zgłaszający się musi być dobrze zbudowany, szeroki w ramionach, rudawy blondyn, wzrostu około pięciu stóp, musi mieć małą zgrabną rękę i dużo cywilnej odwagi".

Anons tajemniczy ani słowa. James odpowiada wszelkim podanym warunkom, czemużby nie miał spróbować? 1000 dolarów to nie bagatela! Uda się je zarobić, może założyć skład na swoją rękę, przedewszystkiem może się ożenić — i na myśli stanęła Jamesowi ładna blondynka o figlarnych oczach, stara znajoma, jego ideał i ukochanie. Droga na Stevard Street nie tak daleka, nie zawadzi przedstawić się i spytać o co chodzi.

Idzie więc we wskazanym kierunku, odszukuje dom pod numerem 202. To nie dom zwykły, lecz pałac handlowy; eleganckie sklepy na dole, pierwszem, drugiem, trzeciem piętrze, potem biura. Słupy, wschody marmurowe, kobiercami wykładane, wspaniałe świeczniki, jednem słowem przepych. James pyta portyera, które wejście prowadzi do pokoju pod numerem dwudziestym. Chcąc się bliżej przypatrzeć urządzeniu, nie każe się wieść windą, lecz idzie wschodami aż na piąte piętro. Ogromny korytarz, po obu stronach pokoje numerami oznaczone, to same biura. Staje przed numerem dwudziestym, puka, wchodzi. Eleganckie, zupełnie nowe urządzenie, pod ścianą rząd krzeseł, na których siedzi kilku młodych panów, wszyscy blondyni, rudawi, nibyto do siebie podobni a tak różni. Bliżej okien przy dwóch biurkach siedzi dwóch starszych panów nad stosem papierów. Jeden z nich odwraca się, przypatruje się bystro Kingsonowi, podchodzi potem do swego towarzysza, szepce mu coś do ucha, poczem drugi wstaje i mówi: „Proszę tu bliżej do okna". Kingson otwiera baryerę, dzielącą pokój na dwie połowy i czyni, co mu kazano. Starszy pan pyta:

— Nazwisko pańskie?

— James Kingson.

— Wiek?

— 29 lat.



— Zajęcie?

— Książkowy.

— W której firmie?

— Obecnie jestem bez posady, byłem tam a tam.

— Aha, rozumiem, chciałbyś pan chętnie zarobić owe 1000 dolarów?

— Zapewne.

— Wypełnisz pan co ci każę?

— Jeśli warunki podane godzą się z honorem, wypełnię.

— Dobra odpowiedź. Nie o honor chodzi, lecz można się łatwo narazić na gniew, wybuch złości, a może nawet strzały, co wtedy?

— Kto nic nie ryzykuje, nic nie ma, ale o co chodzi właściwie?

Starszy pan nic nie odpowiedział, lecz poszedł do swego kolegi, który przy drugiem oknie pracował i rzekł:

— Myślę, że odpowiedniejszej osobistości nie znajdziemy; podobieństwo łudzące, odwagi cywilnej zdaje się nie brak, pocóż dłużej czekać?

Rozmawiali jeszcze chwilę, poczem starszy pan, obracając się do czekających pod ścianą interesantów, rzekł:

— Dziękujemy panom za ofiarowane nam usługi, chwilowo jednakże nie możemy z nich korzystać. Adresy panów mamy zapisane, gdyby się w przyszłości nadarzyła sposobność, nie omieszkamy się zgłosić.

Wszyscy wstali i odeszli. Starszy pan wskazał krzesło Kingsonowi i rzekł:

— Bez świadków powiem więc, o co chodzi. Wprzód proszę jednakże wykazać papierami legitymującemi, że pan jesteś rzeczywiście tym, za kogo się podajesz, potem proszę o słowo honoru, że nikomu zgoła treści naszej rozmowy nie wyjawisz.

Kingson uczynił zadość jednej i drugiej formalności, poczem starszy pan przedstawił się jako dyrektor fabryki wyrobów stalowych i żelaznych, drugi zaś pan był to główny inżynier tejże fabryki, Siewers.

— Może wiadomo już panu z gazet, — począł dyrektor, — że nasi robotnicy strejkują od kilku dni. Podburzeni przez kilku nieuczciwych agi-

tatorów żądają niemożliwych rzeczy, n. p. zupełnego zaniechania nocnej służby, dzienną pracę ograniczają do 8 godzin na dobę, jedno i drugie jest niemożliwem w naszych fabrykach. Zrobiliśmy co się dało, podwyższyliśmy płacę, ograniczyliśmy nocną służbę do minimum, płacimy pół dolara za godzinę, to wszystko wydaje się robotnikom [redacted]

pan teraz powie?

— To co przedtem, że się zgadzam.

— Nie stchórzy pan czasem w ostatniej chwili? Jeszcze czas cofnąć się, niech się pan namyśli?

— Nie jestem tchórzem i nie cofam raz danego słowa.

— Przedewszystkiem proszę nie tracić zimnej krwi, nie myśleć o tem, co nastąpić może i nic złego nie przewidywać. Spiszemy ugodę i wystawię czek na 1000 dolarów.

W godzinę potem wyszedł Kingson na ulicę, z czekiem płatnym w banku rządowym w piątek rano. James stanął, otarł pot z czoła i przeszedł jeszcze raz myślą wypadki ostatnich godzin, głód począł mu dokuczać, przypomniał sobie, że od rana nic jeszcze nie miał w ustach. Wszedł więc do pierwszej lepszej restauracyi na śniadanie. Jeszcze półtora dnia pozostaje do uregulowania osobistych spraw, a potem niech się dzieje wola Boska.

W czwartek, gdy zegary biły dziewiątą z rana, wchodził Kingson do biura na Stevard Street pod numerem 202. Ci sami panowie czekali już na niego, podali mu eleganckie ubranie i prosili, żeby był łaskaw się przebrać, poczem fryzyer zgolił mu brodę, ufryzował włosy i wąsy podług podanej fotografii. Przejrzał się Kingson w lu- [redacted]

do pokoju, Kingson odbiera pismo, podchodzi do okna, rozrywa kopertę, czyta, marszczy brwi, myśli chwilę, potem drze papier w kawałki i wyrzuca oknem. Okrzyk wściekłości wyrwał się z piersi setek robotników — przekleństwa, groźby, strzał, jeden, drugi, trzeci... Kingson czuje, że silne ramiona ciągną go w głąb pokoju, co się dalej działo, nie wie, zemdlał... Gdy się obudził, była trzecia po obiedzie, leżał w pięknym pokoju, doktór czuwał przy nim i rzekł:

— Jesteś pan lekko ranny w lewe ramię, za trzy tygodnie będziesz zdrów zupełnie.

Pan Sievers zaś rzekł:

— Doskonale wywiązałeś się pan z zadania. Gdyby właściciel fabryki posiadał choć połowę tej odwagi, co pan, nie byłoby nigdy przyszło do takiej ostateczności. Angażujemy pana jako książkowego z roczną płacą 1200 dolarów na początek.

Kingson prosił o papier i ołówek, drżącą ręką napisał co następuje: „Ewelino, przyjdź z matką do hotelu... za sześć tygodni może być nasz ślub. Twój J. K.

Le roi s'amuse ✻✻✻✻✻ ✻✻✻✻✻ Król się bawi.

(Pastel.)

Słoneczną aleją idzie król Staś,
A przy nim cudna dama:
— „O pani! swych oczu płomienie zgaś,
Bo spłonę ja od nich, twój sługa, twój paź!
Bella! zostaniesz sama!“

Uśmiecha się buzia najmilszej z dam,
Znudzona odrobinę:
— „O, królu! ten pożar wzbudzasz ty sam!
Odbicie twych oczu w źrenicach swych mam!
Ty płoniesz? Ja... ach, ginę!“

Za królem dyskretnie wytworny dwór
Opodal zwolna kroczy;
Ktoś paszkwil zanucił... ktoś podał wtór....
Ktoś szepnął z krezowców: „Ot świeży znów dur!“
Panie spuszczają oczy...

Rozpustny szambelan, dworak i bard,
Jak motyl, wśród dam, fruwa,
O grzeszkach... miłostkach paple, jak z kart,
A — w przerwach — paryski kalambur i żart
Rozśmiesza — i zatruwa...

W ustronnej altance bawi się król.
Z jedwabnych słówek siatka:
— „O piękna! cudnego chcesz kwiatka z pól,
Co skarby da tobie, ukoi łzy... ból?...
Król pójdzie szukać kwiatka!“

A ona: „I czemuż daleko tam
Zdobywać kwiat przebojem?
Ten kwiat masz tutaj! O, znam go, znam!
Zań życie — o królu! — w ofierze ci dam!
Ten kwiatek — w sercu twojem!“
Jak barwne kolibry, dworaków ćma
Snuje się między drzewy...

— „Och, kocham!“ — „Na długo?“
— „A ty?“ — „A ja?
Dopóki trwa rozkosz!... dopóki czar trwa!...“
— „Okrutna!“ — „Cóż to? gniewy?

Co? uścisk? Przy wszystkich? —
„Choć całus!“ — „Grzech!

Niech książę się poprawi!...“
I w parku srebrzysty zadzwonił śmiech,
Wśród faunów kamiennych w tysiącu brzmi ech —
Psyt!... cicho!... Król się bawi!..

Or-ot.

Kwitnąca agawa.

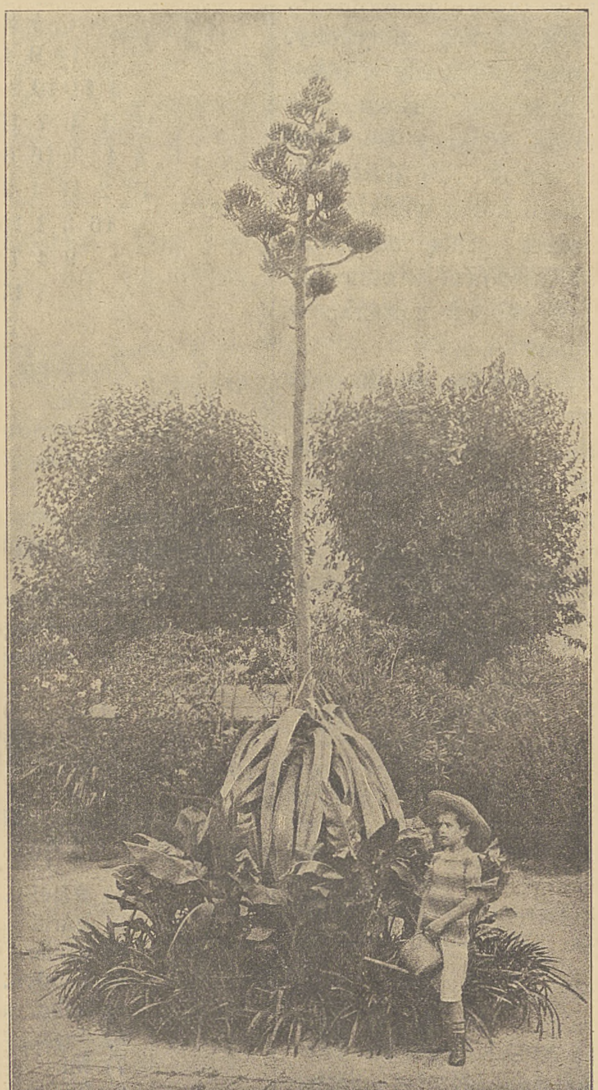
Agawa amerykańska, zwana często a niewłaściwie „stuletnim aleosem“, jest rośliną w Europie całej utrzymywaną w cieplarniach, w lecie zaś zdobiącą kwietniki parków publicznych lub artystyczne wazony. W klimacie europejskim jednak, nawet w krajach cieplejszych, agawa bardzo rzadko zakwita, a każdy wypadek kwitnienia tej rośliny ogrodnicy notują jako fakt niezwykły. W zeszłym roku zdarzył się on na Węgrzech w zakładzie ogrodniczym p. A. Nowotarskiego w Pecs.

Agawa, o której mowa (przedstawiona na załączonym rysunku) istnieje lat 80. Łodyga kwiatowa pojawiła się w końcu maja, wzrastała codziennie o 10 centymetrów i doszła do wysokości 6 metrów. Obwód łodygi u podstawy ma 37 centymetrów. Pierwszy kwiat pojawił się w połowie sierpnia, całe zaś okwiecenie trwało przez cztery tygodnie.

Niestety, właściwością agawy jest, że po wydaniu kwiatu i owoców, roślina sama ginie. Jak to widać na rycinie, liście agawy, zawsze twarde i sztywne, powiędły zupełnie, opadły i zwieszone trzymają się u podstawy łodygi kwiatowej.

Ojczyzną agawy jest Ameryka środkowa i południowa, głównie zas Meksyk. Żyje ona tam dziko i wydaje sok słodki, z którego Meksykanie wyrabiają ulubiony napój. Włókna agawy służą do wyrabiania tkanin bardzo delikatnych.

Z.



Kwitnąca agawa.

Gmach Dumy w Petersburgu.

(patrz rycinę na stronie 293-ej)

„Now. Wremia“ opisuje wewnętrzne urządzenie przyszłego parlamentu rosyjskiego, który, jeżeli można wierzyć zachwytom organu p. Suworina, przewyższy swą wspaniałością i wygodami wszystkie parlamenty europejskie. W sali posiedzeń, oprócz żyrandola, wszystko już prawie gotowe. Olbrzymie krzesła z jasnego dębu, obite skórą koloru lila, postawiono już rzędami amfiteatralnie. Poczynając od dwóch, liczba krzeseł w rzędzie wzrasta, im wyżej oni stoją i dochodzi do pięciu w rzędzie. Pomiędzy krzesłami szerokie, wygodne przejścia. Każde krzesło ma ruchome siedzenie i takiż pulpit, który może być swobodnie wysunięty i zastąpić w zupełności biurko. Pulpity są tak urządzone, że nie można nimi pukać jak to jest w zwyczaju parlamentów zachodnich. Wszystkich miejsc dla prasy z prawej i lewej strony jest 34. Nie ze wszystkich krzeseł widać całą salę, ale mównicę i miejsca ministrów, bezwarunkowo ze wszystkich. W razie potrzeby liczba miejsc dla prasy może być powiększona do 40.

Po za fotelem prezydyalnym, duża sala, w której będą się odbywały głosowania. Jakkolwiek komisyi budowlanej zalecono urządzić przy wszystkich krzesłach specyalne aparaty elektryczne do głosowania, aby można było głosować nie wstając z miejsca, jednakże komisya nie zastosowała się do tego żądania ze względu na możliwość nieporozumień i nadużyć, tembardziej, że system ten nigdzie w Europie zachodniej nie jest praktykowany. W sali, przeznaczonej na głosowanie, będą ustawione także szafy bibljoteczne.

Sala posiedzeń Dumy obliczona jest teraz na 560 posłów. Wszystkie inne sale w pałacu są pośpiesznie odnawiane: obecnie są już w nich na ukończeniu roboty malarskie. Z sali posiedzeń prowadzą wejścia do dużych jasnych sal, przeznaczonych na poufne narady posłów i posiedzenia sekcyjne. Ogromna sala z kolumnami utrzymała swą dotychczasową fizyognomię; tylko jedna strona kolumnady została zamienioną w tylną ścianę wielkiej sali posiedzeń, a drugie dwoje schodów na galeryę. Wszystkie schody, zarówno na amfiteatrze sali, jako też wejściowe, są z żelaza. Wszystkich wejść do sali posiedzeń jest 6.

Dla publiczności na galeryi przeznaczonych będzie prawdopodobnie zaledwie kilkadziesiąt miejsc, gdyż galerya jest niewielka, a przytem będą tutaj także urządzone miejsca dla członków rady państwa i senatorów.

Sala kolumnowa będzie miejscem wypoczynku.

Oszczędzajmy oczy.

(Pogadanka hygieniczna.

Wielu pracowników fabrycznych zbyt wcześnie traci wzrok zupełnie, lub porzuca zajęcia z powodu osłabienia wzroku. Szczególniej zauważyć to można w fabrykach, przerabiających różne metale, w kuźniach, gisermach, ślusarniach i t. p.

Czem jest utrata wzroku dla pracującego — wiemy dobrze. Nie może być dla niego większego nieszczęścia, a jednak robotnicy nasi lekceważą pielęgnowanie wzroku.

Istnieje nawet przepis, obowiązujący do zakładania przy pracy okularów ochronnych. Rzadko jednak spotkać można robotników, korzystających z tej ochrony. Jedni tłomaczą się trudnością przyzwyczajenia do używania okularów, inni twierdzą, że ściemniają one światło, a tem samem nie pozwalają na dokładne wykonywanie pracy, a jeszcze inni wprost uważają okulary za zbyteczne, nie pomni na to bodajby, że w razie wypadku skaleczenia oka podczas pracy, pozbawiają się prawa żądania odszkodowania, jeżeli będzie dowiedzione, że z własnej woli nie chcieli używać ochrony, przez fabrykę zarządzonej.

Dbały o swoje zdrowie robotnik, przedewszystkiem domagać się powinien ochrony dla wzroku i sam najusilniej starać się o zaoszczędzanie tego najcenniejszego zmysłu człowieka. Jeżeli więc używane dotychczas okulary nie należycie ochraniają oczy lub są nie dość dogodne, należałoby zabrać głos w tej sprawie, a z pewnością znajdą się tacy, którzy pomyślą o niezbędnych ulepszeniach. Przyzwyczaić się zaś do używania okularów, nie może stanowić dla człowieka rozumnego takiej trudności, aby jej pokonać nie można w imię dobra własnego.

Nadto robotnik powinien stale pamiętać o podstawowych zasadach utrzymania ócz w czystości, a więc nie należy nigdy zbrudzoną ręką ócz wycierać, bo pył, szczególniej metalowy, do rąk przylgły, dostawszy się do oka, powoduje zapalenie delikatnej błonki, powiek lub nawet samej gałki ocznej. Dalej zważać też należy, aby przy codziennej pracy było dostateczne światło, padające z lewej strony.

Oczy, chcąc mieć zdrowe, koniecznem jest przemywać je przynajmniej dwa razy dziennie czystą, zimną wodą, a to z rana i przed udaniem się na spoczynek. Przed myciem ócz należy ręce dobrze wymyć mydłem i następnie w czystej wodzie opłukać.

Palenie papierosów rozpowszechnione jest bardzo między pracownikami, ale prawdopodobnie nie wielu z nich wiadomo o tem, że dym tytuniowy bardzo szkodliwie na wzrok oddziaływa. Tym więc, którzy nie chcą odzwyczajać się od palenia tytuniu, zaleca się usilnie wystrzegać się palenia w ten sposób, aby dym ich otaczał i do ócz się zbliżał, jak również unikania powietrza, przepełnionego dymem tytuniowym. Pracującym w półciemnych warsztatach, zalecam noszenie okularów ze szklami kolorowemi w dni słoneczne, na ulicy, aby wzroku, wytężanego przy pracy, nie osłabiali naglem przejściem do blasku słonecznego.

Orzeźwić wzrok, pracą zmęczony, najłatwiej jest przez patrzenie w przestrzeń, to też w tym celu zawsze, gdy pracujący odczuwa piekący ból w oczach, zamglenie wzroku lub ukazujące mu się przed oczami kółka wielkie, powinien natychmiast pracę na chwilę przerwać i wzrok skierować w okno lub wogóle tam, gdzie oko nie napotka w pobliżu punktu oparcia.

Wreszcie przypominam, że dla osób z osłabionym wzrokiem, wielce szkodliwymi są wszelkie trunki i napoje, silnie drażniące, a najszkodliwszem czytanie druku o zmierzchu lub przy słabem oświetleniu. *M. W.*

Nasza ofiarność.

Szanownym Czytelnikom przypominamy powyższą rubrykę składanych ofiar na różne cele narodowo-humanitarne, prosząc ich, aby przy wszelkiej nadarzającej się sposobności nie zapomnieli o „naszej ofiarności“ *tak na fundusz jubileuszowy Towarzystwa Czytelni ludowych jak też na wszelkie inne cele, na które składki zbieramy* (patrz poprzednie numera „Pracy“.)

* * *

Z Wieszczyczyna nadesłał nam ks. *Walenty Nowicki* spis osób, które w dalszym ciągu złożyły na jego ręce *ofiary na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie.* Spisu tego, który ogłosiły codzienne gazety, dla braku miejsca zamieścić nie możemy.

Ks. Nowicki składa wspaniałomyślnym ofiarodawcom w imieniu swojem i parafian szczere podziękowanie.

Nekrologia.

† Ś. p. *Franciszek Spiżewski*, weteran z roku 1863-go, dnia 4-go b m w Poznaniu w 64-ym roku życia.

† Ś. p. *Tomasz Kaniewski*, dnia 2-go b. m. w Poznaniu przeżywszy lat 32.

† Ś. p. *Marya Hager z domu Kwiatkowska*, dnia 3-go b. m. w Poznaniu w 75-ym roku życia.

† Ś p. *Antoni Wieczorek*, Wielkopolanin, brat ś. p. radcy dr. Romana Wieczorka z Gniezna, właściciel wielkiej fabryki machin i dóbr ziemskich, umarł przed kilku tygodniami w Białymstoku. Zmarły pochodził z Rogoźna i skończył gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu w r. 1864.

† Ś. p. *Bolesława Ratajczak z Każmierskich*, była właścicielka Nowego Dworu, dnia 3-go b. m. w Poznaniu — na Wildzie — w 51-ym roku życia.

Dział szaradowy.

ARYTMOGRYF.

Miejsca oznaczone cyframi zapełnić tak, ażeby środkowe utworzyły nazwisko (pseudonim) już nieżyjącego powieściopisarza polskiego.

5
1 9 13
14 9 4 1 2
3 11 10 3 11 8 18
16 2 4 7 16 5 8 11 19
5 9 4 3 16 6 2 15 7 17 2
18 2 16 1 2 11 2 20 2
16 3 1 15 2 12 2
9 4 7 18 14
1 17 9
2

Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska.
2) Zwierzę domowe.
3) Kobieta jednego z narodów słowiańskich.
4) Miasto w azyatyckiej Turcyi.
5) Dyplomata angielski.
. . . .
7) Zabawa karnawałowa.
8) Rzeka we Francyi.
9) Siedziba bogów greckich.
10) Zaimek.
11) Samogłoska.

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 19-go b. m.

Rozwiązanie łamigłówki geograficznej z nr. 15-go

1) Włochy.
2) Izara.
3) Esimo.
4) Londyn.
5) Kuba.
6) Azya.
7) Nil.
8) Oporto.
9) Czarne.

Wielkanoc.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp: Władysław Karasiewicz z Tucholi, Wincenty Radtke z Kruświcy, Gabryela Czaykowska z Torunia, Anna Rejman z Łąki (Gal.) R. Wodarski z Borsigwerk, Józef Gawrych z Ostrowa, Mania Zwikowska z Nakła, Jadwiga Badura z Roździenia, Ludwika Boetz z Berlina.

Nagrodę otrzymali pp. Mieczysław Olejniczak z Gniezna, Franciszek Wojtyłko z Suchej (Gal.)

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Umiejętność w znaczeniu ekonomicznem.

Najważniejszym czynnikiem gospodarczym jest umiejętność. Największe skarby ziemi nie mają dla nas wartości, jeżeli nie umiemy ich wydobyć i przerobić odpowiednio do naszej potrzeby. Tak samo praca o tyle ma wartość, o ile jest umiejętnie zastosowana i kierowana.

Umiejętność jest największem źródłem dobrobytu narodów, jest ona potężną dźwignią, która podnosi w górę ludzi i całe narody. Od niej właściwie zależy wszystko. Ona ziemię jałową czyni żyzną, ona osusza bagna, wkopuje się w głębie ziemi, wznosi fabryki i miasta, buduje państwa. Ona jest tem dla ludzi, czem słońce dla całego życia na ziemi.

Umiejętność poprzedza pracę i jej towarzyszy; jest to zdolność wykonania czegoś; praca zaś jest samem wykonywaniem. Ta zdolność częścią jest wrodzona, częścią nabyta. Wiemy, że są ludzie, którzy niczego nauczyć się nie potrafią, inni mogą się nauczyć tylko niektórych rzeczy; jedni mogą się nauczyć lepiej, drudzy gorzej. Są to wrodzone zdolności człowieka, są one tem samem, czem dary przyrodzone ziemi. Mówimy, że są to dary Boże, Bóg nam dał taką lub inną zdolność i to więcej lub mniej.

Te przyrodzone zdolności sprawiają, że jedni mogą dojść do lepszego bytu niż drudzy. I przeciwko temu nic nie poradzi. To jest prawo przyrody, które tak długo będzie trwać, jak długo świat będzie stać. Zawsze zdolniejsi będą wyżej, mniej zdolni niżej.

Ponieważ przyrodzone zdolności są podstawą wszelkich umiejętności a stąd i dobrobytu narodu, więc mądra gospodarka narodowa nakazuje, aby wszystkie urządzenia rozwijały zdolności przyrodzone, nie zaś przytępiały lub unieruchomiały. Przedewszystkiem nie powinny one krępować swobody i twórczości człowieka, bo nic tak nie ogłupia, jak niewola lub przymusowe trzymanie się przepisanych regułek. Człowiek, który może żyć nie myśląc, bo inni za niego myślą, w końcu staje się niezdolnym do myślenia, bezradnym a naród z takich ludzi złożony, musi upaść.

Przyrodzone zdolności są jednak tylko podstawą do umiejętności. Umiejętność zaś zdobywa się nauką i ćwiczeniem. Człowiek wszystkiego uczyć się musi; uczy się zaś za pomocą zmysłów: dotyku, smaku, węchu i uszu i oczu; uczy się sam ale najwięcej uczy się od innych, którzy pokazują mu wiedzę nagromadzoną przez ród ludzki przez tyle wieków. Uczy się tego przez słuchanie, uczy się z książek, uczy się przez ćwiczenie.

Mądra gospodarka narodowa wskazuje, aby wszyscy obywatele mieli jaknajwięcej umiejętności rozmaitych, przedewszystkiem takie umiejętności, które im przyniosą korzyść rzeczywistą. Jeżeli ludzie uczą się rzeczy, z których potem nie będą mogli korzystać, to praca ta jest stracona. Jestto marnotrawstwo.

Ponieważ umiejętność jest najważniejszym źródłem dobrobytu narodu, przeto musi się najpilniejszą uwagę zwracać na nauczanie i wychowanie.

Każda czynność wymaga swej umiejętności. Trzeba się uczyć nawet jeść i chodzić. Lecz innej wiedzy potrzebuje rolnik, innej szewc, krawiec, innej lekarz, ksiądz, urzędnik. Wiedzę potrzebną do wykonywania pewnej czynności nazywamy zawodową. Inna jest wiedza ogólna, która potrzebna jest człowiekowi każdego zawodu. T… gdzie wszyscy obywatele biorą udział w rządzie, każdy powinien mieć wiedzę polityczną a więc i znajomość zasad gospodarki narodu całego.

„Przegląd kupiecki.“

Bank Ziemski.

Zwyczajne walne zebranie odbyło się w lokalu bankowym dnia 24 z. m. pod przewodnictwem prezesa rady nadzorczej p. Stanisława Morawskiego, przy dość licznym udziale akcyonaryuszów.

Przewodniczący poświęcił wspomnienie pośmiertne zmarłemu w dniu 17 czerwca 1905 r. dawniejszemu członkowi zarządu ś. p. dr. Teodorowi Kalksteinowi, a walne zebranie uczciło pamięć zmarłego przez powstanie.

Sprawozdanie, bilans, rachunek zysków i strat przedstawione i objaśnione przez zarząd, przyjęło walne zebranie i po odczytaniu protokółu komisyi rewizyjnej przez p. Jana Paczkowskiego, potwierdziło bez zmian, udzielając zarządowi i radzie nadzorczej jednomyślnie pokwitowania.

Również przyjęto projekt podziału czystego zysku z tym dodatkiem, że z pozostawionej do dyspozycyi walnego zebrania kwoty 7 299,90 mk., przekazano 3 000 mk. do funduszu emerytalnego dla urzędników, a resztę 4 299,90 mk. do zysków na rok 19…

W miejsce ustępujących na mocy ustaw 4 członków rady nadzorczej wybrano jednogłośnie ponownie pp.: St. Morawskiego, dr. Skarżyńskiego, Z. Chłapowskiego i D. Lossowa na przeciąg lat 2.

W miejsce dawniejszego prezesa St. hr. Żółtowskiego, który ze względu na stan zdrowia urząd swój złożył, wybrano członkiem rady nadzorczej jednomyślnie p. Leona Żółtowskiego z Niechanowa na rok 1.

Przewodniczący w gorących słowach podniósł wielkie zasługi ustępującego Stanisława hr. Żółtowskiego, który od założenia Banku Ziemskiego radzie nadzorczej przewodniczył, a walne zebranie uchwaliło jednomyślnie wysłanie telegramu dziękczynnego do ustępującego prezesa.

Do komisyi rewizyjnej wybrano ponownie pp. dr. Jackowskiego i J. Paczkowskiego, a na zastępców pp. A. Brylińskiego i dr. Jerzykowskiego.

Protokół notaryalny prowadził p. mecenas W. Trąmpczyński.

Bank Włościański.

Walne zebranie odbyło się w lokalach Banku pod przewodnictwem p. hr. Mieczysława Kwileckiego prezesa rady nadzorczej.

P. dyrektor dr. Buski przedstawił i objaśnił sprawozdanie za rok 1905.

Z czystego zysku, który wynosił 56 666,666 mk., przeznaczono na fundusz rezerwowy 5 666,66 m., na dywidendę 24 000 m., na tantyemę 9 000 m., na superdywidendę 18 000 m. Dywidenda od akcyi wynosi 7 proc.

Do rady nadzorczej wybrano w miejsce ustępujących, ponownie: pp. dr. Wł. Łebińskiego, dr. Mizerskiego i dr. Zielewicza.

Do komisyi rewizyjnej wybrano również ponownie pp.: dr. Mieczkowskiego, Wincentego Moszczeńskiego i Stanisława Wegnera.

Protokół spisał radzca sprawiedliwości Jan Głębocki.

DZIAŁ KOBIECY.

Muzyka w wychowaniu.

II.

Błędnym i niewłaściwym jest despotyzm rodziców, przymuszający do muzyki dziecko wątłe i bez wyraźnego uzdolnienia muzycznego, błędną jest także często metoda nauczania.

Zazwyczaj rozumieją rodzice tak: jeszcze dziewczynka mała, może tymczasem brać tańsze lekcye.

Ponieważ tanich lekcyi — 50 fen. za godzinę! — udzielają osoby najczęściej mało i powierzchownie w muzyce wykształcone, przeto nauka ich pełna jest niedokładności i złych nawyknień. Dziecko przez kilka pierwszych lat uczone taką metodą dużo musi ponosić trudu, zanim przeszedłszy pod kierunek lepiej wykształconego nauczyciela oduczy się złego układu rąk, twardego uderzenia, spuszczania lub zamazywania tonów i t. d.

Fałszywa oszczędność na początkowych lekcyach mści się długo i dotkliwie na uczniach i nauczycielach. Jeżeli zaś cała nauka muzyki składała się z tanich a lichych lekcyi, wtedy biada otoczeniu takiej fortepianistki!

Muzyka banalnie traktowana jest profanacyą tej boskiej sztuki, najwięcej z pomiędzy sztuk pięknych uduchowionej. Przeto inteligentni rodzice powinni wpajać dzieciom zamiłowanie i poszanowanie muzyki przez zapoznawanie ich z utworami wyższej wartości, a starać się, aby nie uprawiano w rodzinie banalnych tak zwanych salonowych kompozycyi, albo tych przygodnych, że tak powiem sezonowych piosenek, których tekst najczęściej jest nieprzyzwoity, a melodya bardzo pospolita, które niezmiernie psują gust i obniżają poziom estetyczny.

Wszystko co pospolite, banalne, nie gustowne, stanowczo powinno być wykluczone z programu wychowania.

W wyborze nauczyciela nie należy zapominać, że znakomity nawet muzyk może być lichym nauczycielem i na odwrót skromny, ale gruntownie wykształcony dyletant może inteligentnego ucznia doprowadzić do wyższego muzycznego wykształcenia.

Oprócz muzycznego uzdolnienia i umiejętności pedagogicznej wymaga się od nauczyciela pewnej duchowej podniety. Nauczyciel powinien uczniów potrafić natchnąć poszanowaniem i miłością do muzyki, nauczyć pogłębić istotę utworów klasycznych.

Kto tym wymaganiom nie odpowiada, nie ma oczywiście kwalifikacyi na nauczyciela muzyki i nie powinien się poświęcać tak mozolnemu zawodowi.

Jak w wyborze nauczyciela, tak i przy kupnie fortepianu nawet ludzie zamożniejsi kierują się głównie oszczędnością.

Tanie pianina są czemś równie złem, jak tanie lekcye; ton ich krótki, twardy, mało dźwięczny razi wyrobiony słuch, a niewyrobionego wykształcić nie może. Kto zmuszony do ograniczenia się w wydatku, niech raczej kupi używany instrument z dobrej firmy, niż nowy w lichym gatunku. Najniższa cena za pianino z lepszym tonem wynosi 800—1000 marek.

Tańsze pianina są stanowczo liche.

Że skrzydło przewyższa zawsze pianino pod względem siły i dźwięczności głosu, zbytecznem byłoby dowodzić.

M. G.

O czesaniu głowy.

Kilka luźnych uwag

Odpowiadający charakterowi twarzy sposób uczesania głowy u kobiet jest rzeczą pierwszorzędnego niemal znaczenia dla fizyognomii, bo faktem jest, że dopiero właściwie zastosowane uczesanie każdą twarz ozdabia i wdzięk jej uwydatnia. Bez niego nawet i Wenus z Miło niezawodnieby się nie obyła. To też opatrzone tak cudownym środkiem do podniesienia swej urody kobiety nie powinny się dziwić, jeżeli powiemy, że nie ma kobiet brzydkich, a nie ma ich z tego powodu, że posiadają potężnego sprzymierzeńca swych wdzięków we własnych włosach, których sposób uczesania mogą nieskończoną ilość razy zmieniać i tak manewrować, aby im z tem było nareszcie „do twarzy“.

Pamiętać jednak przytem należy, że t. zw. moda nie powinna i nie może być tu miarodajną. Ślepe jej naśladownictwo ujmuje najczęściej twarzy powab, zamiast go jej dodawać, szpeci ją, zamiast upiększać. Tutaj zależy wszystko od umiejętnego zastosowania uczesania włosów do charakteru fizyognomii, inaczej nawet najpiękniejsza twarz przy nieodpowiedniej fryzurze wyda się albo wprost brzydką, albo dziwaczną, śmieszną.

A oto kilka, na pozór drobnych, mimo to jednak wartych zapamiętania uwag, jak się czesać należy. Podajemy je tutaj w przekonaniu, że, jeżeli nie wszystkim, to przynajmniej znacznej liczbie Czytelniczek, zawsze się one przydać mogą.

Włosy gładko przyczesane i na środku głowy rozdzielone, nadają się jedynie do poważnych rysów greckich kamei, ale zupełnie się nie zgadzają z twarzą o nieregularnych a miłych rysach, której cały wdzięk tkwi w jakimś nieuchwytnym wyrazie.

Włosy fryzowane harmonizują najlepiej z liniami wężowatemi. Tak więc np. nos orli najlepiej się wyda przy uczesaniu włosów w linie faliste.

Włosy, na środku głowy rozdzielone, nadają znowu piętno spokoju i łagodności, ponieważ tym sposobem nie zostaje w niczem zakłóconą ścisła symetrya prawej i lewej połowy twarzy. Natomiast włosy, rozdzielone z boku głowy, mają dwie niedobre strony: raz, że nadają zawsze twarzy kobiecej wyraz męski, nawet pewien rys junakieryi, polegający na niezachowaniu ogólnej harmonii linii, na wytworzeniu architektonicznej asymetryi — a następnie, że ten sposób uczesania włosów odbiera kobiecie wdzięk młodości i postarza ją cokolwiek przez powiększenie rozmiarów czoła.

Wysokie, a niezakryte sztucznie włosami czoło nadaje twarzy wygląd starszy, nie wynika stąd jednak, ażeby pochwalać tem samem ohydny, ale na szczęście dziś już nieistniejący prawie zwyczaj zakrywania całego czoła. Łatwo zrozumieć chęć wydania się młodą, ale nie podobna znowu temsamem zrozumieć chęci uchodzenia poprostu za kretynkę, co miało miejsce wówczas, kiedy to moda nakazywała nosić spadające aż na oczy t. zw. „grzywki.“

Włosy rozpuszczone i loki wydłużają owal twarzy. Należy być jednak z tymi lokami bardzo ostrożną i umiarkowaną, ażeby nie wpaść w szablon mody przed laty sześćdziesięciu, która, zalecając obfite loki po obu stronach głowy, stworzyła twarze okrągłe i pospolite typy ówczesnych kobiet.

Zgrabny, lekko ułożony węzeł włosów na samym wierzchu głowy najwięcej odpowiada twarzom okrągłym. Ażeby jednak rzeczywiście twarz ozdabiał, powinien być z całą umiejętnością zastosowany, wąsko ułożony, wysoki i nie obfity, gdyż zbyt wielka ilość włosów, a zatem szerokość węzła, wygląda zwykle niezgrabnie.

Włosy nakoniec zebrane ponad czołem nie mogą być nigdy zastosowane do rysów nieregularnych. Takie uczesanie głowy można zalecić jedynie osobom o niewyraźnym profilu.

ROZMAITOŚCI.

Polacy w San Francisco. Kolonia polska w San Francisco jest bardzo nieliczna w porównaniu do kolonii polskich w miastach środka i wschodu Stanów Zjednoczonych, liczy bowiem nie więcej jak 1000 osób.

Bardziej uświadomiona część Kolonii tworzy towarzystwo, należące do Związku narodowego polskiego, którego zarząd centralny znajduje się w Chicago.

Do niedawna najwybitniejszymi członkami kolonii polskiej nad oceanem Spokojnym byli wychodźcy polityczni, jak dr. Pawlicki, kapitan Bielecki (uwieńczony przez Sienkiewicza w trylogii pod postacią pana Zagłoby) i inni dziś już zmarli.

Obecnie najwybitniejszym z Polaków w San Francisco, a przynajmniej potomkiem Polaka, jest Andrzej ks. Poniatowski ,wnuk Józefa księcia di Monte Rotondo Poniatowskiego, ożeniony z Amerykanką, panną Heleną Sperry.

Książę nie mówi po polsku, należy jednak do Związku narodowego polskiego.

Synowie księcia noszą imiona: Stanisław i Kazimierz.

* * *

Gdzie się podział O. Gapon? Wiadomość o zamordowaniu O. Gapona okazała się nieprawdziwą; w znalezionych zwłokach pod Kołpinem stwierdzono pewnego robotnika. Natomiast znany adwokat petersburski Margolin otrzymał z Berlina przesyłkę, wysłaną dn. 25 zm. w której znajdował się list bez podpisu i pugilares. List,, pisany ręką kobiecą, jest następującej treści: „1300 rubli znajduje się w pugilaresie, dalej papiery i klucz do nr. 114 szafy ogniotrwałej w Credit Lyonnais oraz kwit: wszystko jest własnością Jerzego Gapona. Proszę rozporządzić tem łaskawie". Margolin znalazł w pakiecie wyżej wymienione przedmioty, ale pieniędzy w pugilaresie nie było. Jak stwierdzono, utrzymywał Gapon stosunki z dwoma kobietami: obiedwie zniknęły jednakże. W Petersburgu sądzą, iż Gapon padł w Berlinie ofiarą nieszczęścia lub zbrodni.

* * *

Dwa zamachy w Odessie. Na dwóch urzędników od razu urządzili anarchiści w Odesie zamachy. Inspektor policyi Pohrebnoj zastrzelony został przez anarchistów, którzy uciekli bez śladu; o tym samym czasie rzuciła pewna dziewczyna bombę na rewirowego inspektora policyi Połtawczenka; odłamy bomby zraniły go. Dziewczynę powalono na ziemię, lecz zdołała jeszcze rzucić jednę bombę, przez którą zranionych zostało dwóch jeszcze policyantów. Połtawczenko rzucił się następnie na dziewczynę i zabił ją na miejscu.

* * *

Trzęsienie ziemi w ostatnich 150 latach. Lima, stolica Peru i inne miasta tego kraju, zostały 28. października 1746 zburzone. W stolicy zginęło 5000 ludzi. Lizbona uległa temu samemu losowi 1. listopada 1755. Śmierć poniosło około 30 000 ludzi. Kalabryę nawiedziło groźne trzęsienie ziemi dnia 5 lutego 1783. Wiele miast padło w gruzy. 30 000 ludzi zabitych. Caracas, stolica Wenezueli, runęła skutkiem trzęsienia ziemi dnia 26. marca 1812. 12 000 ludzi zabitych. Peru i Ecuador nawiedziła podobna katastrofa dnia 13. sierpnia 1868. Liczne miasta zburzone; 70 000 ludzi zabitych. Ohios skutkiem trzęsienia ziemi dnia 3. kwietnia 1880 r. poniosło olbrzymie straty. Runęło 14 000 domów, 3541 ludzi zabitych. Ischia przebyła pamiętną katastrofę w r. 1883. Casamicciola i Lacco Umeno znikły prawie z powierzchni — setki ludzi zginęły. W Owari Mino w Japonii środkowej, zginęło dnia 28 października 1891 około 7 000 ludzi. Lublane nawiedziło kilkakrotnie nazdwyczaj silne trzęsienie ziemi w latach 1895 do 1897. Zagrzeb przebył dwa trzęsienia w latach 1880 i 1901. Całe prawie miasto musiano z gruntu na nowo odbudować. St. Pierre na Martynice zniszczone zostało przez trzęsienie ziemi i wybuch wulkanu dnia 8 maja 1902 zburzone. 20 000 ludzi zginęło. Graslitz i Asch przebyły silne trzęsienia ziemi dnia 22 lutego 1903, całe zaś Czechy północne dnia 5 marca i 28 kwietnia 1903.

W ogóle od czasu katastrofy w Antyllach, a więc od roku 1902 nie chcą się uspokoić potęgi podziemne. 13 lutego 1902 było bardzo silne trzęsienie ziemi na Kaukazie. W pięć dni potem wstrząsała się ziemia na antypodach Kaukazu, w Guatemali. Na wschodnich wybrzeżach Hiszpanii zauważono trzęsienie ziemi dnia 6 maja, a 8 maja wybuchł straszliwie wulkan Mont Pelee na Martynice. W ślad za tem poszła katastrofa Soufriere w San Vincent 10 maja, a w trzy dni później wybuchł wulkan Colima w Meksyku. Dnia 14 maja zadrżały Pireneje, poczem znikły chwilowo źródła Cieplickie, w Temeszwarze trzęsienie ziemi zauważono 25 maja, a 4 czerwca w Belletri we Włoszech. W tym samym dniu wulkaniczne zjawiska zauważyć można było w Baku. W Guatemali wywołało popłoch silne trzęsienie ziemi 4 lipca. W tym samym czasie w ciągłym były ruchu wulkany Antyllów. Nie uspokoiły się one zresztą dotąd.

* * *

Milionerzy w Prusach. Państwo pruskie posiada ogółem 7409 milionerów, z których 5510 mieszka w miastach, a 1899 na wsi. Osób, które przeszło 30 000 000 mk. majątku posiadają, jest 23; z tych mieszka 15 po miastach, 8 zaś na wsi. W Księstwie Poznańskiem przypada przeciętnie na 10 000 mieszkańców 8 milionerów, a w Brandenburgii 67 na 10 000. Z poszczególnych miast liczą milionerów: Poznań 13, Bydgoszcz 6, Wrocław 161, Szczecin 56, Lignica 9, Gdańsk 21, Gliwice 6, Grudziądz 2, Tylża 2, Królewiec 27, Bytom 3, Berlin 1308, Frankfurt 584, Charlottenburg 381, Kolonia 255, Wiesbaden 208, Duesseldorf 193 itd. Zestawienie powyższe wykazuje nam, że wszyscy dorobkiewicze po większej części do Berlina się wynoszą. Księstwo Poznańskie zaś do najbiedniejszych w tym względzie należy.

* * *

Ślady chrześciaństwa w Pompei. Profesor Socliano, kierując obecnie wykopaliskami w Pompei uczynił bardzo ciekawe odkrycie, a mianowicie wpadł na ślady, że w starem mieście rzymskiem, zalanem przez Wezuwiusza w r. 79 naszej ery, znajdowali się chrześcianie. Poprzednio już znaleziono dowody niezbite, a już judaizm miał tam swoich wyznawców; odgrzebano szczątki synagogi z napisami hebrajskiemi i obrazami, przedstawiającemi wyrok Salomona, koniec Sodomy i gomory. W r. 1853 na murze terminów odnaleziono napis „Christianos". Archeolog Rossi tłómaczył wówczas, że oznaczało to urągowisko z wyznawców nowej wiary. Później odgrzebano szczątki domu z mozajkową kotwicą na progu, a jak wiadomo, w pierwszych wiekach chrześciaństwa i prześladowań, wyznawcy Chrystusa ukrywali symbol Krzyża pod formą kotwicy, na których wyciśnięty jest krzyż. Takie lampy używane były w katakumbach.

Humorystyka.

Co mnie obchodzi!

Co mnie obchodzi polityka,
Co mnie obchodzi cały świat,
Kiedy rozbrzmiewa śpiew słowika,
Kiedy rozkwita wonny kwiat!

Co mnie obchodzi, że narody
W waśni, że bronie ostrzy wróg,
Gdy maj króluje w sercu młody,
Gdy wiosna weszła na mój próg.

Jaki jest ród twój? — Moja boska!
Gdy powab masz i krasę lic;
Mowa japońska, czy też włoska,
Czy inna — to nie znaczy nic!

Milczenie! — to jest *esperanto*
Najmilsze! czar zamkniętych ust!
Ach! taka cisza: *bel-canto,*
Rozmowa taka: to mój gust!

I niech się tam pół globu zwali,
Z wulkanu lawy tryska żar:
W mem sercu żar jest większej skali,
I większy w niem panuje skwar.

Co mnie obchodzi wszystko w świecie
Kiedy króluje cudny maj!
Kiedyś ty przy mnie drogie dziecię,
A miłość życie zmienia w raj!

Metoda pana Atanazego.

Dziwiono się mocno, że stary radca pozwalał córce w miesiącu maju tak mocno działającym na t. z. *nervus eroticus* przebywać sam na sam z porucznikiem od ułanów w ustronnej części parku kędy słowik, który jak wiadomo jest zdeklarowanym sojusznikiem *Amora* zawodził słodkie swe trele.

— Panie radco dobrodzieju — mówili półszeptem serdeczni przyjaciele wdowca — czy tylko będzie pan wiedział w porę, jak daleko między nimi zaszło?

— Nie bójcie się dobrzy ludzie, będę, będę wiedział, w sam czas właśnie, bo jeszcze bystre mam oczy.

Raz powracała młoda para z lubego *tete a tete* widocznie mocno rozmarzona.

Pan radca rzucił bacznem okiem i wszystko zrozumiał.

— Pokaż kolanka — rzekł do porucznika.

Stało się według życzenia.

— Zazielenione!... klęczałeś!... dobrze.

— A teraz mundur?

— I to się stało...

— Jest puder! — drugie dobre.

— Ty Milciu pokaż usta...

Córka była posłuszną.

— Węgierska pomada! — bardzo dobrze i — *szluss...* Błogosławię was moje dzieci.

Porucznik i panna Milcia uklękli bez protestu, bez rekursu... A tam w oddali słowik-kupler chychotał się z dokonanego dzieła — na całe gardło.

Majowy kolor.

Jest przeróżna zielenina,
Są rozliczne w świecie *maje,*
Lecz nie wszystko się w przyrodzie
Na roślinach ujrzeć daje.

Znamy dosyć takich ludzi,
Jest ich (można rzec) bez liku!
Którzy *maj* najlepiej lubią
Na *karcianym* mieć *stoliku.*

Wiem, że kolor ów przyjemny,
Jak majowe jest zagony
W pudełeczkach z nakrywkami,
Które mieszczą w sobie *sztony.*

Prawda, nosi go też z dumą:
Tak zielony, tak majowy!
Każdy strzelec — żołnierz państwa
I urzędnik każdy cłowy.

Mniej jest miły ten kolorek,
Gdy jak świeża ruń wykwita
Na biurowej pracy polu,
Gdzie się mieszczą *exshibita.*

Lecz najgorsze! — prawdę rzekłszy —
Vide: durnie, snoby, kiełbie,
Gdy się komu tak, jak w maju
Zazieleni mocno we łbie!

Monolog kucharki.

Biedne my, biedne kucharki! Która ładna, patrzy pani na nią krzywo, która straszna, nie dogodzi nikiej panu; gotuje kiepsko, przepędzą ją wnetki na cztery wiatry; gotuje dobrze niema nic dla kawalira, wszystko przy stole zjedzą.

Nie taki głupi.

Pan, który cierpi na krótką pamięć, łaje służącego za wypalanie swych cygar, spijanie pańskiego likieru i t. p., w końcu zaś dodaje:

— A przypomnij mi, gałganie, żebym ci piętnastego dał terminatkę.

Służący do siebie: — Nie takim ja głupi.

Gdzie wina?

Młoda pani wchodząc do kuchni:

— Co się to ma znaczyć Maryanno, ile razy teraz wejdę do kuchni, siedzi sobie Maryanna z założonemi rękoma i nic nie robi?

— Ech, temu winne tylko Wielmożnej Pani te nowe ciepłe cichostępki!

Pani, godząc sługę:

— A jesteś ty posłuszna?

— O tak, proszę pani.

— Gdybym ci kazała pół godziny z góry na dół tak sobie dla zabawki po schodach biegać, biegałabyś?

— O tak, proszę pani.

— To cię nie chcę, boś głupia. Mądra sługa nie powinna czasu na próżno marnować, gdyż czas to pieniądz.

Z teki lekarza.

Gdy chory możny,
Lecz go bardzo długo,
Gdy biedak, pisz się
Z miejsca uniżonym sługą.

* * *

Żyj w zgodzie z aptekarzem;
Ręka myje rękę,
Więc też i miksturzysta
Złoży ci podziękę.

* * *

Zawsze z ręką na sercu
I z uczuciem szczerem,
Zwij każdego kolegę
Najgorszym fuszerem.

* * *

Gdyś wezwan do chorego,
Tedy jeszcze w sieni,
Wymiarkuj, jakie pulsa
Biją tam w kieszeni.

* * *

Z proboszczem żyj w przyjaźni,
Ty bowiem i pleban,
Pracujecie, by człowiek
Był zacnie pogrzeban.

Tanio i dobrze

zakupuje się **meble**

w Spółce Stolarskiej

Poznań, ulica Jezuicka 5.

Telefon 1083. 525

Album odwrotnie i franko.

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 20

Mój

Zakład dentystyczny

znajduje się teraz 157

przy ul. Nowej nr. 7 I (Nowy dom bazarowy.)

J. GRYSZCZYŃSKI.

Jan Białkowski

mistrz blach. i dekarski

Pobiedziska (Pudewitz),

pokrywanie dachów metalem, łupkiem, papą pojedyńczą i podwójną s. p. polepianie starych uszkodzonych dachów przy długoletniej gwarancyi, smarowanie, reperacye tanie i skore. Skład lamp, szkła, porcelany i sprzętów kuchennych.

Fabryka bielizny

Noskowicz & Co.

Pleszew-Pleschen

poleca z dobrego materyału starannie wykonane obojczyki do koszul damsk. ręcznie haftowane szt. 1,50, 2,00 i 2,50. **Koszule damsk. z obojczykami lub haftem ubior.** tuz. 12, 15, 18, 24, 30, 36, 42, 48, 54, 60 mk. **Koszule męzk.** nocne tuz. 18, 24, 30, 36, 42 mk. **Kosz. dzienne** (przod. twardy) tuz. 27, 36, 42, 48, 54, 60, 72, 90, mk. **Cennik na żądanie.** 290

Adres telegramów: L. ZBORALSKI PLESCHEN.

Połączenie telefoniczne Nr. 25.

Ł. Zboralski

Pleszew — (Pleschen.)

Hurtowny handel win założony w roku 1853

poleca znane ze swej dobroci, renomowane

wina górnowęgierskie

z lat najlepszych, w różnych odcieniach, począwszy od **Mk. 1,40** za litr w beczce aż do gatunków najszlachetniejszych.

Dla chorych i rekonwalescentów

stare wina węgierskie

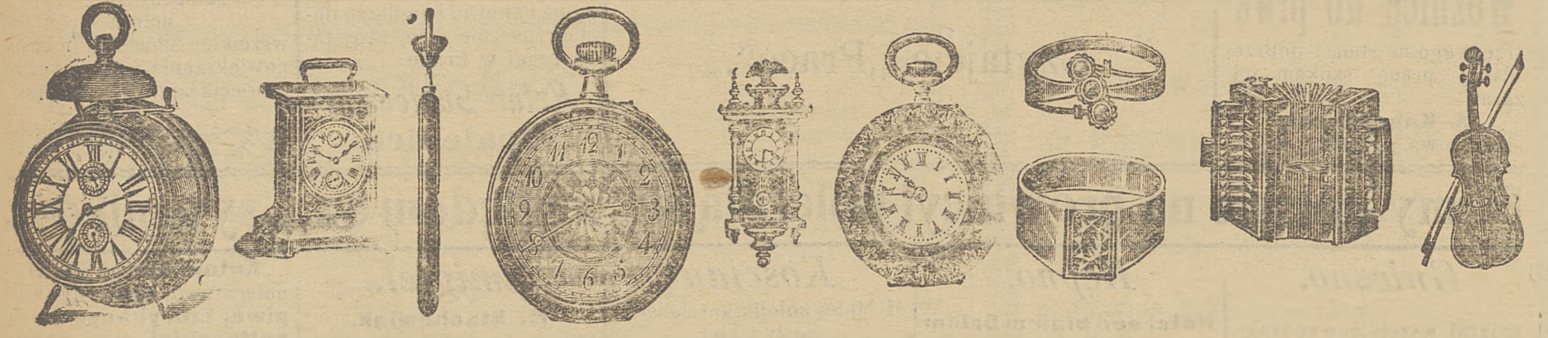
w olbrzymim wyborze.

Cenniki oraz próbki win beczkowych na życzenie gratis i franko. 203

Podróżujących nie wysyłam, łaskawe zlecenia upraszam wprost listownie.

Adres listów: Ł. Zboralski, Pleszew-Pleschen.

Pismo jak „PRACA" powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko **1,25 mk.**



Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą Ia. pierwszy gatunek.

NIKLOWE męzkie kluczykowe . mk. 5,40
POSREBRZANE z 2 złoconymi brzegami . . . . . . „ 5,90
NIKLOWE kluczyk. 6 kamieni Ia. „ 8,00
NOWOSREBRNE kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „ 7,75
CZYSTO SREBRNE 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . . mk. 10,00
Te same o 10 kamieniach . . „ 12,00
CZYSTO SREBRNE kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia
z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk. 12,00
znacznie lepsze z Matką Boską . „ 14,00
a najlepsze z Matką Boską . . „ 16,00
CZYSTO SREBRNE damskie 6 kamieni . . . . . . „ 8,50
dto. 10 kamieni prima . . „ 12,00
CZYSTO ZŁOTE 7 karat damskie 10 kam prima . . „ 16,00
dto. 10 kamieni Ia. prima . „ 18,00
dto. wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „ 22,00

Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna

a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki.

CENY HURTOWNO FABRYCZNE.

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI**, są starannie obciągniete i na minutę uregulowane.

OBAWY NIE MA ŻADNEJ, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiedniem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą,

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysyłam. 200

M. Danecki

Miejska Górka

(Görchen Bezirk Posen.)

Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.

NIKLOWE męzkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk. 2,45
dto. 30 godzin chodzące . „ 2,95
dto. lepsze 30 godz. chodzące. „ 3,50
STALOWE czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „ 4,25
CZYSTO SREBRNE remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „ 6,75
dto. kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . . „ 6,85
dto. damskie tylko lepsze 6 kam. „ 6,95
dto. Ia. tylko lepsze 10 kam. . „ 8,50
ZŁOTE damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „ 13,75
BUDZIKI głośno dzwoniące . „ 1,85
BUDZIKI z większym dzwonkiem „ 2,65
BUDZIKI z muzyką . . . „ 6,40
HARMONIKI 2 klucze 48 głosów „ 3,00
HARMONIKI 3 klucze 70 głosów „ 5,00
HARMONIKI 4 klucze 90 głosów „ 6,00
SKRZYPCE z smyczkiem dla dorosłych . . . . . „ 5,00
dto. lepsze dla dorosłych. . „ 7,00
dto. z silnym głosem . . „ 9,50

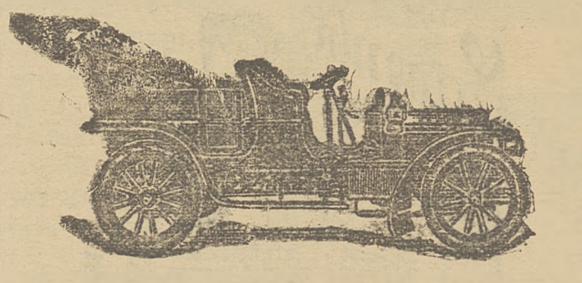
BRZYTWY jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk	1,20	1,40	1,75	2,10	276	3,75

już gotowe do użycia.

Samochody

osobowe i ciężarowe najsławniejszych fabrykatów krajowych i zagranicznych poleca po cenach fabrycznych, **używane** oddaję **po nader przystępnych.** 41



Utrzymuję

skład pneumatyków

i przyborów.

Fachowy warsztat do naprawy.

Garage.

St. Brzeski

POZNAŃ, św. Marcin 64.

Założony 1894. **Telefon 1101.**

Papierosy z fabryki SULIMA są najlepsze

Produkcya roczna: 200 milionów.

Jedyna jeneralna agentura

i główny skład 532

S. Zychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.

Wielki polski zakład

zegarmistrzowsko-złotniczy

założony r. 1873

poleca:

ogromny wybór w zegarkach kieszonkowych

od najskromniejszych do najwytworniejszych z najrenomowańszych fabryk szwajcarskich.

Zegary szafowe, stojące, regulatory i budziki najrozmaitsze.

Łańczuszki 560

damskie, długie złote, matowe, grube, pancerne i fantazyjne, mezkie i damskie.

Laski srebrne. Obrączki ślubne.

Wszelkie artykuły złotnicze.

Ceny nizkie. **Usługa uprzejma.**

W. Schultz

Poznań, w Bazarze.

Brzytwy! Brzytwy!



Brzytwy

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futeryał darmo.

Nr.	50	51	53	54	56	60
mk.	1,20	1,40	1,75	2,10	2,75	3,75
a następne nr.		0	1	2	3	4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.

Pędzelek 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.

Paski do ostrzenia po 0,80, 1,00 1,50 i 2,00 mk.

Nożyczki kute stalowe po 40, 50, 60 i 90 fen.

Noże kieszonkowe tylko mocne po 20, 25, 30 fen.

Noże kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50 60 fen.

Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam darmo i franko. 200

M. Danecki,

Miejska Górka (Görchen in Pos.)

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.

Telefon Nr. 119. 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.

Deski w różnych grubościach 1/2, 3/4, 4/4, 5/4, 6/4, 2, 2 1/2, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, špic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo **Hurtownie.** nizkich. **Detalicznie.**

Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

WIELKI SKŁAD

Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali. 119

„Talizman zdrowia i piękności“ 80 fen. Ilustr. kucharz jarski (na post!) 1,10 m. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielnik lekarski (125 kol. obr.) 5 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia“: *Czarnowski, Berlin N.*, Weissenburgerstrasse 27. 113



Doskonałe gramofony od **20 m.** począwszy.

Nowość! **Gramofony z opatentowaną w górę wygiętą tubą, oddającą bez szelestu i najnaturalniej** śpiewy, muzykę itp.

Doskonale opłacające się dla restauracyi i hoteli **gramofony automaty**, wygrywające po wrzuceniu 10 fen. przepyszne melodye.

Płyty do gramofonów z przepysznemi polskiemi melodyami. Śpiewy solowe z oper Halki, Hrabiny, śpiewy ludowe, monologi itp. wykonane przez znakomitych artystów warszawskich i lwowskich poleca w wielkim wyborze 234

M. Dutkiewicz,

zegarmistrz i złotnik w Inowrocławiu.

Cenniki i spis płyt do gramofonów bezpłatnie.



Piegi

węgry, wyrzuty, czerwoność

i wszelką nieczystość skóry usuwa się najracyonalniej za pomocą prawdziwej wody liliowej 252

Eau de Lys de Beauté

w butelkach po 1,50 mk i mydła liliowego w kawałkach po 75 fen.

Środki te nadają śnieżno białą cerę twarzy, białe jak aksamit miękkie ręce oraz zawsze świeży rumiany wygląd.

Adres do zamówień:

K. Buchowski,

Chemisch-Kosmetisches Laboratorium. Posen 72.

Do nabycia w Poznaniu u pana Czepczyńskiego, w Jarocinie u pana Chylewskiego.

Pracownia robót kościelnych

WANDY GDECZYK

w Gnieźnie 122

ulica Tumska nr. 10.

poleca się łaskawym względom Przewielebnego Duchowieństwa oraz Szanownej Publiczności. Wykonuje wszelkie prace jako to, kapy, ornaty, stuły, bursy, birety, wszelką bieliznę kościelną, chorągwie kościelne i dla towarzystw. Wszystko po bardzo przystępnej cenie, wykonanie artystyczne.

Patenty

na **wynalazki** wyjednywa

Kazimierz Ossowski

Biuro patentowe:

PETERSBURG, Woznienskij prosp. 3.

BERLIN, Potsdamerstrasse 3. 26

Poszukujemy
biegłego
kierownika
do nowo otworzyć się mającego składu bławatnego od zaraz lub później.
Tylko pierwszorzędne siły, które w większych domach pracowały, zostaną uwzględnione.
Do zgłoszeń upraszamy dołączyć świadectwa, referencye i fotografia.
Bazar
Gesellschaft m. b. Haftung.
Strasburg Wpr. 295

B. Szulczewski,
ul. Wilhelmowska nr. 11.
Skład porcelany, fajansów, szkła.
Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
Kompletne wyprawy.
Urządzania hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18

Klinika prywatna
Dr. Pomorskiego
dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne,
dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych 159
Poznań Plac Piotra 4
(Petriplatz.)
TELEFON 893.

Książki do nabożeństwa, książki ludowe w wielkim wyborze. **Krzyże pod szklanym dzwonem** 30 cm., wysokie, od 4,50 mk. począwszy. **Klosze** szklane, okrągłe dzwony do pokrycia figur i innych przedmiotów. **Kandelabry, świeczniki, lichtarze, lampki** do stania i zawieszania. **Medaliony, medaliki, krzyże, krzyżyki** różnej wielkości. **Obrazy M. B. Częstochowskiej** na drzewie malowane w różnych oprawach. **Wielki wybór obrazów olejodruków, olejograwur, stychów francuskich** w oprawach i bez opraw. **Naszyjniki** z prawdziwych korali z medalionikiem lub krzyżykiem poleca
Księgarnia Nowa, FR. BŁAZEK. (Kwaśniewski).
założona 1878 roku. 263
Poznań, Jezuicka ul. 12, (Posen Jesuitenstr. 12.)
Sprzedającym wysełamy na żądanie cennik.

Były
nauczyciel Polak
liczący 28 lat który skutkiem ciągłych szykan ze strony swojej władzy jedynie za to, że jest Polakiem, zniewolony był urząd złożyć, poszukuje miejsca jako **kasyer dominialny**, lub **w instytucyi bankowej,** lub też innego odpowiedn ego zajęcia
Laskawe oferty uprasza się pod lit. **N.** do eksp. „Pracy“.

Kawę słodową funt 25 fen. centnar 22 M.
Kawę paloną i meloną z domieszką funt 60 fen. 154
Kawy Karlsbadzkie
funt 1,—, 1,20 1,40 1,60 do 2,— Mk.
poleca
J. Smyczyński, św. Marcin 27.

Biuro prawnicze
Jasielskiego
w Poznaniu
ul. Wodna 1. 4, 1 p.
spisuje **kontrakty** (mianowicie z wymiarami), skargi, podania do wszelkich władz, **obrony** w sprawach karnych, informacye w sprawach proces., **reklamacye** co do podatków i wojskowości, testamenta, regul. hipot. i spadki i zaciąga pożyczki landszaftowe i bankowe. 73

R. Buczkowski
Poznań, Rycerska ul. 11.
Operacye zębów bez bólu za pomocą gazu
plomby, zęby sztuczne podług najnowszych systemów. 241

Czytajcie i abonujcie „Pracę.“



Dla czego teraz mama mydłem więcej nie pierze?
Moje dziecko mydło jest dobre ale za drogie w czasie obecnej drożyzny. Gdy się pierze mydłem trzeba bieliznę mocno trzeć przez co się bardzo niszczy. Oszczędna i praktyczna gospodyni pierze teraz już tylko **Saponinem** bo przez to oszczędza sobie pracy i pieniędzy, kto raz spróbuje przekona się o znakomitych skutkach.
Saponin jest do nabycia w składach drogeryjnych i kolonialnych w paczkach po **25** fen.
Gdzie niema na składzie wysela się w prost 8 paczek za 2,00 mk. franko. Chemiczna fabryka „Saponin“ **C. Nagórski,** Pr. Stargard 2. 487
Ma na składzie:
W Nakle: Fr. Biniakowski, J. Janicki, I. Bredkowski, S. Pieczyński.
W Mroczy: W. Pajzderski.
W Kobylinie: W. Gajowiecki, A. Urbanowicz, Malinowski.
W Pakości: H. Janiński Apt., M. Kowalik.

Dom Wysyłkowy
cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.
Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.
Wszelkie instrumenta jak:
flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, katarynki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.
Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120
ŁUCYAN PIOTROWSKI,
Gniezno ul. Wilhelmowska 2.

Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania
majątków większych, 39
folwarków i gospodarstw
oraz regulowania hipotek,
które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.
G. Ritter, Poznań
Wodna ul. 27. Telefon Nr. 62.
Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.
Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszo miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.